

MAGDA KUYDOWICZ

Bawiłam się przednio!
Przeurocze. Przewabne.

KATARZYNA BONDA

Jedyny i najlepszy kryminal
jaki przeczytałem.

JAKOBE MANSZTAJN

Świetny kryminal. Sam
chciałbym taki napisać.

ROBERT GÓRSKI

Napisane z hardzo
dziś potrzebnym
przymużeniem oka.

MICHAŁ RUSINEK

Marzenia, talent,
pracowitość i ucho
do ludzkich spraw...

MAGDA MOŁEK



STAŁO SIE

**KOMEDIA
KRYMINALNA**

Prószyński i S-ka

MAGDA KUYDOWICZ
STAŁO SIĘ

Prószyński i S-ka

OSOBY ZAMIESZANE W ZBRODNIĘ:

MATYLDA KWIATEK – rozkochana dziennikarka koło czterdziestki, tropiąca uparcie ślady zmarłego kochanka

NATALIA STACHYRA – przyjaciółka Matyldy i jedyna sojuszniczka, walcząca z uczuciem do swojego eks, czyli do Stacha

STACHU STACHYRA – były mąż Natalii, który walczy o odzyskanie jej miłości i o zachowanie trzeźwości przy okazji

PORUCZNIK RYSZARD KUDEŁKA – przebiegły i zadziwiająco sprawny policjant, potajemnie podkochujący się w Matyldzie

MACIEK SAT – producent, szef i bliski kolega Matyldy, który nieoczekiwanie staje się jednym z podejrzanych

HANKA POWALISZ – dziewczyna Maćka, która kocha tylko rośliny

KLOTYLDA KWIATEK – mamusia, wielbicielka intryg, krzyżówek i Ryszarda Kudelki

ZBIGNIEW NADWORNY – zwany nie bez przyczyny Ohydny Zbyszkiem – kochanek Matyldy i jej utrapienie

MARTA NADWORNA – żona Zbyszka, zwana nie bez powodu Podłą

PIĘKNY HENIO – prawnik i niespełniona miłość Matyldy z czasu studiów

KAMIL TROP – funkcjonariusz policji koszalińskiej, słynący z podrywów i spostrzegawczości

MARIANNA LIS – rudy demon po pięćdziesiątce i ofiara mordercy

ROMAN GRYZŁA – latarnik, kolejna ofiara

ANDRZEJ NAWAŁKA – zwany nie bez przyczyny Savonarolą – tajemniczy bóg kinezy

ROMAN BURDA – działacz społeczny i narodowiec, ukrywający swój romans z czarnoskórym gejem, ponura postać trzęsącą całym Koszalinem

KRZYSIO LOWELAS – piękny i zepsuty do szpiku kości montażysta

KOSTEK REGUŁA – milczący sąsiad anglista-cyklista, wierny przyjaciel Matyldy

Oraz uczestnicy obozu sportowego w Mielenku, pracownicy pensjonatu Osa, koledzy Matyldy z pracy, podwładni Ryszarda Kudelki, właściciele lokali: Niezłe Ziółko, Kafelek i inni.

ROZDZIAŁ 1

STAŁO SIĘ

Szłam siłą woli. Nieumalowana, zrozpaczona, rozczochrana przez wiatr i wściekła. Oślepiało mnie poranne słońce, a gęstniejący w centrum tłum wsysał i wyrzucał mnie co chwila na zewnątrz. Nie słyszałam ani nie czułam nic. No, może poza chęcią szybkiego zobaczenia Podłej. I znokautowania jej jednym celnym słowem lub ciosem. Obojętne. Włosy wymykały mi się co chwila spod kaptura bluzy. Mysie końcówki chłostały mnie po policzkach. Od płakania miałam zapuchnięte oczy. Zwykle duże i ciemne, teraz przypominały wąskie ciemno-czerwone szparki. Czułam się kobietą doświadczoną przez los, w za bardzo średnim wieku i bez nadziei na zmianę tej sytuacji. Oraz wyglądu. W dodatku szary dres skutecznie odbierał wdzięk moim kobiecym kształtom. A Podła słynęła z elegancji. I braku dresu.

W podziemiach pachniało tanim jedzeniem, a pędzący przechodnie byli jak tornado. Obijałam się a to o torebki, a to o ramiona społeczeństwa pędzącego na oślep do tramwajów we wszystkich możliwych kierunkach świata. Ogłuszająco zawodziła już Orkiestra z Chmielnej. Kwiaciarki rozstawiały swoje bukiety, złorzeczając na bezdomnego z psem, który jak zwykle leżał tutaj i żebrał. Wiadomo. Miejsce na rogu było najlepsze. Ale tego dnia nie dostał ode mnie ani grosza. Przeszłam szybko obok i dotarłam do wyjścia z tunelu. Jeszcze trzy przecznice i będę na miejscu. Zbyszkowi życia to nie wróci, ale przynajmniej się czegoś dowiem.

Tymczasem żona mojego martwego kochanka, starannie wypacykowana i ubrana jak spod igły, siedziała w mojej i Zbyszka ulubionej kawiarni – Niezłe Ziółko – na rogu Wilczej. Czekwała na mnie i sączyła modny napój pietruszkowy z miodem. Żywa, kompetentna do bólu chuda szatynka. Chłodna jak gład, o wypolerowanych na błysk szponach w kształcie idealnego migdała. Niech ją! Dlaczego właściwie to nie ona zginęła w tym wypadku? Poważnie nabuzowana dotarłam na miejsce i usiadłam przy niej tak gwałtownie, że aż wytrąciłam jej z ręki tablet. Kątem oka zarejestrowałam, że czatuje na erotycznym portalu randkowym, gdzie szuka się partnera. I fakt, że to dostrzegłam, tak ją strasznie wkurzył, że zaczęła na mnie znieńska krzyżeć. Że niby jakim prawem ją szpieguję! Też coś! Od lat zdradzała Zbyszka z byle kim. Każdy to wiedział! Każdy! Nim skończyłyśmy wymianę wrzasków, bezszelestnie pojawił się właściciel lokalu – Cwany Bonzo. Z sokiem z pokrzywy dla mnie w ramach promocji. Umilkłyśmy i zamówiłyśmy jeszcze po kawie. Ochłonęłam i spjrzałam na nią raz jeszcze. Awantura nie spowodowała najmniejszej zmiany w jej nienagannym wyglądzie. Jak ona to robi?! – zastanawiałam się. I ciekawe, za ile. Powoli popijałam to zdrowe paskudztwo i skanowałam ją bacznie od stóp do głów. Po kolejnym łyku zielonej lury Podła Małzonka, cała w modnych odcieniach limonki z bielą z najnowszej kolekcji jakiejś tam, pochyliła się w moją stronę i postanowiła przemówić ponownie. Tym razem jednak syczała teatralnie ściszym głosem.

– Słuchaj no, ty, Zbyszek zginął nagle. Zostawił ci podobno klucze do domu nad morzem i jakieś ważne dokumenty w teczce. Muszę je mieć, i to szybko. W samochodzie wszystko spłonęło. A chcę się tam dostać jeszcze przed pogrzebem.

Zamurowało mnie. Perorowała więc dalej.

– Jak mi tego nie oddasz, to mój adwokat dobierze ci się do tyłka! Tak jak, za przeproszeniem, mój małżonek dobierał się przez ostatnie miesiące! Ale przyjemnie nie będzie! Zapewniam! – Odsunęła się wreszcie od stołu na długość obu rąk. Czerwona na twarzy. Prawie pękała ze złości. Istna kobra w Kenzo i Manolo Blahnik!

Skąd ona wie? Zostawił jej kartkę przy łóżku czy co? Nadal miałam ściśnięte gardło i nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Tymczasem dookoła nas gęstniał już poranny tłum przyjemnie

podekscytowanych awanturą damulek z pobliskich biurowców. Notorycznie wpadały tu po kawę. Rzeczywiście była najlepsza w mieście. Po tyradzie Podłej w całym lokalu zapanowała przerażająca cisza. Byłyśmy niewątpliwie atrakcją tego dnia, jeśli nie całego sezonu. Wreszcie wzięłam głęboki oddech, żeby dać jej ostateczny odpór. A zaraz potem zemdlałam.

Gdy się ocknęłam, Bonzo, chwytając mnie delikatnie pod ramiona, holował moje jestestwo w stronę stylowego mebla przodków pod oknem. A Podła Zona, trzymając moje skąpo odziane w trampki odnóża, powtarzała jak nakręcona:

– Ale kto mógł przewidzieć, że ona zasłabnie? No kto? Kawał baby z niej, no nie?

A żeby cię pokręciło! Obyś wyłysiała i porosła parchami. Z włosom w środku każdego z nich! – zamarzyłam skrycie. Tymczasem przy pomocy Bonza z godnością ulokowałam się na zabytkowej reklamierze i zaczęłam się wachlować gazetą ze stolika. Po chwili dostałam swoją torebkę, rozpinaną bluzę i wodę. Mimo totalnego osłabienia postanowiłam także przemówić.

– Won stąd, babo wredna, bo cię uszkodzę! – wycodziłam wreszcie.

Miało to zabrzmieć groźnie, ale zaszemrałam tylko jak górski strumyk. Mimo to do Podłej błyskawicznie dotarło i ulotniła się wreszcie. Odetchnęłam. Tłum damulek z kawą też odetkało. Popychając się i chichocząc jak dzierlatki, zaczęły stopniowo opuszczać kawiarnię. Po kwadransie doszłam do siebie na tyle, aby spuścić nogi na podłogę i poprosić Bonza o wezwanie mi taksówki. Wtedy niespodziewanie pojawiła się moja najlepsza przyjaciółka, Natalia. Z rozmachem otworzyła szklane drzwi kawiarni i trzasnęła nimi tak, że aż ziemia zadrżała. Rosła, dorodna oraz zamaszysta w ruchach, o pięknych ciemnoblonde włosach do ramion zebranych w kitkę, wzbudzała automatyczną sympatię kobiet i silny przestрах u mężczyzn. U byłego męża zwłaszcza. W przeciwieństwie do mnie była wcieleniem spokoju, odwagi i zdrowego rozsądku. Uwielbiałam ją z wzajemnością od lat.

– Matko Boska, Mati, co się stało?! – krzyknęła.

– Ciii, nie wrzeszcz tak! Skąd wiedziałas? – Gestem nakazałam jej podejść bliżej. Wciąż miałam mroczki przed oczami.

– Podła zadzwoniła do Maćka, że zasłabłaś, a on do mnie! – Natalia z troską zaglądała mi w oczy i podawała bluzę.

– Do Maćka? Skąd miała jego numer? – zdziwiłam się i zamarłam z ręką w jednym rękawie.

– Od Zbyszka pewnie, znają się przecież od lat. Teraz też coś razem robili. Mati, może na pogotowie trzeba jechać? Powiedz, co mam robić, powiedz... – jęczała i wpychała mi teraz na głowę, nie wiadomo po co, swoją marokańską chustę.

– Żadnych konowałów! Chcę do domu! Muszę wziąć prysznic. Spociłam się jak mysz od tych sensacji! – Zerwałam upiorne nakrycie z głowy i rażno ruszyłam do wyjścia. Zachwiałam się jednak po drodze i rozpaczliwie uczepiłam ściany.

– Ale co ci się... – Natalia w mig znalazła się obok.

– W domu ci powiem – ucięłam stanowczo. Nieporadnie szarpałam już za klamkę. – Zawieź mnie do mnie, na Różaną – zdecydowałam, biorąc ją stanowczo pod rękę. – Po drodze coś załatwimy. Nie ma głupich, nie dam Podłej satysfakcji!

I moja przyjaciółka jak zawsze zrobiła wszystko, o co ją poprosiłam. W miarę szybko wydostałyśmy się jej starym bolidem ze Śródmieścia i już po kilkunastu minutach parkowałyśmy na moim Mokotowie. Z telefonu Natalii wydzwoniłam jeszcze zaprzyjaźnionego prawnika. Obiecał odezwać się, jak tylko uda mu się coś ustalić w związku z wypadkiem.

– Czemu nie chcesz używać swojego telefonu? – zdziwiła się Natalia.

– Bo to telefon firmowy. Maciek dostaje billingi. Nie chcę, żeby wszystko wiedział. Może mnie potem ciągnąć za słówka. Nie zniosę tego.

– No to co, na litość boską? – Natalia stanęła w miejscu i zatarasowała sobą wejście na klatkę. Odsunęłam ją łagodnie i stanowczo.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Poza tym nie podoba mi się to, że Podła tak sobie od razu do

niego zadzwoniła. Zamieniamy się telefonami. Przegrywamy kontakty. Ale już!

– Mati, nie popadaj w obsesję! Przecież Maciek robił jej reportaż z otwarcia nowej siedziby uczelni, gdzie ta larwa wyklada. I dawał wam ze Zbyszkciem klucze do pokoju na godziny, z tego mieszkania pod wynajem obok biura – jęknęła moja przyjaciółka. – No nie pamiętasz?

Ale posłusznie oddała mi swoją komórkę. Chwilę trwało, nim skopiowałyśmy sobie także dane z kart SIM. Dlaczego robiłyśmy to w pośpiechu na ciemnej klatce, Bóg raczy wiedzieć. Ale coś kazało mi to zrobić od razu. A ja zawsze słuchałam swojej intuicji.

W końcu wjechałyśmy na wysokie drugie piętro mojej kamienicy.

– Właśnie – mruknęłam do siebie, wysiadając z rozklekotanej windy. – On był za blisko mnie w tym wszystkim ze Zbyszkciem.

– Że co, proszę? – Natalia już otwierała drzwi mojego mieszkania.

– Nic, nic – uspokoiłam ją. – Muszę do łazienki.

Szybko wskoczyłam do wanny pod chłodny prysznic, zostawiając na wszelki wypadek otwarte drzwi. Chłodna woda na chwilę skutecznie oderwała mnie od koszmaru. Namydliłam ciało antyalergicznym żelem i stałam przez dłuższą chwilę pod silnym strumieniem, nie myśląc o niczym konkretnym. Tajałam tak sobie, kątem oka śledząc w lustrze widoczne efekty stresu. Schudłam i wyszlachetniałam przez ten cały toksyczny romans. Bez dwóch zdań. To mi jednak w sumie może nawet wyszło na dobre.

Wyszłam, owijając się szlafrokiem, i poklapawszy mokrymi stopami po śliskiej podłodze łazienki, pochuchałam w zaparowane lustro. Po czym półgłosem podsumowałam moje przebliski intuicji spod windy sprzed kwadransa. Zwykle najlepsze rzeczy przychodziły mi do głowy po kąpieli, więc tym razem mogło być tak samo.

Maciek, nasze dziennikarskie dochodzenie nad morzem. Ożywione ostatnio biznesowe kontakty ze Zbyszkciem, o których nie chciał mi nic powiedzieć. Kupno działki pod Koszalinem na Hankę, flamę Maćka. Ostentacyjnie okazywana przez niego niechęć. Pracowali, a jednocześnie się nie znosili? Dziwne...

Natalia tymczasem rzuciła się do przyrządzania nam ogromnej ilości mocnej czarnej herbaty w termosie. Znała mnie i wiedziała dobrze, co się święci. Czekало nas wiele godzin płaczu i męczących ustaleń. Zadzwoniła też do matki, prosząc, żeby ta otworzyła dziś za nią knajpę i posiedziała do wieczora. Z kochankami może nie szło mi ostatnio najlepiej, ale przyjaciółkę to ja miałam na medal.

Po kąpieli usadowiłam się wygodnie w szlafroku na podłodze i poklepałam znacząco miejsce obok siebie. Natalia obstawiła mnie poduszkami i herbatą. Po czym posłusznie zastygła w kuckach w wyznaczonym miejscu. Tak się jej zawsze lepiej myślało.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – powiedziałam...

To był najgłupszy moment na śmierć. Ciężko mi było zrozumieć, że jeszcze kilka godzin temu siedziałam w biurze i czekałam na Maćka. Niewyspana i tylko z tego powodu zła. Miałam właśnie przekazać mu wszystkie dowody na kompromitację pewnego działacza społecznego w Zachodniopomorskiem. Mój kochanek przepadł gdzieś znowu, nie wiadomo gdzie, ale liczyłam, że niebawem się pojawi. I że energicznie nawiążemy toksyczną relację, którą oboje tak lubimy.

Od lat jeździłam na wakacje pod Koszalin, a Maciek stamtąd pochodził. Siłą rzeczy to tam robiliśmy większość materiałów interwencyjnych. Tam mieliśmy po prostu najlepsze źródła. To w trakcie jednej z naszych dokumentacji poznałam rok temu, późną wiosną, Zbyszka. Zajmowałam pokój w jego domu pod Mielenkiem, który wynajmował letnikom. I wieczorami, stopniowo, z prawdziwą przyjemnością wpadałam w jego sidła. Co do Maćka, to ten wyhaczył mnie do pracy jeszcze na studiach. Kończył reżyserię, a ja zaczynałam filmoznawstwo. Potrzebował dokumentalisty do swojej firmy producenckiej. Wziął na próbę trzy osoby z mojego roku. Tylko ja przetrwałam. Najpierw robiłam mu tylko dokumentację – zbierałam różne brudy o ludziach z wyższych sfer. Z czasem nauczyłam się całej telewizyjnej roboty. Pisanie scenariusza, montażu, trudnej pracy z ekipą na zdjęciach

w różnych miejscach i o najdziwniejszych porach. Kochałam moją pracę. Stuknęło nam właśnie z Maćkiem dziesięć lat w robocie. Przyjaźni chyba też. Bo – choć może nie zawsze go rozumiałam – musiałam przyznać, że w pracy był zawsze w porządku. Sporo wymagał. Ale był lojalny, otwarty i zawsze płacił na czas. Chyba że akurat nie miał pieniędzy. Wtedy pożyczał. Zwykle od Zbyszka.

Tak, ilekroć coś się działo, zawsze to do niego dzwonił, a Zbyszek ratował go z finansowej zapaści. Przy obopólnym braku sympatii było to co najmniej dziwne. Najwyraźniej jednak obaj mieli w tym swój interes. Czy Maciek ukrywał, co robili, a Zbyszek mu za to płacił?

Maciek, poza wybuchowym charakterem, miał rozliczne dziwactwa. Na przykład uwielbiał umawiać się na spotkania ze mną o kosmicznych porach. Oczywiście zawsze się na nie spóźniał. Sadysta! Mam niskie ciśnienie, przed dziewiątą rano lepiej nie wchodzić mi w drogę. Tym razem miałam być w biurze o ósmej czterdzieści siedem, zaraz po jego wizycie u mechanika.

Wreszcie usłyszałam charakterystyczny ryk motocykla pod oknem, a po chwili Maciek pojawił się w drzwiach. Jak Han Solo z *Gwiezdnych wojen*. W gumowanym kruczoczarnym stroju w poprzeczne błękitne błyskawice. Bardzo z siebie zadowolony i zionący jeszcze smrodem spalin. W kasku szczelnie zakrywającym jego ostrzyżoną na siwego jeża jajowatą czaszkę mózgowca. Był z niej dumny, podobnie jak z siwej gęstej brody. Nie bez powodu zresztą. Poza tym uwielbiał teatralne wejścia. W głębi ducha uważał się za wielkiego artystę. Niespełnionego, rzecz jasna.

– Hejka, kawa dla szefa jest? – zagaił. Dowcipnie. W jego mniemaniu.

– Sam zobacz. – Wzruszyłam ramionami, po czym rzuciłam mu ponure spojrzenie spode łba.

Popatrzył na mnie rozbawiony. Świszcząc przez zęby, nacisnął guzik w jęczącej wiekowej kawiarence za moimi plecami. Jęklawie zaczęła odmierzać porcje wrzątku i ciurkać do starego porcelanowego dzbanka. Szklany zbiłam tydzień temu, gdy po raz kolejny dostałam od niego opieprz za niewinność. Czyli za braki w dokumentacji.

Maciek tymczasem z chrzęstem motozbroi opadł na krzesło obok mnie. Obróciłam monitor komputera w jego stronę, żeby mógł zobaczyć, co ustaliłam. Czytał i nie ruszając się z miejsca, sprawnie wyginając lewą rękę do tyłu, dolewał sobie mleka do kawy. Zarówno górne, jak i dolne kończyny miał długie jak u małpy. Był próżniakiem, szpanerem i bardzo obiecującym pijakiem. Ale miałam do niego słabość. A ściślej ujmując – do jego inteligencji. Poza tym był szybki i skuteczny w działaniu. Oraz zadziwiająco lojalny. Jak na faceta oczywiście. Irytujący do szaleństwa. Ale w komplecie jakoś to wszystko działało. Przynajmniej na mnie.

Nasze biuro, ciasne i wysokie, zimne zimą i gorące latem, od lat było jego ulubionym miejscem porannych narad. I tresowania personelu w punktualności o abstrakcyjnych porach. Urządzaliśmy to biuro wspólnie meblami z odzysku z firmy jego byłej flamy. Pracowała w ambasadzie amerykańskiej, gdzie wszystko z zasady było ogromne. Z trudem wcisnęliśmy do pokoju cztery solidne biurka z kawiarką. I szklany stół konferencyjny do wnęki pod oknem. Dla Maćka była to także kanciapa. Odgradzał się od nas fantazyjnym japońskim parawanem z prawdziwego jedwabiu w gejsze. Jego własnym. I słuchawkami bez kabla, które kosztowały tyle, ile zimowe ogumienie samochodu. Gadżeciarz! Ale jak już wspomniałam, wybaczałam mu wiele. Nawet siorbanie kawą i zawzięte klaskanie palcami. Zawsze tak robił, gdy był czymś podniecony. Tak jak w tej chwili.

– No dobra – powiedział w końcu.

„No dobra” oznaczało u niego premię i brak poprawek, więc promieniowałam słuszną dumą.

– Mamy coś nowego – dodał i wręczył mi zdjęcie jakiegoś typka z zakrytą twarzą. Pamiętałam go. Był na jedyńce, czyli tytułowej stronie w „Brudach Poranka”.

– No i? Skoro tabloidy już coś zwęszyły, to co ja mam do tego?

Nie byłam zachwycona. Chciałam właśnie poprosić Maćka o zaliczkę, a potem wyskoczyć do fryzjera, kosmetyczki i na przeceny do Złotej Teresy. Należało mi się. Od tygodnia praktycznie nie wstawałam od komputera. A czułam wtedy podskórnym, że Zbyszek się dziś u mnie pojawi. Przy moim obecnym stanie urody kochanek mógł na mój widok co najwyżej uciec z krzykiem.

A niestety był w tym temacie wymagający. I to bardzo. Nie bez powodu zwany był przez moich przyjaciół Ohydny Zbyszkiem. Toksyczny typ. Pazury, włosy zrobione na dyskretny blond, idealny

make-up i nonszalancko niedbały, acz elegancki strój to minimum, którego ode mnie wymagał. Oczywiście gdy miał dla mnie czas. A miewał go rzadko. I zawsze kaprysił. Usprawiedliwiała mnie tylko nieobecność z powodu pracy. Szalałam za nim bez ograniczeń od kilkunastu miesięcy. I nie umiałam przestać. Zapewne także z tego powodu, że był dla mnie trudny do zdefiniowania. Tak mało w sumie o nim wiedziałam. Miał jakieś dziwne interesy w całej Polsce. Wiecznie wisiał na telefonie. Szybko udało mu się zrobić na mnie wrażenie człowieka pełnego sprzeczności i tajemnic. Który mimo wielu przeciwności losu – żona, dziecko, oszałamiająca kariera biznesowa – wybrał mnie, właśnie mnie. Chudy, wysoki i wiecznie zamyślony. W zamglonych okularach, z gęstymi ciemnoblond włosami ciągle spadającymi mu na czoło. Bystry i zaczepny. Typowy mężczyzna zagadka. Do tego wszystkiego jeszcze bardzo namiętny. Tacy goście powinni mieć na czole wykrzyknik jako znak ostrzegawczy dla kobiet. Bo za takim zawsze pobiegniemy na oślep. Bezwolne idiotki. Jako kobieta doświadczona już paroma miłosnymi przygodami bez happy endu wiedziałam oczywiście, że nic z tego związku nie będzie. Podła żona, dziecko, ani słowa o rozwodzie. Ale było mi z nim chwilami tak dobrze! Wkurzał mnie i intrygował równocześnie. Nie miałam siły ze sobą walczyć. Dryfowałam od miesięcy na fali swoich zmiennych emocji, polegając tylko na resztkach zdrowego rozsądku. A w głębi ducha czekałam na coś, co zmusi mnie do podjęcia decyzji o zerwaniu. Powoli przestawałam już lubić samą siebie...

– Podobno typ pisze też pod pseudonimem zbereżne wiersze miłosne. – Maciek zachęcał mnie do pracy już zza parawanu.

– Że co, proszę? – Zamyślona, z wizją Ohydneho pod opuchniętymi powiekami, prawie oblałam swój jasnoszary dres resztką kawy mojego szefa.

– Sprawdź to i tyle – rozkazał mi krótko Maciek i zniknął za słuchawkami.

Kliknęłam posłusznie na nazwisko typka. Roman Burda. Nieźle się zaczyna. Były szef MOPS-u w Koszalinie. Obecnie nadal działa, również jako radny z ramienia Partii Narodowców. Znane nam rewiry, no dobra. Weszłam na fanpage ośrodka pomocy społecznej i zamarłam. Na głównej stronie, pod postem o imprezie integracyjnej personelu MOPS-u, jak byk widniał komentarz z anonimowym wierszem. Dużo tam było o ciумcianiu czarnej czekolady i mlaskaniu ze smakiem. Zrobiło mi się nieco niedobrze. Były też w sieci jakieś zdjęcia z gejowskiej imprezy porno, gdzie działacz Burda widniał w czułym uścisku z czarnoskórym typkiem w stringach. Pstryknęłam *print screen* i przesłałam go Maćkowi. Zarechotał radośnie.

– Pojedź i pogadaj z nim. Narodowcy mają po weekendzie jakąś konferencję pod Warszawą! – krzyknął, nie fatygując się nawet zza swojej gejszy.

– Muszę taryfą.

– Trudno, niech będę stratny. – Ruchem głowy wskazał mi swoją kurtkę, gdzie zawsze trzymał portfel. Po konsultacji wyjęłam stowę. Podobno starczy, jeśli pojedę, używając jakiejś dziwnej aplikacji. Najtaniej na świecie.

I wtedy właśnie zadzwonił ten przeklęty telefon. Odebrałam. Gdybym wiedziała, że to ona! Prędzej bym kabel przegryzła!

– Matylda? Zbigniew nie żyje! – usłyszałam. – Musimy natychmiast porozmawiać!

I zamilkła.

– Ale jak to... – zabelkotałam nieskładnie i złapałam się biurka. Spadły jakieś papierzyska.

Zrobiło mi się na przemian gorąco i zimo. Oraz słabo. Przed oczami zawirowały mi ciemne płatki. Spokojnie, spokojnie, to jakiś głupi żart – myślałam. Ale gdzie tam! Zaniepokojony Maciek podniósł się szybko zza swojego komputera i podszedł do mnie, łapiąc mnie w ostatniej chwili, bym nie upadła. Wsparłam się na nim, z całych sił ściskając w dłoni słuchawkę.

– Wypadek. Wracał autostradą znad morza. Czekam na Wilczej! Tam, gdzie wiesz! – I rozłączyła się. Podła i jeszcze raz podła! Opadłam ciężko na krzesło i oparłam głowę na dłoniach. Maciek bez słowa wyszedł do kuchni, by po chwili wrócić i podać mi szklankę wody. Patrzył na mnie, gdy piłam, łykając łyzy.

– Muszę wyjść – wykrztusiłam wreszcie. – Zbyszek miał wypadek! – Spojrzałam na szefa załzawionymi oczami.

– Żyje?

– Nie...

– Jechać z tobą? – spytał.

Potrząsnęłam przecząco głową i podniosłam się z wysiłkiem.

– Nie wracaj do biura. Wieczorem zadzwonię. – Poklepał mnie niezdarnie po plecach, po czym szybko wrócił do swojej roboty. Nigdy nie radził sobie z kobiecymi łzami. Że o romansach podwładnych już nie wspomnę...

Założyłam rozpinaną bluzę z kapturem i wyszłam na zalaną słońcem ulicę. Romans ze Zbyszkiem wykańczał mnie nerwowo przez ostatnie miesiące. A teraz jego śmierć. Od pierwszych wspólnych chwil toksyczny kochanek przysparzał mi wielu niepotrzebnych emocji, ale rozbijał także skutecznie monotonię telewizyjnej roboty. Od wielu lat robiłam to samo. W setkach liczyłam już nieprzespane noce spędzone na dokumentowaniu i nerwowym pisaniu scenariusza na ostatnią chwilę. Potem czekały mnie już tylko upokarzające kolaudacje z dziwnymi bossami z telewizji, od których zależało wszystko. Niewątpliwie potrzebowałam odmiany. Jak dobrej, skutecznej w długotrwałym działaniu kosmetyczki. Ale nie rozmowy z żoną kochanka! Na dodatek martwego.

Po kilku godzinach narady, gdy za oknem zapadał zmrok, miałyśmy już z Natalią z grubsza ustalony plan działania. Miałam od poniedziałku poszperać w dokumentach i znaleźć drogocenną teczkę, a Natalia obiecała wesprzeć mnie w poszukiwaniach klucza w biurze. W mojej przepastnej torbie i plecaku na zakupy go nie było. Przetrzęsanie teraz mieszkania nie wchodziło w grę. Byłam wrakiem człowieka. Miałyśmy też w planach wspólną wyprawę do Koszalina. Z Natalią jako zasłoną dymną. I tak to właśnie tam działał Burda, mogłam go więc wykorzystać jako pretekst do wyjazdu. Musiałam, sama nie wiem dlaczego, dowiedzieć się wszystkiego o wypadku Zbyszka. Dotrzeć do naszego domu przed Podlą. I w ten sposób jakoś się z nim pożegnać. Poza tym miałam dziwne wrażenie, ba, pewność nawet, że w tych dokumentach może być coś ważnego. Nie tylko dla mnie. Jak zasugerowała Podła, wracał wtedy właśnie z domu pod Mielenkiem, może zostawił mi w nim jakieś informacje? Mieliśmy tam przecież zamieszkać na starość, jak mówił. Liczyłam też na moje dawne kontakty w urzędach. Obiecał już dawno, że ten dom będzie mój.

Wcale nie chciałam, głupia, jego rozwodu. Tylko jego. Tam, nad morzem. Ze mną do końca życia. W naszym domu. I to mi właśnie przyrzekał na naszym tarasie. Może naprawdę mi go zapisał? Wyłączył ze spadku i dał mnie? Kilka razy już tam wyjeżdżałam na krótki urlop po sezonie. Więc taki wyjazd z Natalią nieźle mnie kamuflował. Dwie przyjaciółki szwendające się nad morzem nie zdziwią nikogo. Działanie zawsze dobrze mi robiło na wszelkie kryzysy, więc poczułam niejaką ulgę. Natalia przeciwnie. Słabym głosem oznajmiła mi, że zostaje na noc, i jak siedziała, tak padła na dywan, okrywając się tylko pobieżnie kocem z kanapy.

Mój umysł był trzeźwy jak niemowlę o poranku. Musiałam działać. Chwilowo tkwiłam jeszcze w Warszawie i musiałam coś zrobić z nadmiarem kłębiących się we mnie emocji. Padło na szafki pod zlewem. To u nas rodzinne. W momencie największych życiowych napięć wszystkie kobiety w mojej rodzinie robią gruntowne porządki. Rodowych sreber do czyszczenia nie miałam, cała rodzina z resztkami zastawy mieszka w Łodzi. Celowo do nich nie dzwoniłam. Mamusia nie akceptowała Zbyszka, a ciotki były wścibskie. Co niby miałam im powiedzieć? Że ten niesmaczny rodzinny kłopot związany z moim romansem mają już z głowy? Zabrałam się więc za gary i tony doniczek oraz narzędzi ogrodniczych w kuchni. Potem przyszedł czas na brutalną selekcję kubków i talerzyków. Na deser zostawiłam sobie szuflady z przyprawami i sztucami oraz stosem praktycznych ściereczek do naczyń i starych lekarstw na wszystko.

Mniej więcej koło czwartej nad ranem wyniosłam na śmietnik pokaźny cuchnący wór ze śmieciami i trzy kolejne ze zbędnymi naczyniami i resztą. Po powrocie umyłam podłogi w całym

mieszkanu i tęsknie spoglądałam na szafkę z butami i skrzynię w przedpokoju. Ale po namyśle zostawiłam je sobie na potem. Nie wiadomo, kiedy znowu mnie to chwyci, a lepiej mieć coś na zapas. Wykąpałam się znowu, łyknęłam melisy i już o piątej trzydzięci leżałam z szeroko otwartymi, suchymi oczami na kanapie i udawałam, że śpię.

Natalia u moich stóp posapywała znacząco, ale nie działało to na mnie nasennie. Przeciwnie. Przed oczami przesuwwały mi się wciąż kiczowate sceny romansu ze Zbyszkiem. Pierwsze wino nad morzem, romantyczne nocne nasiadówki na tarasie i czekanie na wschód słońca. I jeszcze pięknie nakryty stół ze świecami i mrożonym szampanem z owocami i lodem oraz sokiem pomarańczowym. Mój ulubiony letni drink.

Z niewiadomych dla mnie przyczyn mój luby po skonsumowaniu romansu, już w Warszawie, w moim łóżku – a co, byłam w końcu z dobrego domu! – przeszedł gwałtowną metamorfozę. Przeszedł się starać, a zaczął wymagać. Stał się marudnym, niesłuchanie wybrednym i złośliwym dziadem. Niestety dla mnie było już za późno. Różowa mgła spowijała mój cały świat i gdyby nie praca, to całe dnie spędzałabym na wachaniu jego szalika. I kompletowaniu stroju na kolejną randkę. Nie jadłam, głównie popijałam wodę i herbatę. Garderobę musiałam zwęzić o dwa numery. Chudłam i pochmurniałam na zmianę. Ekspresowo.

Tymczasem lato zmieniło się niepostrzeżenie w jesień. Moje życie towarzyskie praktycznie zamarło. Godzinami czekałam, aż Ohydny przyjdzie, zadzwoni lub odwoła spotkanie. Nie liczyło się nic, nie liczył się nikt. Znajomi taktownie czekali, dając mi czas na dojście do siebie. Tylko Maciek, który znał Zbyszka z pracy, za każdym razem, gdy Ohydny wychodził z naszego biura, znacząco pukał się w czoło. Miał rację. I co z tego? Miłość z rozumem nie ma przecież nic wspólnego. Każda kobieta, która przechodziła piekło toksycznego romansu, dobrze to wie.

Usnęłam wreszcie z szalikiem Ohydneho w garści, i tak o poranku zastała mnie Natalia. Potwornie obolała po nocy spędzonej na podłodze postanowiła wstać i zrobić nam kawę. Oraz zakupy. W lodówce zastała bowiem tylko światło. Zakochani nie jedzą. Żyją miłością. Przynajmniej ja tak mam.

Spałam więc sobie twardo, a moja niezawodna przyjaciółka po długim kwadransie odnalazła potrzebne naczynia, ekspres do kawy i łyżeczki. Nic w kuchni nie stało na swoim miejscu. Ale za to wszystko błyszczało olśniewającym blaskiem. Natalia pokiwała smutno głową, z obrzydzeniem wypila mocną kawę z miodem i udała się do sklepiku pani Zosi na dole. Była to potwornie droga placówka spożywcza, ale za to całkowicie bez sztucznej żywności. Tylko tam mogłam kupić jedzenie bez ryzyka nagłego ataku alergii. Emulgaty i inne świństwa były śmiertelnym wrogiem moim, pani Zosi i jej wnuczki. Ufałam jej prawie jak Natalii. W kwestii jedzenia, rzecz jasna. Natalia świetnie to wiedziała. Nocowała u mnie nie raz.

Po zakupach, uboższa o sześćdziesiąt złotych, udała się na górę i zaczęła przyrządzać na patelni najdroższą jajecznicę świata ze szczypiorkiem. Włączyła też radio, które zaszemrało porannym serwisem wiadomości. Koło jedenastej Natalia zasiadła ponownie u moich stóp z tacą z gotowym śniadaniem. Podetknęła mi sprytnie filiżankę z kawą pod nos. Wiedziała, co robi. Jak automat usiadłam w łóżku na baczność.

– Co jest? – spytałam mało kulturalnie, trąc zaspane oczka.

– Dzwoniła Marta, że chce jeszcze pogadać – wyjaśniła Natalia.

– Skąd wiesz, że dzwoniła?

– Od wczoraj mam twój numer telefonu, nie pamiętasz?

Wzniosłam tylko oczy do nieba. No tak!

– Pamiętaj, co ustaliłyśmy – kontynuowała Natalia. – Pogadaj z nią koniecznie. Nie będzie wrzeszczeć. Obiecała. Ma jeszcze jakąś pilną sprawę.

– Ciekawostka przyrodnicza. A jaką? Kawa pycha!

– Nie wiem, mnie za nic nie powie. Muszę lecieć. Masz przyjść do Legalnej dziś po południu, zrozumiano? – Inaczej zawiadomię pogotowie i straż pożarną. – Natalia popatrzyła na mnie z troską.

Kiwnęłam głową jak maszyna i o dziwo zaczęłam jeść. Najwyraźniej odzyskiwałam utracony apetyt.

– Słuchaj, nie wiem, jak ci to powiedzieć... – zaczęłam.

Natalia odwróciła się do mnie z kubkiem.

– Że czujesz też wielką ulgę, co?

– Skąd wiesz? – Jej intuicja była zdumiewająca.

– Nie ty jedna przeżyłaś toksyczny związek. – Rozejrzała się po pokoju. – Naszyjnik do tego, co ci naszykowałam. A może to? – Pokazała mi wybrany na spotkanie z Podłą szary kombinezon z przeceny i dobrany do tego koralowy szal i zestaw srebrnej biżuterii.

– Szal... Natalia, ja nie wiem, czy dam radę... Czuję się taka samotna, pogubiona w tym wszystkim. Jak pomyślę o powrocie do pustego domu wieczorem, to mi słabo...

– Oczywiście, że dasz. To nie koniec świata, tylko koniec romansu. I to definitywny. Szczęście w nieszczęściu. Wskakuj pod prysznic, to cię podrzucę!

– Natalia... – Zerknęłam na komórkę. – Do mnie też ktoś dzwonił. Jakaś dostawa czy coś, sama zobacz. – Pokazałam jej komórkę z nagraniem poczty głosowej.

– O rany, kawa i ciasta! Pospiesz się z myciem, oszalejemy z tymi telefonami w obie strony!

Więc wskoczyłam pod prysznic. Zrobiło mi się głupio. Natalia nigdy mi się nie zwierzała. Ale o moim romansie wiedziała wszystko. Co do minuty. Musiałam komuś o Ohydnych opowiadać na bieżąco i tak odreagowywać natłok kłębiących się we mnie emocji. Trafiło na nią. Tymczasem moja dzielna przyjaciółka od rozwodu nigdy nie zająknęła się na temat swoich sercowych dramatów. Poza tym miała inne zmartwienia. Od paru miesięcy dzielnie walczyła o przetrwanie wymarzonej księgarnio-kawiarni na dalekim Grochowie. Licząc na to, że mieszkańcy jej ukochanej dzielnicy tak jak ona załapią się na minimalną dawkę kultury i świetną kawę z gorącą kanapką w pakiecie. Pomyślałam ze wstydem, że ona, mająca na głowie tak duży kredyt, praktycznie zamknęła dziś interes, aby mnie pielęgnować. Poza tym tak się składało, że to Natalia zwykle miała rację, a nie ja, jeśli chodzi o moje miłosne wybory. Rozwiedziona, z byłym mężem alkoholikiem przeszła niejedno. Po kąpieli wmusiła we mnie jeszcze duży kubek gorącej wody z imbirem. Oprócz wielu innych zalet miała też tę, że zdrowo się odżywiała i dobrze wiedziała, co mnie wzmocni.

Parząc sobie usta gorącym napojem, obiecałam, że umówię się na spotkanie z Podłą Martą.

A wcześniej wdepnę jeszcze do biura. Zniknęłam przecież, porzucając dokumentację i montaż.

Stojąc przezornie tyłem do lustra – byłam bowiem zapuchnięta i blada jak trup – rozczesalam szaroburomysie włosy do ramion z imponującym blond odrostem, które w międzyczasie same wyschły mi pod ręcznikiem, i włożyłam dobrany do nich kolorystycznie strój. Zero makijażu, wklepałam tylko make-up, a choć wiedziałam, że moim włosom daleko do jakichkolwiek pozorów fryzury, czułam, że to już jakiś sukces. Najwyraźniej wracałam powoli do mojego starego życia. Tego nudnego. Przed Zbyszkiem. Natalia odwiozła mnie do biura na Narbutta i mocno uściskała na pożegnanie. Pobeczalam sobie jeszcze chwilę w samochodzie na uspokojenie. Po czym wyszłam, trzasnęłam drzwiczkami i postanowiłam zmierzyć się odważnie ze światem.

Prywatna firma producencka mojego kolegi oczywiście świeciła pustkami. Niedziela! Na moim biurku leżała jednak kartka od Maćka.

Fajnie, że wróciłaś. Oddaj mi wreszcie dysk z materiałami! I wpadnij w poniedziałek, ustalimy, co z Poetą z MOPS-u. Konferencja jest w Wesolej we wtorek po dziesiątej.

Uśmiechnęłam się w duchu. Natalia musiała go zawiadomić. Pokrzepiająca była świadomość, że nadal mnie zatrudniał. Wysłałam mail, że dysk z dokładnym opisem dostanie późnym wieczorem, i wzdychając, zadzwoniłam do Podłej Marty. Odebrała od razu.

– Naczekałam się na twój telefon. – Usłyszałam w jej głosie lekką pretensję.

– Wcześniej nie byłam w stanie... I tak naprawdę sama nie wiem, po co do ciebie dzwonię – przyznałam.

– Masz teraz czas? Nie chcę odkładać tej rozmowy.

– Dobrze, gdzie się chcesz spotkać?

– No nie wiem, a gdzie ci będzie wygodnie?
– Bądź w herbaciarni na dole u Chińczyka, tej obok biura. Puławska przy Narbutta. Za pół godziny? – zaproponowałam.
– Wiem, gdzie to jest, Maciek pracował też dla mnie – oświadczyła mi nieprzyjemnym tonem. Rozłączyła się, co uznałam za zgodę.

W knajpce u Zębatka jęczała już cicho stara analogowa płyta z chińską muzyką filmową. Kilku garniturowców spożywało w skupieniu popisową zupę kokosową. Specjalność zakładu. Usiadłam przy wejściu i zamówiłam dzbanek jaśminowej herbaty. Chińczyk uprzejmie się skłonił i szybko pozostawił mnie w spokoju z serwisem herbacianym w różyczki. Po chwili weszła Marta i skinęła mu głową. Usiadła przy moim stoliku. Nie od razu zaczęła swoją przemowę. Czekwała na odpowiedni moment, jakbyśmy byli na jakimś ważnym zawodowym spotkaniu. Popijałam herbatę w skupieniu i milczeniu. Postanowiłam jej niczego nie ułatwiać. W porównaniu ze mną prezentowała się schludnie i szalenie ekskluzywnie. Kostium Chanel w końcu do czegoś ją zobowiązywał. Podobnie jak torebka Michaela Korsaa. Mnie pozostawiła rolę tej zmęczonej życiem i rozczochranej kochanki po przejściach. W ciuchach bez metek. I z torbą boho z przeceny. Wreszcie skończyła mi się krytycznie przyglądać i wypaliła:

– Matylda, wiem, że go kochałaś. Ja już od dawna nie, ale mieliśmy dziecko. Poza tym Zbyszek był formalnie wciąż moim mężem i uczynił mnie wykonawcą swojego testamentu.

Kiwnęłam głową. Milcząco kontemplowałam rozkład menu nad głową Zębatka. Zestaw dnia za trzynaście złotych, proszę, proszę...

– Hmm, no tak – chrząknęła harpia. – Zbigniew powiedział mi o naszym domu nad morzem. Że ma być dla ciebie i że kiedyś tam zamieszkacie. I teraz nie wiem, co z tym zrobić.

Czyżbym usłyszała w jej głosie nutkę hysterii?

– Z czym? Z domem czy z zapisem? – próbowałam uściślić, zaszczycając ją wreszcie krótkim spojrzeniem.

– Nie bądź śmieszna. Z jednym i drugim. To sporo warte. Ja mam tylko moje mieszkanie na Saskiej i dwa samochody.

No i dwa tłuste konta w banku, ale żadna z nas na razie nie wie, ile tam tego jest – dodałam w myślach przytomnie.

– Jestem tak daleka od śmiechu, jak Syberia od Riwieri – zapewniłam ją zamiast tego, cytując klasyka. I dolałam sobie herbaty. Po czym znów taktycznie zamilkłam i przyjrzałam się jej uważnie. Nie była nawet na mnie zła. A tym bardziej nie była zrozpaczona. Chciała po prostu rozwiązać problem. Zimna i kompetentna. Wykładała na prywatnej japońskiej wyższej uczelni komputerowej. Miała nawet na swoim koncie jakieś zagraniczne sukcesy naukowe. Ostra, sucha i konkretna. Tak, bardzo się różniłyśmy. Klasą, charakterem i stopniem podłości oczywiście.

– Nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz... – powiedziałam wreszcie ostrożnie. Podniosłam się też z krzesła, żeby zdjąć szal. Gryzł mnie w szyję i lekko przyduszał. A może to te pizmowe perfumy Podłej? Kichnęłam i łyknęłam profilaktycznie xyzal. W każdym razie ona mój ruch rozumiała inaczej.

– Nie uciekaj jeszcze, proszę! – Dotknęła uspokajająco mojej ręki. – Usiądź na chwilę. Chciałabym tylko po prostu, abyśmy nadal mogli z Barnabą przyjeżdżać na dwa tygodnie latem nad morze. Oczywiście opłaty wtedy podzielimy. Zastanawiałam się też, czy możemy podzielić wpływy z letniego wynajmu na połowę. Założyłabym Barnabie konto. To by było na jego studia. Zbyszek od lat wynajmował ten dom letnikom, chyba zresztą wiesz...

– Oczywiście, tam się przecież poznaliśmy... – Zakasłałam nienaturalnie, bo łzy same napłynęły mi do oczu.

– Wiem, powiedział mi o tym od razu – odrzekła spokojnie.

– O czym? – Gwałtownie uniosłam głowę i niestety łzy pociekły mi aż na brodę, rozmazując po

drodze resztki drogiego kremu.

– No, że spotkał wreszcie kogoś, z kim chce spędzić resztę życia. Nie robiłam mu trudności. Też kogoś mam od jakiegoś czasu. Kłóciliśmy się tylko o wspólny biznes, no i o opiekę nad synem. Pewnie ci wspominał...

– Tak – bąknęłam tylko.

– To co, umówię nas u notariusza i spiszymy umowę, dobrze? – Wyraźnie poczułam ulgę w jej głosie.

– Umowę? – Brwi podjechały mi aż pod czubek głowy.

– No, prawne ustalenia o podziale wpływów z najmu. Jak najszybciej! Jak tylko znajdziesz klucze.

– Zastanowię się jeszcze, porozmawiam z moim prawnikiem. Czy możesz mi powiedzieć... – Zawiesiłam głos.

– Chcesz wiedzieć, jak zginął, tak? Pies wyskoczył mu pod koła, Zbyszek go ominął i wjechał w betonowy słup. Właśnie wracał spod Koszalina. Mówiłam ci to już. Sprawdzał, co z domem. Zmarł w drodze do szpitala. Nie cierpiał.

Relacjonując to tonem sprawozdawcy sportowego, żona mojego kochanka najwyraźniej zbierała się już do wyjścia. Spokojna, opanowana i elegancka wdowa. Jej buty i rękawiczki kosztowały więcej, niż wynosiła moja pensja. Ale umiała liczyć każdy grosz. To Zbyszek też mi powiedział.

Zapłaciła Zębatkowi za nasze herbaty, nie zostawiając napiwku, po czym energicznie wstała i ruszyła prosto do wyjścia. Nie podała mi ręki. Na szczęście. Wyrwałabym jej ją chyba razem ze stawem!

– Czekam więc na telefon! – rzuciła jeszcze oschle.

– Zadzwoń do ciebie w ciągu tygodnia – obiecałam.

– Po pogrzebie, jest, zdaje się, we czwartek. Zawiadomię cię jeszcze. Może zadzwonisz w przyszły piątek? – zaproponowała harpia. Musi mieć kawał lodu zamiast serca. Suka jedna!

– Nie. W następny poniedziałek – ucięłam stanowczo.

– Świetnie, czekam. I jeszcze jedno... Zbyszek miał rację.

Uniosłam ponownie brwi.

– Powiedział, że z domem nie będziesz robiła problemów – uściśliła.

Kiwnęłam jej oficjalnie głową na pożegnanie. Po czym, gdy wyszła, natychmiast zadzwoniłam do Natalii.

– Straszna z niej harpia, co? – Natalia konała z ciekawości, jak mi poszło.

– No, konkretna babka. Od razu chciała mnie zawlec do notariusza.

– O rany! A co, zapisał ci coś?

– Nie wiem. Chyba dom nad morzem. Podła ma testament. Ale jeszcze go nie otworzyła. Może u tego notariusza, nie wiem...

– Wasze gniazdko miłości, naprawdę? O, sorry, Mati... Nie chciałam, naprawdę... A skąd wiesz o tym testamencie?

– Od niej. Od razu mi to powiedziała u Bonza.

– Dziwne...

– Co?

– Że mówił żonie takie rzeczy...

– Nie, dlaczego? Byli w separacji i porządkowali swoje sprawy. Poza tym on miał kilka kont, zdaje się. Mnie dał dostęp tylko do prywatnego. Nawet nie wiem, ile tam tego jest. Nigdy tam nie zaglądałam. Jak byliśmy razem, zawsze płacił on.

– Nie planowaliście ślubu?

– Nie, ale Zbyszek bardzo chciał ze mną zamieszkać. I nie lubił mojej pracy. Mówił, że sam mnie utrzyma i że mam pisać tylko dla przyjemności. Że mnie ustawi na długo. Nie mówiłam ci o tym, bo

myślałam, że tylko tak gada. Jak czegoś ode mnie chciał, potrafił być uroczy. A co do umowy, to harpii kazałam czekać do przyszłego tygodnia – dodałam.

– Bardzo mądrze. Musimy to omówić. Przyjeżdżaj!

– Wsiadam do metra i zaraz jestem. – Rozłączyłam się i zamyśliłam.

Natalia miała trochę racji. Z jednej strony trzymał mnie na dystans, a z drugiej – nagle ofiarowywał dom i luksusy...

W drodze dopadł mnie telefonicznie Maciek i zaatakował wprost konkretnym pytaniem o powrót do pracy. Obiecałam, że od poniedziałku będę przychodzić jak dotąd – codziennie – i regularnie dokumentować materiał do filmu. Dokończę też montaż kuguarów. I poszperam przy zboczeńcu z MOPS-u. Od lat walczyliśmy też o pieniądze na film o słynnych polskich morderczyniach. Aż niespodziewanie właśnie teraz przyszła odpowiedź z PISF-u. Wyglądało więc na to, że temat zbrodni będzie mnie teraz osaczał. Nie zamierzałam się jednak poddawać. Wspomniałam mu też o planowanym krótkim urlopie. Zgodził się od razu. Natalia miała rację. Trzeba domknąć pewne sprawy, nim zacznie się nowe życie. Wysiadając na Grochowie, nie przypuszczałam jednak, w co się przy tej okazji wplątałam. Siebie i Natalię.

ROZDZIAŁ 2

ZAGĘSZCZA SIĘ

W knajpie Natalii siedziały już jej grochowskie kумы i gadały jedna przez drugą o przecenach w pobliskim outlecie. Na blacie baru stał otwarty laptop, a obok miseczka z parującym krupnikiem. Usiadłam, zjadłam i spojrzałam odruchowo na ekran. Natalia przeglądała właśnie strony schronisk ze zwierzętami. Zaznaczyła sobie białą-czarną, prawie dwuletnią kundelkę po sterylizacji. Nazywała się Spanielka. Zapewne dzięki długim jedwabistym uszom i konsekwentnemu czarno-białemu umaszczeniu.

– Śliczna, co? – Natalia objęła mnie ciasno w pasie i spoglądała mi przez ramię, gdy czytałam o Spanielce.

– No. Bierzesz ją? – spytałam.

– Tak, dla ciebie. Jedziemy tam jutro o ósmej rano. To niedaleko. W Falenicy. Azyl „Pod Psim Aniołem”.

– Chyba oszalałaś, Natalia! – Byłam przerażona.

– Potrzebujesz kogoś takiego jak ona. Ciągłe gadasz, jak ci jest smutno i źle. To mądra suczka i jest tam krótko. Jedziemy i już! – zdecydowała Natalia po swoim i poszła z ciastem do koleżanek.

– Ja nie mam czasu na psa, no i mieszkam w klitce! – protestowałam słabo, drepcząc za nią z kawami dla jej znajomych.

– Przypominam ci, że w tej klitce przed tobą mieszkała trzyosobowa rodzina. Z psem! – Natalia minęła mnie i zebrała po drodze brudne naczynia. Zaczęła sprzątać kawiarnię.

Koło piętnastej jej grochowskie kумы zapłaciły i polazły do siebie. Zostałyśmy w knajpie same i omówiłyśmy strategię rozmowy z prawnikiem. Henio był do tego celu idealny. Chciałam się dowiedzieć, kto prowadzi dochodzenie i na jakim etapie jest śledztwo. Oraz co się tak naprawdę Zbyszkowi stało. I czy dom ocaleje dla mnie, czy muszę się pożegnać także z nim. Półtora roku romansu nauczyło mnie jednego. Z żoną kochanka trzeba działać konkretnie i na temat. Bo w sprawie pieniędzy gotowa jest na wszystko.

Tymczasem Marta po spotkaniu w herbaciarni wysyłała mi tylko enigmatyczne maile z prośbą o teczkę i klucze. Odpisywałam, że jak tylko znajdę, to się odezwę. Musiało ją bardzo przypilić. Wysłałam Heniowi SMS, żeby się konkretnie umówić na spotkanie. Odpisał, żebym koniecznie wpadła do niego do domu. Mieli z Beatą trzy córki, zawsze je kąpał przed snem. Wzorcowa rodzina prawników! Kiedyś strasznie się w Heniu kochałam. Co taktownie załatwił, robiąc z siebie nadętego dupka. Żeby mi przeszło. Podziałało bez pudła. Od tego czasu kumplowaliśmy się. Był moim prawnym doradcą. A czasem i ekspertem w naszych z Maćkiem programach na wizji. Co uwielbiał.

Natalia tymczasem zajęła się rachunkami, a ja surfowałam sobie spokojnie po necie. Melody Gardot śpiewała nam melancholijnie. Powoli zapominałam o smutkach. O złamanym sercu oraz pustym portfelu. Spotkania z moją przyjaciółką miały w sobie jakąś tajemną moc.

Nagle w drzwiach kawiarni pojawił się kompletnie pijany były mąż Natalii. Uwielbiał takie akcje. Zwykle awanturował się tak długo, aż mu dała trochę kasy. Niestety mieszkał blisko i wiecznie nie miał pieniędzy. A po alkoholu zapominał o strachu przed groźną byłą małżonką, która nadal przejawiała w stosunku do niego niejaką słabość. Była nieugięta tylko wtedy, gdy on był po kilku głębszych. Dziwiło mnie to. Eksmaż był rudy, różowawy i pulpetowaty. Do tego, w wersji trzeźwej, wyjątkowo mrukowaty. Daleko mu było do amanta. No ale miłość, jak wiadomo, nie wybiera.

– Nataluuusia! – ryknął eks, z trudem zachowując pion i usiłując jednocześnie dotrzeć do baru po linii falującej. Zapewne oszalałe neurony w jego głowie również znacznie falowały.

– Won! – odpowiedziała mu krótko, nawet nie podnosząc głowy znad zmywaka.

– Umieram bez ciebie! – ryknął ponownie Stach i stosując nieprawdopodobną ekwilibrystykę,

cudem władował się na barowy stołek.

– Dzwonię na policję – poinformowałam przyjaciółkę i wyszłam na zewnątrz.

Po namyśle wykreśliłam numer porucznika Kudelki. Znaliśmy się od czasu artykułu o odgrzebywanej z lubością przez polityków słynnej aferze w Magdalence. Pomagał mi dotrzeć do prawdziwych bohaterów tego zdarzenia. Ekipy zbierającej ślady z miejsca zbrodni. Był dziwny, ale skuteczny. I upierdliwy do bólu. Zawodowy pies. A do tego w reportażu zrobiłam z niego co najmniej Jamesa Bonda, więc chyba coś mi się od niego należało! Nie widziałam go na oczy. Wywiad do gazety robiliśmy przez telefon. A spotykać się nie chciał. Lub raczej wtedy chyba nie mógł.

– Poruczniku, pomyślałam, że może ma pan dziś dyżur. Matylda Kwiatek, pamięta pan?

– Ta redaktor od sensacji?

– Tak, ta właśnie. Mamy tu taki kłopot. Co prawda na Grochowie... Legalna na Terespolskiej, tuż obok sądów. Ale co to dla pana...

– Ja obsługuję Śródmieście, droga redaktor Kwiatek. – Stróż prawa, sądząc po nad wyraz oficjalnym tonie, był też już po paru głębszych.

– Wiem, wiem, ale to taka rodzinna sprawa. Bardzo pana proszę...

– No dobrze, ale wezmę ze sobą któregoś z chłopaków. Piję dziś od rana na smutno. Polonia wczoraj przerznęła, rozumie pani – poinformował mnie szczerze i się rozłączył.

Pojawił się niebawem, i to w momencie, gdy Stach rozbierał się już prawie do naga, aby pokazać Natalii, jak strasznie schudł po rozwodzie. Z biedy, rzecz jasna. Kudelka raźnie wkroczył z młodym bysiem w mundurze i błyskawicznie wykonał jakiś skomplikowany gimnastyczny manewr z nogami w górze. Golas znalazł się na podłodze. A zaraz potem w policyjnej suce, którą następnie odjechał z pomocnikiem Kudelki, niejakim Migdałem, do izby wytrzeźwień. Trwało to wszystko jakieś dwie, trzy minuty. I nie powiem, zrobiło wrażenie. Na nas obu. Że o Stachu już nie wspomnę.

– Potem go ubierzemy – wyjaśnił jeszcze nonszalancko Kudelka oczarowanej jego gimnastycznym popisem Natalii. Kiedy nie podskakiwał, nie robił aż tak wielkiego wrażenia. Chudy, łysiejący i blady facet w dresie. Z dramatyczną zaczeską gwałtownie odcinającą się od czaszki. Kto by pomyślał! Moja przyjaciółka uściskała go i spontanicznie obdarowała resztką zupy oraz szarlotki. Wyraźnie tym ucieszony obiecał wpadać zawsze przy okazji. I bez.

– Matka mieszka na Pradze. Lubię tu bywać w weekendy – wyznał. – Mieszkam sam, no wiecie, panie – dodawał jeszcze raz po raz, nie wiadomo po co. Ale spojrzenie miał bardzo szkliste. W trakcie dalszej dziwnej rozmowy o samotnym mieszkaniu w wielkim mieście, bez ciepłych obiadów i w ogóle, Kudelka pożerał kolejno ocalałe resztki z baru, popijając je piwem z lodówki. Wymachując widelcem, instruował nas także szczegółowo, co jeszcze można zrobić z upierdliwym byłym, który nachodzi nas po pijaku. Wreszcie koło dziewiętnastej Natalia stanowczym gestem zabrała mu ostatnią salaterkę po galaretkę z truskawkami i zamknęła knajpkę. Pojechałyśmy z nieszczęsnym opitym Kudelką do centrum. Podrzuciła nas do metra.

– Pani redaktor w którą...? – Porucznik chwiał się uroczyście na schodach do metra.

– W przeciwną – wolałam uprzedzić od razu.

– Ach, więc tu się pożegnamy. – Kudelka wykonał teatralny skłon, po czym złożył na mojej dłoni mokry pocałunek z ohydny cmoknięciem. Był bardziej wstawiony, niż na to wyglądał. Wzdrygnęłam się, ale przecież w końcu nam pomógł. Na do widzenia wysłałam mu coś w rodzaju imitacji uśmiechu. Po czym galopem uciekłam schodami w dół do wagonika metra jadącego w stronę Kabat. Bałam się, że będzie chciał mnie jeszcze odprowadzać pod same drzwi.

Okolo północy skończyłam opisywać dysk i wysłałam Maćkowi mail. Odpowiedział natychmiast, życząc mi miłej wyprawy i zapraszając z psem do biura. Najwyraźniej Natalia raportowała mu na bieżąco, co i jak. Znali się oczywiście, spotykali u mnie od lat. Chyba uznał, że dzięki temu będzie miał najświeższe informacje. Wolałam myśleć, że te wszystkie zabiegi to z troski o moją skromną osobę. Ale nie zamierzałam w to wnikać.

Za dużo miałam na głowie ważniejszych spraw. Wysłałam jeszcze na chwilę ze śmieciami i odrzuciłam kilka nocnych połączeń od natrętej Marty. Przewertowałam tylko papiery na biurku i te w okolicach łóżka, które gromadziły się nagminnie na podręcznym stoliku i w koszu wiklinowym z gazetami. Wywaliłam dwa kartony i wróciłam. Teczki nie było.

Kilka kartonów z dokumentami stało jeszcze pod biurkiem i w pudłach wraz ze starymi scenariuszami w piwnicy. Podła musiała jeszcze poczekać.

O świcie ruszyliśmy bolidem Natalii po Spanielkę. W Falenicy nie wszyscy znali Azyl, więc poprosiłam młodego rowerzystę o pomoc. Popedałował gdzieś w okolice dworca, a po chwili wrócił i za dychę obiecał nas poprowadzić. Mniej więcej po kwadransie drogi wzdłuż torów i dwóch skrętach w prawo stanęłam oko w oko z właścicielką tego nieszczęsnego przybytku. Groźnie wyglądającą siwą damą z kokiem. Przepytала mnie dokładnie, sprawdzając, czy się nadaję na opiekunkę suczki, i wreszcie mi ją przyprowadziła. Gdy zobaczyłam to chude zakurzone stworzenie, natychmiast ryknęłam płaczem i zaczęłam ścisnąć nową kudłatą przyjaciółkę, a ta – wyjął równie głośno – odpowiadała skwapliwie na moje pieszczoty.

– Udusisz ją. – Natalia delikatnie zapięła suczce smycz i stanowczo skierowała mnie w stronę wyjścia.

– A formalności?

– Załatwione, jak obie ryczałyście. Chodź!

– A dałaś coś na schronisko?

– Dałaś. Dwie stowy.

– Oddam po dziesiątym – obiecałam.

– Mowy nie ma, to prezent ode mnie na nowe życie dla was. – Natalia łagodnie poklepała po łepku moją Spanielkę.

– Tylko imię jej zmień. Może Sonia?

Pies błyskawicznie spojrzał bystrym czarnym okiem.

– Widzisz? Reaguje! – ucieszyłam się.

– Fajna jest. Odwiozę was do roboty, a sama wracam do knajpy.

– Dzięki, kochana jesteś!

Natalia przewróciła oczami i poinformowała mnie o nowych obowiązkach odpowiedzialnego właściciela psa. Mycie, badanie, weterynarz, chip... Wszystko skwapliwie zapamiętywałam, kiwając głową i przytulając suczkę siedzącą w samochodzie u moich stóp. Trzęsła się, biedaczka, ze strachu i drapała mi bose stopy w klapkach do krwi.

Jakoś dałyśmy radę dojechać na Mokotów, ale niestety musiałam zabrać suczkę do pracy. Pierwszego dnia nie powinna być od razu sama w domu. Elka – nasza szefowa produkcji – też czasem tu przyprowadzała swojego syna z kotem, na którego miałam uczulenie. Powinni zrozumieć. W biurze, ku mojej radości, na Sonię czekały miska z wodą i posłanko ze starego koca, gdzie suczka natychmiast wygodnie się ułożyła i usnęła.

– Ładna nawet – powiedział Maciek łaskawie, gdy tylko dotarł zdyszany. – Mam nadzieję, że jutro nie będzie już tak śmierdziała...

– Przepraszam, nie zdążyłam jej wykąpać... – Speszylałam się.

– W łazience jest szare mydło i stary ręcznik – poinformował mnie krótko. – A potem czekam u mnie. Musimy wreszcie ułożyć wstępny plan akcji na Burdę!

Okazało się, że Sonia nienawidzi kąpieli i wycierania jej szorstkim ręcznikiem. Trochę zajęło mi też doprowadzanie do ładu pozostałego po ablucjach pobojuwiska. Gdy wypuściłam ją wreszcie, błyskawicznie zaryła się w stary koc i łypała stamtąd ciemnym okiem na Maćka. Pełna obaw, czy to aby już koniec tortur na dziś. Reszta, Ela z Jackiem i Ola, przyglądała się jej z rozbawieniem.

– Mamy tu rzeźnika na dole. Zamówiłem ci resztki. – Kudłaty siwy Jacek, nasz komputerowy spec, przykucnął i nakrył mokrego psa kocem. – Możesz już odebrać – poinformował mnie jeszcze

i poklepał serdecznie po ręce. Po chwili dziewczyny podeszły do mnie po kolei i przytuliły, deklarując wszelką pomoc. Wzruszyłam się i pochlipałam nawet trochę wtulona bezpiecznie w ciepły miękki biust Oli – naszej seksownej sekretarki. Nawet Elka mnie uścisnęła. Choć się szczerze nie lubiliśmy. Szanowałam ją jednak za robotę, którą wykonywała dla nas. Sprzęt potrafiła wykopać nawet spod ziemi. Pieniądze także.

A ona, samotna matka po przejściach, od lat zakochana w Maćku – bez wzajemności – była potwornie zazdrosna o naszą przyjaźń. Miała piękne nogi i cięty język. Oraz haczykowany nos i trwałą. Nie znosiła kobiet. Z wzajemnością zresztą.

– No, wystarczy już chyba na dziś tych czułości, do roboty! – Maciek stanowczym ruchem dłoni zaprosił nas do siebie na długą nasiadówkę.

Po kilku godzinach plan zasadzki na szefa MOPS-u, defraudującego społeczne pieniądze i piszącego zbredzone wiersze miłosne, był – z grubsza rzecz biorąc – gotowy. Mogłam wyjść z Sonią na obiad i krótki spacer.

– Chcecie coś od Zębatka? – Zajrzałam jeszcze do Maćka, gdzie Elka domykała plany produkcji na ten tydzień. Byłam im bardzo wdzięczna, że nawet nie zajęknęli się pytaniami o Zbyszka, pogrzeb i o inne smutne sprawy.

– Jasne. – Elka wręczyła mi spis zamówień i kasę oraz torbę na dyski, w której zwykle przynosiliśmy ciepłe dania z knajpy na dole.

Chińczyk, właściciel przybytku, miał imponujące przednie siekacze i to zębate przezwisko jakoś tak do niego przylgnęło. Poza tym on jeden w całym mieście robił mi ryż osobno i warzywa osobno. Bez glutaminianu sodu. I zbędnego marudzenia. Cała Warszawa zamawiała u niego dania na wynos.

Posilone, z tekturkami pełnymi chińskich specjalów w torbie, po kilku kwadransach wracałyśmy z Sonią ulicą dookoła. I właśnie wtedy tuż przy moich nogach zatrzymał się z piskiem opon samochód. Nim zareagowałam, jakiś łysy typ otworzył drzwi, gwałtownym ruchem wyrwał mi torbę z jedzeniem i odjechał. Stałam chwilę osłupiała, a potem rzuciłam się w ślad za samochodem, pędząc chodnikiem w dół ulicy. Z psem, który czekał jak oszalały na naprężonej smyczy. Wreszcie mnie zatchnęło, odpuściłam i zadzwoniłam do Oli. Wykrzyczałam jej w słuchawkę, że byłam obiektem napadu i jestem na Dolnej.

Wracałam już pod górę, gdy dopadli mnie z Maćkiem we dwoje na rogu Puławskiej. Zaczęli się przekrzykiwać, jedno przez drugie, pytając na przemian, co się właściwie stało. Dysząc jeszcze, relacjonowałam im wydarzenia, a Sonia szalała, tańcząc na smyczy wokół mnie.

– Nawet mi, kurwa, nie mów, że to wszystko po to, żeby ukraść mój obiad! – Maciek był głodny i wściekły.

– Daj spokój. Miał broń, groził ci, Mati? – Ola objęła mnie współczująco w pasie, bo nagle zrobiło mi się słabo, i oddała Maćkowi smycz.

– Sama nie wiem, o co chodziło, miałam tylko sajgonki, zupy i te ostre dania dla Jacka... No i torba przepadła – relacjonowałam słabnącym głosem. Po czym prawie osunęłam się na chodnik. Jakoś doszliśmy do samochodu Maćka i wróciliśmy do biura. Dostałam neospasminę i wodę do popicia, a cała czwórka zawisła nade mną, opierając się o moje biurko i przyglądając mi się z niepokojem.

– Jak wyglądał? – chciała wiedzieć Ola. – Może od razu zadzwonię po tego Kudelkę?

– I co mu powiesz, że nam sajgonki ukradli? – powątpiewałam.

– To chyba jakiś głupi żart po prostu...

– Nie wiem, co im powiem, ale napad to napad. – Ola była stanowcza jak zawsze.

– Dobra, to dzwoń. – Podałam się.

– Informujcie mnie. Szlag mnie trafi jasny! Do Krzyśka muszę teraz jechać i montować na głodniaka! – Maciek trzasnął drzwiami i pojechał z moim dyskiem na montaż.

– Swoją drogą, po co komu kraść chińszczyznę? – Jacek nadal wpatrywał się we mnie z uwagą.

– Może myślał, że coś innego jest w torbie...

– Niby co? – Elka podniosła głowę znad biurka.

– No, chociażby te dyski z naszymi morderczyniami... – Jacek zawiesił głos.

– Chyba żartujesz, kogo dziś mogą obchodzić morderstwa sprzed dziesięciu lat! – powątpiewałam.

– Nie mam pojęcia. To co, idziecie jeszcze coś zjeść? – Jacek już wkładał kurtkę.

– Tak, chodźcie. Będziesz moim bodyguardem. – Elka zachichotała, a Ola tylko przewróciła oczami. Po chwili wyszli.

Usiadłam w kuchni i zaparzyłam dla wszystkich termos zielonej jaśminowej herbaty. Sonia ułożyła się u moich stóp. Usiłowałam sobie przypomnieć twarz amatora chińszczyzny, ale przecież tylko mi mignął przed oczami.

Gdy wrócili Ola i Ela z Jackiem, siedziałam już skupiona nad dokumentacją Burdy, zapominając o całym świecie. Po paru godzinach przyjechała policja. Czyli Kudelka zamieniony w trzeźwego i nerwowego służbistę o rozbieganych oczach i dramatycznej zaczesce na łysiejącej czaszce. Szybko zadał mi kilka pytań. Następnie podrapał się po zakolach i zaprosił na następny dzień na posterunek. Mieli tam cały album ze zdjęciami podejrzanych o napad. Mogłam kogoś rozpoznać. Ale jak mnie zapewnił, znikoma szkodliwość czynu powoduje, że na protokole zdarzenia chyba się skończy. Zwłaszcza że nie zapamiętałam numeru rejestracyjnego samochodu.

Wieczorem zadzwonił Maciek z pytaniem, gdzie są sceny ze szpitala. Na dysku ich nie było. Przysięgłabym, że je widziałam, opisując go! Na szczęście miałam je także na prywatnym pojemnym pendrivie w domu.

– Wiesz co? Może teraz podjadę – stwierdził raczej, niż zapytał. – Przecież to po drodze, a moja niby-żona ma dziś jakieś pilatesy czy coś w tym rodzaju.

– Wpadaj, coś zjemy – zgodziłam się szybko.

Życie uczuciowe Maćka było równie skomplikowane jak moje. Rozwiedziony, z dwójką dzieci i kolejną kobietą o trudnym i mocnym charakterze, nieustannie lawirował pomiędzy swoją eks i obecną miłością. Rozumieliśmy się. Pewnie dlatego, że niczego nie musieliśmy sobie wyjaśniać.

Umówiliśmy się za pół godziny u mnie. Co prawda miałam wątpliwości co do dysku, ale postanowiłam dobrym posiłkiem uspić czujność Maćka. Wyjęłam wok i przygotowałam wszystko, co było mi potrzebne do zrobienia drobno pokrojonych warzyw z pikantnym ryżem basmati. Sonia płątała mi się pod nogami, dostała więc trochę samego ryżu bez przypraw, który spalażowała ze smakiem. Urządziłam jej już posłanko pod moim tapczanem na starym materacyku, który obłożyłam miękkim kocem. Dałam jej też swojego starego pluszaka, w którego się teraz wtulała. Na wszelki wypadek jednak nie spuszczając ze mnie wzroku. Moja kawalerka, otwarta na pokój z wnęką kuchenną wielkości pudełka zapalek, była dla suczki idealnym terenem do obserwacji. Tylko gdy znikalam w łazience, krążyła pod drzwiami zaniepokojona. Była u mnie zaledwie kilka godzin, a już zadomowiła się na dobre. Obszczekała Maćka i posłusznie poszła na swoje posłanko, gdy nakrywałam do stołu.

– Mmm, moje ulubione ostre warzywka. – Maciek zadowolony poklepał się po brzuchu. – Sonia, masz!

Na posłanku suczki wylądował gryzak z krowich wymion. Idealny do gryzienia. Zachwycona suczka chwyciła go w locie i przezornie zakopała skarb pod materacykiem. Usiedliśmy do stołu i oboje – głodni jak diabli – pochłonęliśmy nasze warzywa pałeczkami w niecały kwadrans. Wniebowzięty pies bawił się pod stołem nową zabawką.

– Dzięki, Maciek! – Wstałam, żeby zabrać talerze.

– Za co? Nie żartuj, to kosztowało grosze pod Halą Mirowską.

– Nie udawaj, wiesz, o czym mówię. Że o nic mnie nie pytasz, pozwalasz pracować, choć nie jestem w formie...

– Słuchaj, Matylda. – Maciek wziął mnie za rękę i zajrzał mi w oczy. – Pamiętaj, że możesz na mnie polegać. Zawsze. Poza tym nie ma lepszego specjalisty na mieście od ciebie. Specjalisty, który

jeszcze dodatkowo wytrzymałaby ze mną.

– Myślisz, że naprawdę jest szansa na skończenie filmu o morderczyniach?

– Szansa? Już szykuj kieckę na premierę. W marcu. Gadałem w TVN Style.

– Naprawdę? Jak to załatwiłeś? – Byłam pełna podziwu.

– Ma się te swoje sposoby, idę zapalić! – Mrugnął do mnie. Wyszedł na balkon, a ja sprzątałam ze stołu i przyglądałam mu się przez szybę. Oczywiście gadał już przez telefon.

Chyba tłumaczył się przed swoją Hanką, dlaczego tak długo zabawił na mieście. Taktownie wycofałam się do kuchni, żeby pozmywać i wstawić wodę na herbatę.

– Będę leciał! – Wsadził do pokoju głowę po kwadransie, gdy już szłam z imbrykiem pełnym pachnącego naparu.

– A pendrive? Podobno jest ci niezbędny. I herbata!

– Łyczek na stojąco. – Wyjął mi filizankę z ręki i nalał sobie trochę parującego płynu. A pendrive niedbale wrzucił do kieszeni spodni.

– Pycha! Twój mąż będzie miał z tobą raj! O, *pardon*...! – Zmieszał się.

– Nie szkodzi – wymamrotałam niewyraźnie, bo łyzy pociekły mi same.

– Słuchaj. – Usadził mnie w fotelu i wyswobodził od tacy z naczyńkami. – Masz we mnie wsparcie. Nie lubiłem Zbyszka, ale ty go kochałaś, więc wszystko rozumiem.

– Nie daję rady! – ryknęłam mu prosto w mankiet.

– Chcesz mnie może o coś zapytać? Zbyszek coś ci mówił o tym nowym zleceniu z bezdomnymi, z którego cię wymiksował? – wypalił nagle.

– Nie mówił, nie gadajmy o tym teraz. – Głośno wytarłam nos i przyjrzałam się uważnie Maćkowi.

Kiwnął tylko ze zrozumieniem głową. Ale nie spojrzął mi w oczy. Znałam go na tyle długo, że wiedziałam, że i on mnie sprawdza. Czyli przeczucie mnie zawiodło. Nie chodziło mu o żaden pendrive, ale o to, co wiem o jego nowym projekcie, który zaczął ze Zbyszkiem tuż przed wypadkiem. Czekali na dofinansowanie z Unii. Pomagałam im trochę w dokumentacji. Potem Zbyszek mnie z tego wyłączył, twierdząc, że sprawy bezdomnych nie są dla mnie. Zalałabym ich falą współczucia, zamiast pracować. No fakt, on akurat był chłodny jak gład!

Siedzieliśmy jeszcze chwilę, każde pogrążone w swoich myślach, nim się trochę uspokoiłam. Wreszcie Maciek wstał i zapytał prosto z mostu:

– Będziesz jeszcze ryczeć czy dasz radę? Kolejna kobieta zamierza mnie zostawić i chce spróbować jeszcze coś z tym zrobić.

– Jedź! – zgodziłam się, pochlipując mu w rękaw.

Gdyby nie te jego wieczne gry, to mogłaby być piękna przyjaźń.

Poranek na policji daleko odbiegał od filmowych wyobrażeń. Na posterunku było pusto i cicho. Pachniało też ostrymi środkami czystości. Dzika rosyjska orchidea! Czysta chemia wisiała w powietrzu jak wyrzut sumienia. Nic dziwnego. Byłam tam parę minut po ósmej i pewnie właśnie wyszły sprzątaczkę. Pokonałam serpentynę długich korytarzy i wreszcie zapukałam do dla mnie osobiście niezwykle słynnego porucznika Ryszarda Kudełki.

– Wejść! – Policjant siorbał właśnie coś z kubka w Misie Yogi. Posadził mnie profesjonalnie przy biurku, zaproponował życzliwie kawę. Odmówiłam. Uruchomił więc program z bazą podejrzanych.

– Nie, nikogo nie rozpoznaję. – Po kilkunastu minutach uważnego wpatrywania się w ekran nadal nie widziałam nikogo podobnego do gangstera od chińszczyzny.

– Może miał coś charakterystycznego oprócz twarzy? – zasugerował stróż prawa.

– Nie mówiłam, że miał charakterystyczną twarz – burknęłam.

– Ozdoby, blizny, tatuaże... – wyliczał niezrażony porucznik, siorbiąc lurę z kubka.

– A wie pan, miał chyba takie jakby kropki wytatuowane nad okiem i na palcu. Dziwne to było...

– Kropki. – Policjant nagle się ożywił. – A jakie kropki?

Narysowałam mu na kartce ogromny paluch wskazujący i kropki, które na sekundę mignęły mi przed nosem i w przedziwny sposób wryły się w pamięć.

– To już coś. To znaczy, że był w więzieniu. To więzienny tatuaż. Okradł panią zawodowy złodziej! – Kudełka się podniecił.

– Naprawdę?

– Samochód pani pamięta? – Policjant powoli wstał i otworzył okno. Jego zaczeska gwałtownie zafalowała i spadła mu zawadiacko na lewe oko. Sprawnie, szybkim ruchem przerzucił ją na miejsce i błyskawicznie przyglądził grzebieniem. Ukrytym dotąd w tylnej kieszeni spodni.

– Tu będzie kłopot – przyznałam od razu, zafascynowana tymi fryzjerskimi popisami, gapiąc się dość nietaktownie. – Nie mam prawa jazdy i odróżniam tylko kolory. Był terenowy i granatowy.

– Dobra, to wszystko, może pani już iść. – Funkcjonariusz westchnął, na nowo popadając w otępienie i wracając do swojego kubka z misiami. – Poproszę kolegów, żeby częściej patrolowali Narbutta. Skoro nie dostał tego, czego chciał, może wrócić po swoje. Macie alarm w biurze?

– Alarm? Skąd! Ale za to dwie pary drzwi i sześć zamków.

– Alarm jest skuteczniejszy, pani porozmawia z szefem.

– Dobra, porozmawiam, a pan...

– Dam znać, gdyby się coś ujawniło w naszym systemie – uspokoił mnie. – I jeszcze jedno...

– Tak? – Odwróciłam się do niego.

– Proszę na siebie uważać. Nie chodzić ciemnymi ulicami, uważnie rozglądać się dookoła, porządnie zamykać drzwi. Rozumie pani?

– Coś mi grozi? – Przestraszyłam się już z ręką na klamce.

– Nie wiem, ale pani się ciągle coś ostatnio przy-trafia.

– Do widzenia.

Napędził mi stracha ten niedoczesany Kojak!

Zadzwoiłam po kierowcę z aplikacji i prosto z Pałacu Mostowskich pojechałam do Wesolej na konferencję MOPS-u. Roman Burda miał dziś odczyt.

Siedząc w taksówce na tylnym siedzeniu, ucharakteryzowałam się nieco. Starłam makijaż, zaczesłam grzywkę na twarz i zdjęłam całą biżuterię, żeby mi nie chrzęściła przy nagrywaniu. Klapki na obcasach zamieniłam na wygodne mokasyny. Zlikwidowałam też dekolt za pomocą pogniecionej jedwabnej chustki Natalii.

– Przedtem było ładniej – poinformował mnie życzliwie kierowca, gdy wysiadałam.

Kazałam mu milczeć i ukryć się za rogiem. Obiecując, że niebawem wrócę i ponownie zmienię wygląd. Zaintrygowany obiecał okłamać pracodawcę, że nadal jedziemy na miejsce, i wiernie czekać za krzakami.

Pałacyk był już pełen prelegentów, a Roman Burda wyróżniał się pośród ogółu wielkością i strojem. Miał ze dwa metry wzrostu, a na sobie – ogniście fioletową koszulę, także adidas i luźne białe spodnie. Nie wyglądały na ciuchy z przeceny. Ciemnokasztanowa plereza farbowanych resztek włosów spowijała okrągłą czaszkę. Był urodzonym zwycięzcą. A przynajmniej za takiego się uważał. Podeszłam.

– Pan Burda? – spytałam ze skromną miną. Do tego buzia w ciup, a ręce w małdrzyk, co nakazywała kiedyś Hesi i Meli sama Gabriela Zapolska.

– Tak, dziecko? – Łaskawie skinął na mnie.

– Sprawę mam. Delikatną. – Ruchem głowy wskazałam krzaki za pałacem. – Tak na sekundę.

– Ale ja mam zaraz przemawiać. – Zawahał się.

– To zajmie tylko chwilę. Piszę o panu artykuł... – To zawsze działało.

– Hmm, tego... Dobrze, dobrze. Poczekajcie no chwilę! – rzucił do kolegów wchodzących na salę. – Mały wywiadzik tylko trzasnę!

Żebym ja ciebie nie trzasnęła zaraz – pomyślałam i włączyłam dyktafon.

– Panie Burda, jest pan bardzo utalentowanym człowiekiem – zaczęłam słodkim głosem. – Tyle akcji na rzecz bezdomnych, tyle datków, same sukcesy...

– No cóż, staramy się w naszej placówce... – Działacz rozwijał się z każdą sekundą. Jego ego rosło i ros-ło, a ja czekałam, aż weźmie oddech, żeby wskoczyć z kolejnym pytaniem. Teraz!

– A wiersze?

– Jakie wiersze? – oniemiał Burda.

– Miłosne. Słyszałam, że pan pisze. Do żony?

Zapowietrzył się i zmienił na twarzy. Wycofałam się o krok, spodziewając się rychłego ataku. I słusznie.

– Kto cię nasłał, ty dziwko, ty?! – ryknął Burda, ruszając na mnie. – Już ja wam pokażę, pismaki jedne! Jestem wzorowym mężem i ojcem. Jakie znowuż, kurna, wiersze? Coooo?!

– Miłosne, bardzo piękne, są przecież na stronie. – Po czym szybko wręczyłam mu wydruk z poematem o ciumcianiach czekolady. I błyskawicznie dałam nura w krzaki.

Reszta należała już do Oli. Była z kamerą w pałacu. Miała teraz przepytac kolegów Burdy, co wiedzą o jego wierszach. Oraz podpytac przy okazji o liczne nowe zakupy na rzecz żony, córki i fundacji działacza. Tuż po kłótni, którą właśnie rozpętałam.

Mój dzielny kierowca czekał za gęstym drzewostanem, tak jak się umówiliśmy. Wskoczyłam na tylne siedzenie z okrzykiem, jakby goniło nas stado narodowców z Burdą na czele.

– Gazu! – krzyknęłam. I ruszyliśmy.

– O rany! Ale z pani torpeda! – Kierowca był zachwycony.

Wyjęłam sobie z mysich włosów trochę liści i uchylałam okno. Dyszałam jak stary parowóz. Muszę chyba znowu zacząć regularnie biegać – pomyślałam. Po czym, jak obiecałam wcześniej, zaczęłam zmieniać charakterystykę i stawać się na powrót sobą. Gdy dotarliśmy na Mokotów, kierowca był już tak zakochany, że obiecał wozić mnie codziennie. Gdzie tylko zechcę.

Wzięłam numer jego telefonu i obiecałam, że zadzwonię. Promieniał. Niewiele mu, jak widać, trzeba było do szczęścia.

W biurze poza Olą byli wszyscy. Oczywiście bez Maćka, który odsypiał montaż i zostawił mi na dysku skończony projekt do przejrzania. Usiadłam u niego przy biurku, podłączyłam się do jego komputera i zapisałam projekt na pulpicie. Nagle coś mnie tknęło. Zawołałam Jacka, naszego specja od techniki.

– Co jest? – Wsadził rozczochraną głowę pełną siwych loków przez parawan.

– Zobacz sam, to przecież niemożliwe... – mruknęłam pod nosem.

– Mianowicie?

– Maciek ma kompletnie pusty pulpit. Czyściłeś mu system?

– Żeby mnie zabił? Przecież wiesz, jakiego ma hopla na punkcie bezpieczeństwa danych. Tylko ty znasz hasło. I to tylko do rzeczy na pulpicie. Resztę trzyma na dyskach. Może chciał oddać sprzęt do przeskanowania czy coś... I sam przegrał gdzieś dane?

– Powiedziałyby mi. Pracujemy nad tym materiałem od lata. Dzwonimy! – zadecydowałam.

– Oszalałaś! Dopiero się chłop położył, siedzieli pewnie z Krzyśkiem do świtu. Z Krzyśkiem Lowelasem.

– Jacek, jeśli ktoś nam czyści sprzęt, to chyba jest powód, żeby go obudzić, no nie?

– Dobra, to dzwoń! – Poddał się. – Ale żeby nie było, że cię nie ostrzegałem...

Maciek odebrał i po krótkiej chwili postanowił, co robić.

– Zamykajcie biuro, bierzcie sprzęt i przyjeżdżajcie do mnie!

– Wszyscy? – zdziwiłam się.

– Nie, wariatko, we dwójkę z Jackiem. Niepotrzebne mi tu żadne baby. Kurczę, trzeba było założyć ten alarm...

– Ale co ma do tego alarm? – zdziwiłam się.

– Nie w biurze, w domu. Wszystkie backupy mam w domu przecież. Hanka się wścieka, że nie ma jak przejść. Dajcie mi godzinę, żebym oprzytomniał. I bez paniki!

– Jasne. Robi się!

Po godzinie posłusznie załadowaliśmy z Jackiem sprzęt do przenośnego wózka na zakupy, pożyczonego w sklepie na dole. Po krótkiej podróży zapukaliśmy do naszego niewyspanego szefa. Maciek mieszkał niedaleko, tuż pod Lasem Kabackim. Obwodnicą jechało się do niego kilkanaście minut. Powitał nas, myjąc zęby. Zarośnięty, w dresie i starym T-shircie. Najwyraźniej spał do ostatniej chwili. Usiadłam w jego mikroskopijnym pokoiku na jakichś pudłach, a Jacek z Maćkiem podłączali sprzęt milionem kabli, potykając się o wszystko i złorzecząc. Zeszłam więc na dół w celu zaparzenia nam kawy, a tam niespodziewanie natknęłam się na wściekłą Hankę. Właśnie targąła przez taras jakieś ogromne zielsko. Ubrana była w malownicze szarawary i miała na głowie zawijas à la Erica Badu. Miała naturalnie ciemną karnację i egzotyczne rysy po węgierskim ojcu. Uważała się za piękność podobną do Sade. Była także zapaloną ogrodniczką. Kochała więc rośliny i jogę. Ludzi – zdecydowanie mniej.

– Gdzie on jest? – warknęła na mój widok.

– Podłącza na górze komputery. Ktoś nam się dobrał do sprzętu i musimy od nowa wgrać dane i je zabezpieczyć nowym antywirusem – odpowiedziałam uprzejmie, przezornie unikając kontaktu wzrokowego z rudowłosą furiatką.

– Znaczy zasiedzicie się tu znowu do nocy, tak?!

– Ja nie – uspokoiłam ją. – Zaparzę chłopakom kawę, jeśli mi pozwolisz, i spadam. Mam niedługo montaż. Ale Maciek ściąga już do biura administratora. I pewnie tam pojedą.

Kiwnęła tylko głową w stronę szafki z kawą i minęła mnie w drzwiach, szybko udając się na górę. W celu zrobienia awantury, jak sądziłam. Celowo zaparzałam kawę powoli i wsłuchiwałam się w odgłosy dochodzące z góry. Hanka wrzeszczała, jakby ją ktoś nakręcił. W końcu trzasnęła drzwiami z hukiem i zbiegła na dół, łomocząc obcasami.

– Możecie się tu nawet wprowadzić – krzyknęła do mnie już z ogrodu. – Ja się wynoszę! Mam dość czekania godzinami z obiadem i życia z tym gnojem!

Załadowałam filiżanki i dzbanek z kawą na tacę i ruszyłam do chłopaków. Maciek, niezrażony wybuchem, spokojnie sprawdzał z Jackiem sprzęt, co – jak sądzę – było tym, co ostatecznie doprowadziło Hankę do białej gorączki.

– Znalazłaś mleko? – spytał tylko.

– Tak, wzięłam też miód do posłodzenia. Słuchaj, Maciek, Hanka ma trochę racji. Siedzimy tu na głowie jej i tobie, a pewnie chciałyby chociaż śniadanie w spokoju zjeść...

– Pewnie tak – odparł po swoim i sięgnął po dzbanek z kawą.

– Podłączyli się do nas na mur-beton. – Jacek wyłonił się spod zagraconego stołu. – O co tu chodzi, na miłość boską?

– Maciek... – zawiesiłam głos. – A tak naprawdę... To co ty tu masz u siebie?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparł krótko. – Masz, zdaje się, coś jeszcze do załatwienia z prawnikiem, prawda?

Skąd wiedział? Przecież dopiero wieczorem... Przyjrzałam mu się uważnie, pokazywał właśnie Jackowi jakieś złącza.

– To cześć, lecę do autobusu – pożegnałam się.

– Czekał no. Jacek, odwieź ją. Zadzwoń.

– Czy coś ci... – próbowałam jeszcze.

– Nie wiem, muszę pomyśleć. Idźcie już! Będę w biurze z Jackiem koło wieczora.

Pojechaliśmy prosto na montaż *Kugarów*. Filmu dokumentalnego o napalonych pięćdziesiątkach, które za granicą rzucają się z pieniędzmi i czułościami na wygłodniałych dwudziestolatków. Bardzo zmienione przez operacje plastyczne. Niekorzystnie zmienione, ale za to za horrendalnie duże pieniądze wydane na te operacje.

Jechałam do Krzysia zwanego Lowelasem. Z racji licznych romansów. I kredytów branych na nowe samochody. Potrzebnych mu wyłącznie do podrywania na placu Zbawiciela kolejnych obiektów

jego seksualnej chuci. Temperament Krzysia był wprost proporcjonalny do jego umiejętności zawodowych. Dlatego wiecznie pracował i się zadłużał. Na zmianę. Traktował mnie jak kolegę z pracy, ale na wszelki wypadek widział mnie zawsze rozczochną i bez makijażu. Strzeżonego i tak dalej.

Siedział już drugi tydzień na Wale Miedzeszyńskim, w swojej dziupli bez okna i dostępu do cywilizacji. Mył się i spał na miejscu. *Kuguary* miały szansę na Festiwal Dokumentalny w Hamburgu. Mnie przypadła w udziale zaszczytna funkcja sprawdzania podpisów i literówek w tyłówce. Nauczona doświadczeniem miałam też przy sobie duży termos zaparzonej u Maćka kawy. I cukierki marki Kopiko, od których Krzyś był uzależniony. Czas nas gonił. Wieczorem trzeba było surowy projekt przesłać mailem do Hamburga. Tam Krzysiek miał tak zwaną dobrą koleżankę. Jak zresztą wszędzie. Miała pilotować film dalej. Pod warunkiem że Krzyś jej będzie towarzyszył. We dnie i w nocy. To drugie zwłaszcza.

– Hejka! – Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Niewysoki, pięknie umięśnione ramiona, obowiązkowa kwadratowa szczeka. Do tego miękkie usta i burza czarnych loków. Trenował piłkę wodną. Ale nie wymiękałam tak łatwo.

– Mam kawę i kopiko. Włączaj. Ja teraz oglądam – poinformowałam go szybko i usiadłam w kucki na jego fotelu.

– Ekstra. – Krzyś runął na podłogę, błyskawicznie przymykając oczy. Każda sekunda snu się liczy, jak się nie śpi tygodniami.

Oglądałam i notowałam. Błędów w podpisach było kilka. I jeden asynchron. Nieźle, jak na takie tempo pracy. Obudziłam go litościwie dopiero po dwóch godzinach. Pooglądałam sobie jeszcze, co tam nowego na facebookowym profilu MOPS-u i na stronie Partii Narodowców. Nasza prowokacja sporo namieszała. Burda apelował do wszystkich patriotów, aby spalili żywcem każdą stację, która wyemituje o nim obrazoburczy reportaż. Kupiły go trzy główne stacje w kraju. Miał więc przed sobą sporo roboty.

Po wybudzeniu Krzysia za pomocą kawy i kopiko dałam mu listę poprawek. Pogratulowałam także mistrzowskich cięć i uciekłam do Soni. Musiałam jeszcze po drodze odebrać w centrum tort, a potem zrobić się na bóstwo z okazji wizyty u Henia i Beaty. Postanowiłam trzymać fason mimo wszystko.

Piękny Henio mieszkał z długonogą Beatą i trzema córkami w okropnie pretensjonalnym apartamentowcu z mosiężnymi wilkami po obu stronach głównego wejścia. Bywałam tam regularnie na święta, a ostatnio także co roku na kolejnym pępkowym. Zawsze się tam gubiłam. Płatania korytarzy, sal bilardowych z marmurowymi podłogami i innych dziwów architektury powodowała, że nieodmiennie wracałam do portiera i prosiłam go o pomoc w dotarciu na miejsce. Także i tym razem – z ogromnym tortem malinowym od Muffia, ulubionym wypiekiem Beaty – zjawiłam się w ich proggu wraz z panem Zdziśkiem. Był, podobnie jak ja, wielbicielem Agathy Christie. Omawialiśmy po drodze niezbyt udaną kontynuację losów Herkulesa Poirot. Autorstwa angielskiej pisarki wybranej na następczynię królowej kryminału przez rodzinę spadkobierców szczęśliwego imperium Agathy.

– Ja tam bym go zaciukał rach-ciach i już – kontynuował wynurzenia malutki portier w ogromnej czapce, wsadzając mnie do trzeciej już z kolei windy. – A nie jakieś tam cudowanie z odciskami, śladami stóp. Takie rzeczy to omijam. I do sedna, do sedna, pani redaktor!

– Do trupa, znaczy? – spytałam kurtuazyjnie, kładąc już palec na dzwonku.

– No pewnie. Krew, jakieś strzelanki. A nowinki to tylko z motoryzacji. Kobotki gołe czy coś. To lubię. Pani zadzwoni, wychodząc. Odprowadzę – dodał jeszcze i skłonił się szarmancko, przekazując mi ogromne -pudło.

Pomachałam mu tortem na pożegnanie i stanęłam oko w oko z Pięknym Heniem. Był, zdaje się, tuż po jednej z trzech obowiązkowych kąpielii, bo na ramieniu przysypiała mu najmłodsza, Eleonora. Miał też seksownie mokre włosy, niedopiętą koszulę i odurzająco pachniał – facetem i Chanel Egoiste. Co z kolei niebezpiecznie obudziło moje wspomnienia. Westchnęłam sobie do nich tęsknie. I cichutko.

– Włóż! – zaprosił mnie krótko. Po czym wręczył mi bobasa, zabierając ciężki tort.

– Malinowy? – Beata się ucieszyła, wychylając głowę z jednej z dziecięcych sypialni. – Zaraz przyjdę, usypiam bliźniaczki!

Weszłam więc do salonu i ostrożnie położyłam Eleonorę na kanapie, obkładając ją poduszkami ze wszystkich stron.

– Gluglu, bobo, lobo bo booooo! – oznajmiła, zrywając mi z szyi perły. Oddałam bez protestu. Stare srebrne znalezisko z H&M nie było dla mnie aż tak ważne, jak nowiny Henia, na które czekałam z utęsknieniem. Mała zaczęła posapywać zwyczajnie z długim sznurem w garści. Pojawił się także jej ojciec z kieliszkiem wina w dłoni i butlą z mlekiem pod pachą. Wyswobodził mnie od kokonu na kanapie i rozpoczął karmienie. Usiadłam więc na podłodze, opierając się wygodnie plecami o kanapę. Z przyjemnością zanurzyłam też usta w napoju o ciemnokrwistej barwie. Smakował, jak trzeba. Palonym drewnem, trochę pomarańczą i słońcem. Przymknęłam na sekundę oczy. Portugalia!

– Mati... – zaczął mój niedoszły kochanek, a obecny przyjaciel. – Coś w tej sprawie śmierdzi. Popytałem w komisariacie w Koszalinie. Mam tam swoje wejścia od czasu sprawy tych przetargów na hale targowe, pamiętasz?

Kiwnęłam czujnie głową, szybko wracając do realu.

– No i?

– No i okazało się, że, no, jak by ci to powiedzieć... – Brakuje im trupa!

– Co, proszę? – Zakrztusiłam się drogim trunkiem.

– Jak by ci to... To nie Zbyszka znaleźli. W samochodzie był jakiś bezdomny. W jego ciuchach i z jego zegarkiem.

– Chcesz mi powiedzieć, że Zbyszek nadal żyje? – Krew gwałtownie uderzyła mi do głowy.

– Henio, oszalałeś?! Miałeś być delikatny, a walisz prosto z mostu kawę na ławę! – Beata błyskawicznie znalazła się przy mnie i podała mi szklanekę z zimną wodą. – Nie jesteś na sali sądowej! – upomniała go surowo. – Chodź, kochana, usiądziemy sobie we trzy na tarasie. A ty lepiej umyj sałatę – rzuciła groźnie w stronę małżonka, biorąc bobasa pod pachę.

Posłusznie powlokłam się za nią na luksusowy taras z oranżerią. Wicemistrzyni Polski w siatkówce plażowej. Mocna i wysoka. Z zasady nie znosiła sprzeciwu. Była także świetnym notariuszem. Pomimo trójki dzieci właściwie nie przerwała praktyki. I nie straciła sportowej sylwetki! Henio bał się jej jak ognia. I szalenie ją podziwiał. Dlatego też zapewne szybko zabrał się do sałaty, a my usiadłyśmy sobie z małą przy nakrytym już stole z winem.

– No więc jest tak, jak ten głupek ci już wypaplał, ustalają tożsamość pogorzelca – powiedziała Beata, delikatnie huśtając zachwyconą Eleonorę, cały czas w moich perłach, na biodrze.

– Pogorzelca?

– No tak, spłonął biedak. Zachowały się części ubrania, drogi zegarek i złoty ząb. Po tym zębie doszli, że to nie Zbyszek. Nie miał takiego. Reszta się zgadzała.

– Matko! I co teraz? – Tysiące pytań cisnęło mi się na usta.

Wygrzebałam telefon i napisałam do Kudelki, żeby natychmiast do mnie oddzwonił w sprawie pogorzelca. Byłam pewna, że policja coś wie, i może mnie to zaprowadzić do samego Zbyszka. No bo skoro tamten zginął zamiast niego, to znaczy, że Zbyszek... żyje! Ale po co te przebieranki, udawanie? O co tu chodzi? Czyżby mój luby był jakimś tajemniczym agentem służb i musiał ukrywać swoją tożsamość? Przede mną i światem? A może to o jakieś interesy chodzi? O których ja nic nie wiem. I nie powinnam się dowiedzieć. Trwałam tak w lekkim stuporze na eleganckim fotelu tarasowym z wikliny, a Beata patrzyła na mnie milcząco i ze współczuciem. Po czym wzięła mnie za rękę i taktownie zagaiła ponownie:

– No... Zbyszka uznali za zaginionego, wdowa ponoć energicznie go poszukuje w kraju i za granicą.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Podobno jedno z kont i dom nad morzem chciał zapisać na mnie.

– Ojej, to fatalnie – wysnęło się Beacie.

– Niby dlaczego? – Spojrzałam jej prosto w oczy. Ogromne szare oczy ze złotymi cętkami. W pięknej ciemnej oprawie umiejętnie doczepianych kosztownych rzęs.

– Stajesz się główną podejrzaną, Mati. – Henio stanął nad moją głową i wręczył żonie miskę z sałatą. Znów pociemniało mi w oczach.

– Przecież ja go kochałam! – Zabrzmiało to głupio i naiwnie. Na dodatek jeszcze łzy popłynęły mi gęstym strumieniem na smakowite dania Henia.

– Miłość to żaden argument dla sądu, Mati. Za to okazał się spadek... – Zawiesił głos. – Ale na razie nie ma trupa, więc nie ma zbrodni. A tym bardziej: podziału schedy po nieboszczyku. – Zgromiony wzrokiem przez małżonkę wziął bobasa na ręce i udał się w stronę kuchni, tym razem w celu dopilnowania ryby.

Przy deserze – zjadłam z Heniem po kawałku, a resztę tradycyjnie z rozkoszą wrębała Beata – zagadnęłam ich tylko o umowę związaną z domem w Mielenku.

– Wszystko sprawdzimy. Grunt, prawa do nieruchomości, księgi wieczyste. Tym się w ogóle nie martw. – Henio uspokajająco pogładził mnie po włosach. Beata potakiwała.

– Zawsze możesz na nas liczyć, pamiętaj! – Około północy Henio odprowadził mnie do windy i zawiadomił portiera tajemnym brzęczykiem, że wracam.

– Strasznie schudłaś, jedz coś! Wiesz przecież, w czym tkwi twój urok.

– W czym? – Zawsze to ciekawe, co taki adonis myśli.

– W dekolcie. Krzyżyk wpuść między piersi. I na miasto, na miasto! A nie tak, jak teraz. Schudłaś, że żebra ci prawie widać! Inaczej karnie będziesz wpadać na zupki z Eleonorą! – Pogroził mi żartobliwie palcem i pogłaskał po ramieniu.

Znał się na rzeczy. Znaczący na kobietach. Na te kilka minut przeszła mi cała rozpacz. Gdyby nie jego strach przed Beatą...

Wracałam taksówką ze świadomością, że jakby co, to mam za plecami armię przyjaciół. A to już coś. Wysłałam jeszcze z Sonią na krótki spacer przed dom i spontanicznie wysłałam porucznikowi ponagląjącego SMS-a z pytaniem, czy mogę wpaść jutro z rana z moim problemem. Odpisał od razu: *Ja i Komenda Stołeczna Policji będziemy zachwyceni.*

– Nie ma co, dwie pieczenie na jednym ogniu – pomyślałam i wbiegłyśmy z kundelką dla kondycji na drugie piętro po schodach.

ROZDZIAŁ 3

WYJAZD

Kudelka tym razem elegancko oczekiwał mnie już w portierni. Po męskim uścisku dłoni – spotkanie miało mieć charakter wyłącznie służbowy – powiódł długimi korytarzami ze śliskim linoleum do stołówki pracowniczej na dole. W ręce trzymał tajemnicze plastikowe sitko. Po męczącym maratonie – schody, korytarz, schody, korytarz – usiedliśmy w dużej sali pachnącej barem mlecznym. Siedziało w niej kilku funkcjonariuszy służby społecznej i pożerało pierogi. Z ich skupionych min można było wywnioskować, że wikt był niczego sobie.

Kudelka tonem stałego bywalca zażądał przy barze dwóch kaw w szklance. Ze spienionym mlekiem. Typowych plujek, ale przelewanych przez sitko, które wręczył barmance. Nie dyskutowałam w sprawie zamówienia, bo był to, jak sądziłam, najbardziej elegancki zestaw do picia kawy dostępny w całej Komendzie Stołecznej. Co prawda widziałam po drodze, w okolicach kiosku, automat z kawą, ale Kudelka nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem. Czekałam więc pełna zainteresowania i niepokoju. Panna Krysia – jak w piosence Młynarskiego – kołysząc fachowo dużym biustem, osobiście przyniosła nam kawę w dwóch szklankach do latte. Z ciemnym cukrem i cynamonem do smaku. Pełen luksus. A do tego smakowało naprawdę nieźle!

– Lavazza. Świeża, moja własna. Sam dziś mełłem – mruknął niby od niechcienia policjant i zlizął sobie ze smakiem piankę z nosa.

– Pycha – wyraziłam stosowny zachwyt i przesłam do sedna. – Panie poruczniku, mam niepokojące wieści w sprawie wypadku mojego... Eeee... Bliskiego znajomego. Pod Koszalinem. I chciałam prosić o pomoc. Czy raczej... Właściwie chodzi mi o radę – dodałam szczerze.

– Słucham, pani redaktor. – Kudelka profesjonalnie zmarszczył nos, po czym wyjął notes.

– Zbyszek Nadworny, ten znajomy, zaginął. Na miejscu wypadku znaleziono bezdomnego, a właściwie jego zwęglone szczątki w ubraniu Zbyszka. Z jego kosztownym zegarkiem na ręce. Ale brakuje właściwych zwłok.

– I? – Kudelka przyglądał mi się uważnie.

– No i martwię się, bo nie wiem, co się z nim dzieje. Wdowa mnie nęka w sprawie jakiejś teczki Zbyszka. Dziwne rzeczy się dzieją, sam pan wie. A byliśmy ze Zbyszkiem naprawdę blisko... – Głos mi się dramatycznie załamał.

– I awansowała pani redaktor jeszcze zapewne na jedną z głównych podejrzanych? – Kudelka, nie spuszczać ze mnie wzroku jastrzębia, poślinił długopis i chuchnął na niego fachowo, bo ten akurat przestał pisać.

– No właśnie tego też się boję – przyznałam i spojrzałam na Kudelkę wzrokiem zranionej łani.

Kudelka chrząknął odrobinę za głośno, po czym wyraził swoje zdanie.

– Droga pani, trzeba będzie tam pojechać. Przez telefon niczego się nie dowiemy. Tak się składa, że mam tam swoje kontakty, więc może uda mi się czegoś o pogorzelnicy, to jest ofierze dowiedzieć...

– Naprawdę?! – W moich oczach był podziw. A w sercu ulga.

– No, hmm, tak, tylko proszę mi tu nie płakać, bo będą plotki! – upomniał mnie surowo.

– Tak, tak, oczywiście, panie poruczniku. Wybieram się tam na wakacje, jak co roku. Pensjonat Osa w Mielenku.

– A zatem proszę zarezerwować dwa miejsca i kogoś ze sobą zabrać. Żeby było tak jak zawsze. Biorąc pod uwagę ostatnie przygody, dobrze pani zrobi zniknięcie na kilka dni. – Kudelka zamyślił się. Obejrzał sobie zapewne oczyma duszy mnie z dala od niebezpieczeństw. A następnie wylizął resztki piany ze szklanki za pomocą długiej profesjonalnej łyżeczki.

– Wezmę na tydzień moją przyjaciółkę, Natalię – obiecałam. – Poza tym szef kazał mi się czegoś

dowiedzieć o Romanie Burdzie, radnym z Partii Narodowców. Połączę miłe z pożytecznym – zakończyłam prawie radośnie.

Widziałam już Zbyszka i mnie, trzymających się za ręce i biegnących plażą na tle zachodzącego słońca. Ponownie razem dzięki profesjonalizmowi Kudelki!

Na wieść o Burdzie Kudelka jednak wyraźnie zeszytniał.

– A co ma pani na niego? Bo mnie ten pan bardzo, powtarzam, bardzo interesuje. I to od dawna.
– Tu spojrzął na mnie znowu czujnie jak jakiś, nie przymierzając, drapieżnik.

– Niewiele – przyznałam zdziwiona. Chętnie opowiedziałam mu o swojej przygodzie w Wesolej.

– Są też plotki o jakichś sporych przewalkach w funduszach, które pozyskiwał dla bezdomnych. Założył nawet fundację Powrót do Życia. A w międzyczasie wybudował willę i zakupił córce mieszkanie – dodałam jak na spowiedzi.

– I nowy samochód dla żony – mruknął Kudelka, cały czas coś pilnie notując w swoim kajeciku.

– Więcej nie wiem, ale się dowiem – obiecałam solennie.

– Wie pani, może lepiej nie – poradził porucznik. – Umówmy się, że... No... Powiedzmy, działamy wspólnie. To znaczy ja korzystam z pani researchu. I to bardzo, powtarzam, ale to bardzo ostrożnie. Burda to wierzchołek góry lodowej... Więcej nie zdradzę. Tajemnica służbowa. Chyba i ja się wybiorę do tego Mielenka na te parę dni.

– Fiu, fiu – wyrwało mi się mało elegancko. – Coś takiego!

Kudelka zgromił mnie wzrokiem, więc zamilkłam i zerknęłam na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Zaraz kolegium z Maćkiem.

– Muszę lecieć! – Wstałam i wyciągnęłam rękę do porucznika, który zasepionym wzrokiem wpatrywał się w puste szklanki po kawie.

– Tak, tak, ja też. Odprowadzę panią redaktor!

– A może mówmy sobie po imieniu? Matylda – zaproponowałam spontanicznie.

– Rysiek. – Porucznik z galanterią ucałował moją dłoń. Wyraźnie też poweselał.

Pozostało mi tylko dogadać z Maćkiem kwestię obiecanego urlopu z Burdą w tle.

Na parkingu czekał już na mnie kierowca z aplikacji, potwornie zainteresowany moimi kolejnymi dziennikarskimi wyzwaniem.

– Dziś tylko na Narbutta. – Rozczarowałam go od razu.

– Trudno, ale i tak miło. – Zerknął na mnie w lusterku z uznaniem. – Ma pani tu chody? Zalegam z mandatem.

– Aż takich to nie mam, ale powinien pan jeździć wolniej.

– Po prawdzie to się normalnie po Warszawie jeździć nie da, pani sama by się zaczęła denerwować, że dotarcie tyle zajmie na legalu. – Zerknął znowu. – Powinna się pani zawsze tak czesać – dodał jeszcze z uznaniem.

– Tak? – Wyjęłam lusterko i przejrzałam się. No tak, kołtun w kolorze blond. Niekontrolowany nieład. Zbyszka ulubiony. Dziś rano umyłam głowę szamponem koloryzującym. Tak jak lubił... Posmutniałam.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się kierowca.

– Coś mi się przypomniało – wyznałam, po czym zamilkłam i nie odzywałam się już do końca podróży.

W biurze wszyscy czekali na Maćka zaniepokojeni wieściami o hakerze. Czuliśmy przez skórę od dawna, że w końcu właśnie tak się skończy nasza praca dla *Uwagi*. Jesień to początek sezonu i znalezienie pracy w mediach o tej porze roku graniczyło z cudem. Wreszcie znajomy ryk motocykla przed oknem, a po chwili także nerwowe strzykanie palcami obwieściły nam pojawienie się naszego szefa. Wszedł i od razu usiadł na swoim miejscu w kuchni.

Otoczyliśmy go zgodnie kółkiem, a wzrok zawiesiliśmy na jego ustach. Wypalił od razu.

– No więc, kurwa mać, mam policję na karku. Zabrali mi cały sprzęt. Dyski ukryłem pod roślinami Hanki, w skrzyni w ogrodzie. Nie dokopią się, ale nie mogę ich ruszać.

– A co z nami? – drżącym głosem zapytała Ola, nasza dzielna ruda reporterka. Samotna matka dwójki dzieci, sekretarz redakcji i demon seksu w jednym. A prywatnie – flama Jacka.

– Zostajesz, Olka. I Jacek też. Na tych samych zasadach, na konkretne zlecenie. Elka z Matyldą idą na zaległy urlop. Macie, zdaje się, po trzy tygodnie. Za tyle wam zapłacę, potem się zobaczy. Rozglądajcie się. Następne zlecenie zaczynamy w listopadzie. Kasa w grudniu. Matylda wie, co to za zlecenie, ale na razie nic nie mówimy. – Spojrzał na mnie, kiwnęłam głową na zgodę.

– Jak je dopniemy, a Matylda się zgodzi, to i dla Elki coś się znajdzie. Ale żadne kokosy. Pomoc na planie, księgowość... Jak zwykle. Tyle na dziś – i zamilkł.

– Jasne. – Kiwnęłam głową. – A jeśli chodzi o Elkę, to musimy się jakoś wszyscy ratować. Urlop biorę od razu. Jadę pod Koszalin i dopytam o Burdę. Kudelka też tam będzie. Przypadkiem taplamy się w tym samym bagnie.

Spojrzałam pytająco na Maćka. Spochmurniał.

– To mi wygląda na konflikt interesów, Matylda. Nie ruszaj tego, dobrze ci radzę.

Po czym wstał i zniknął bez słowa za parawanem.

Do końca dnia nie odezwał się ani słowem. Nauczona doświadczeniem czekałam spokojnie na prywatny sygnał. Reszta załogi rozpierzchła się od razu, by poszukać roboty na mieście. Nie miałam na to ochoty, od dawna należały mi się wakacje. Miałam też jakieś widoki na małe zlecenia dla kilku gazet. Akurat w sam raz na taką czarną godzinę. Poza tym jako jedyna nie byłam obciążona dziećmi i kredytem, mieszkalam we własnym M1 i nie nękały mnie bankowe monity. Nie musiałam też wpadać w głęboką depresję z powodu skaczącego kursu franka. Siedziałam więc do piątej w biurze, jak należało, i kończyłam dokumentację w sprawie Burdy. Po czym pojechałam prosto do domu. Późnym wieczorem brzęknął dzwonek domofonu i w moich drzwiach ukazał się Maciek. Suczka obwąchała go z zainteresowaniem i położyła się na posłanku, nie spuszczając go z oka. Podobnie jak ja. Posadziłam go na fotelu i wręczyłam mu filiżankę z herbatą.

– Nie chcesz czy nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi z tymi bezdomnymi? – spytałam niby obojętnie.

– To drugie. – Maciek odstawił filiżankę. – Ale jak cię znam, to i tak nie przestaniesz drążyć.

– A jeśli nawet, to co wtedy zrobisz?

– Będę musiał cię zwolnić, Matylda. – Spojrzał mi prosto w oczy.

– OK. Elka się ucieszy. – Mrugnęłam do niego.

Maciek trzymał ją na dystans, bo dobrze wiedział, co jej chodzi po głowie. A ona marzyła tylko o tym, by zająć moje miejsce. A to by była świetna okazja.

– Przestań. – Westchnął tylko i machnął ręką.

– Hanka postawiła Ci ultimatum? – spytałam.

– Aha. Daliśmy sobie jeszcze miesiąc na dogadanie się – przyznał.

– Powodzenia.

– Matylda... – Podnosił się już z miejsca.

– Idź już! – Tym razem to ja wypchnęłam go za drzwi.

Poranek zaczął się jak zwykle. Sonia wskoczyła mi na głowę i polizała w nos. Przytuliłam ją i obiecałam szybki spacer. Zaszczekała radośnie i od razu przyniosła mi w pysku smycz.

– Jedziemy z Kudelką nad morze, piesku. – Poglądziłam ją za uchem. Drapiąc się po rozczochranej głowie, ruszyłam do kuchni i wstawiłam kawę. Sięgnęłam też po komórkę i zadzwoniłam do Natalii. Na pewno nie spała. Otwierała Legalną już o siódmej rano.

– Natalia? Muszę wziąć zaległy urlop. Od soboty. Jedziemy z Sonią do Mielenka. I z Kudelką w charakterze tajniaka.

- No tak. Przecież to już twój czas. – Skumała od razu.
 - Dojedziesz? Mam w pokoju podwójne łóżko. Musisz mieć tylko na bilet i jedzenie.
 - Wiesz co... – zawahała się przez chwilę. – Właściwie to nawet chętnie. Tylko spytam mamę o zastępstwo. Maksymalnie pięć dni. I może weźmiemy jej samochód. Zostawię jej w zamian mój bolid.
 - Benzyna na spółkę. Może wziąć też Kudelkę? Zawsze to trochę taniej – zaproponowałam.
 - I zabawniej. – Natalia parsknęła mi prosto w słuchawkę. – Aha, chciałam ci powiedzieć, że obie jesteśmy głupie. Klucz do domu Zbyszka masz przy swoich zapasowych kluczach do mieszkania. Dałaś mi je ostatnio, podrzucę ci rano. Teczke dla Podłej znalazłaś?
 - W nosie mam jej teczkę, a klucze pewnie podpiął Zbyszek, były przecież dorabiane dla niego.
- I dodałam:
- Cieszę się, pa!
 - Potwierdź ci jeszcze wieczorem! – obiecała Natalia.

Wysłałam SMS do Kudelki i – poparzywszy sobie usta kawą – włożyłam dres i buty do biegania. Na wakacje w Mielenku trzeba się zawsze wcześniej przygotować. W Osie dają spory wycisk, a nie zamierzałam trafić do pogardzanej przez wszystkich wczasowiczów i kadrę grupy trzeciej. Ze staruszkami po urazach narządów ruchu. Ruszyliśmy z Sonią wzdłuż bloku truchtem i po pierwszym kółku dookoła stacji metra usłyszałam, że w komórce piknął mi dźwięk SMS-a. Odpowiedź Kudelki *vel* Ryśka brzmiała: *Świetnie, ale wysiadam w Koszalinie. Musimy do Mielenka wjechać osobno.* Zapowiadał się ciekawy turnus. Ruszyłam klusem przed siebie. A Sonia, poszczekując radośnie, podążyła moim śladem.

ROZDZIAŁ 4

ZACZYNA SIĘ

Mama Natalii niespodziewanie się rozchorowała. Klucz przywiozła mi więc zdyszana Natalia tuż przed siódmą rano, obiecując, że dojedzie nad morze jak najszybciej.

Podróż z Kudelką jego samochodem służbowym nie należała do atrakcji. Jechał przepisowo, omijając autostradę. Bez przerwy gadał przez zestaw głośnomówiący i poił mnie swoją autorską kawą. I tak przez sześć bitych godzin. Z małą przerwą na sikanie Soni. Oraz na rybę pod Toruniem. Lin w śmietanie. Milion kalorii. Wart był jednak tego grzechu.

Całą drogę biłam się z myślami, czy brać Kudelkę na przeszukanie domu Zbyszka, czy nie, i wreszcie, dopiero przy degustacji lina, zdecydowałam, że wezmę. Od Koszalina w ramach utajnienia musiałabym tłuc się dwoma zatłoczonymi busikami. Z psem i bagażem. W Mielenku byłabym więc dopiero wieczorem. Tymczasem elegancko zajechaliśmy pod dom oddalony od Mielenka o kilka kilometrów i symulując spacer z psem, rozpoczęliśmy oględziny posesji. Budynek był stary i mocno nadgryziony zębem czasu. Gdzieniegdzie widać było już zacieki, dach wymagał odmalowania, a drewniane ramy okien – uszczelnienia. Ale – ogólnie rzecz biorąc – dom prezentował się niezwykle malowniczo. Położony był na skarpie, z tarasem wychodzącym w morze i małym ogródkiem na tyłach, gdzie zwykle grillowaliśmy bezpiecznie osłonięci od wiatru.

Westchnęłam i włożyłam klucz do zamka. Szybko weszliśmy z Kudelką do środka. Nic szczególnego nie zwróciło naszej uwagi. Meble w pokoju na dole, połączonym z kuchnią i pełniącym funkcję jadalni i pokoju dziennego, były zakryte prześcieradłami. Jak zawsze po sezonie. Woda i gaz zakręcone. Na szczęście był prąd. Wspięliśmy się po stromych i niewygodnych schodach na piętro, żeby przeszukać jeszcze trzy sypialnie. Tam się rozdzieliliśmy. Wszystko było porządnie przygotowane do zimy: pościel zdjęta, szafy pozamykane, podłogi odkurzone. Nic podejrzanego.

– Trzeba jechać. – Kudelka wyrósł mi za plecami, gdy stałam zamyślona w drzwiach naszej sypialni na piętrze.

– Tak, tak... Jeszcze piwnica.

– Już próbowałem – uprzedził mnie porucznik. – Nie da się zejść, są nowe drzwi i zamek z kłódką. Wyważamy?

– Nie, po co? Tam nigdy niczego nie trzymaliśmy. Zbyszek mówił, że straszna wilgoć. Spadamy stąd!

Zamknęliśmy porządnie drzwi i ruszyliśmy dalej. Kudelka elegancko wysadził mnie kawałek od Osy.

Jakoś dotarabaniłam się z Sonią i bagażem do wejścia na teren ośrodka. Szłyśmy powoli długim pasażem wzdłuż placu zabaw. Tłumy bobasów, krzycząc w nerwowej ekstazie na widok pana z polewaczką, uciekały matkom, bliskim wycieńczenia po wielu godzinach spędzonych z ukochanym dzieckiem na plaży. Sonia poszczekiwała radośnie. W rozdrażnieniu przerzucałam ciężką walizkę z jednej ręki do drugiej, próbując ciągnąć ją po nierównej, wyboistej ścieżce pełnej mikroskopijnych kamyczków, które z pewnością musiały wykończyć już niejedną torbę. Ale miałam czas. I byłam u siebie. Prezentowałam się swojsko. W dresie, blada i wycieńczona długą podróżą. Z torbą przewieszoną przez ramię i z walizką w kolorowe mopsy. Niezawodna pani Celinka z recepcji poinformowała mnie, kto ze starego, ćwiczącego tu co roku składu już jest, a kto ma jeszcze dojechać. Zapisałam się u niej szybko na zajęcia, porwałam klucz do pokoju, wrzuciłam bagaże do środka i posłałam z Sonią na plażę.

Trafiłyśmy prosto na zachód słońca. Morze stało w miejscu i przyjmowało już odcień granatu. Było zimne, ale do wytrzymania. Weszłam do wody i przepłynęłam kilka razy wzdłuż brzegu, od

falochronu do falochronu. Sonia grzecznie pilnowała nam miejsca na schodkach. Bała się wody. Plażowicze stopniowo wylegali na plażę, spaleni na buraka przez późne letnie słońce. Szybko obsiedli schody, dzierżąc lornety i zapas alkoholu na cały wieczór. Pojawiły się też moje koleżanki z grupy, walczące o mistrzostwo w odchudzaniu. Wracaly z indywidualnego marszobiegu do rzeczki i z powrotem. Osiem kilometrów w kopnym piachu. Były zziębnięte i bardzo z siebie zadowolone. Pomachałam im z wody i postanowiłam wyjść. Na polecenie Kudelki notowałam w myślach, kto jest kim w tym roku. Frakcji blond jak zawsze przewodziła Piękna Pupa – bogata i znudzona żona biznesmena ze Śląska. Spojrzała na mnie z odrazą. W jej oczach byłam zbyt blada, zbyt mokra i zdecydowanie zbyt naturalna. Rzeczywiście. W czarnym kostiumie pływackim prezentowałam się jak śliska błyszcząca foka. Pokazałam jej język. Niech sobie nie myśli, Wenus jedna! Wzruszyła ramionami i przebiegła obok mnie jak gazela. Frakcja demona zwanego Tygrysem – cała ubrana wyłącznie w panterkę – od zawsze była zakolegowana z grupą Maryśki, panczenistki.

Za zmęczoną marszobiegiem grupą wlokła się jakaś bardzo zgrabna, tleniona na platynę pięćdziesiątka. W złotych okrągłych kolczykach, a do tego cała w pretensjach. Ale nogi miała świetne! Klapki na wysokich obcasach też. Potem pojawił się na horyzoncie nasz turnusowy profesor i specjalista od energii odnawialnej – Guenter. W gaciach do kolan – w palmy! – i przedziwnych butach z poduszkami powietrznymi. Szedł i złorzeczył. Jak zwykle. Pochód zamykały dwie największe plotkary, Marzenka z Małgosią, i to właśnie je, szorując się ręcznikiem i podskakując dla rozgrzewki, serdecznie zaprosiłam na kocyk.

– Czołem, dziewczyny, może wody? Prosto z lodówki.

– Oj, tak! – Marzenka runęła na piasek i przysała się do butelki.

Małgosia stała skromnie z boku. Jak wierna przyjaciółka, a trochę jak służka. Trzymając grzecznie kije i miętosząc w dłoniach przepoconą czapkę z daszkiem.

– Siadaj – warknęła Marzenka i tamta dopiero wtedy posłusznie przysiadła na piasku. Bez konsultacji poczęstowałam ją wodą z butelki Soni, która ufnie wsparła łepkę na jej stopie.

– Natalii nie będzie? Schudłaś chyba. Ale nieładnie jakoś. – Marzenka była urocza jak zawsze. Postanowiłam zignorować jej niewyszukane odzywki i przeszłam do konkretów.

– Mama Natalii zachorowała, więc biedaczka musiała zostać w Warszawie. Ale pod koniec tygodnia przyjedzie.

– Coś poważnego? – zatroskała się Małgosia i podrapała Sonię po brzuchu.

– W pewnym wieku wszystko jest poważne – zawyrokowała Marzenka i spojrzała krytycznie. Tym razem na moje stopy. Miałam paznokcie pomalowane na mój ulubiony, dzinsowy kolor. Już otwierała usta, żeby to skomentować, gdy brutalnie weszłam jej w słowo.

– Co tam, Marzenko, u ciebie? Słyszałam od Tereski, że męża puściłaś z torbami! Bo brykał z sekretarką.

Z satysfakcją zauważyłam, że Marzenkę przytknęło. Małgosia zaś wydała z siebie coś w rodzaju radosnego kwiku.

– Idziemy! – Marzenka zerwała się nagle. – Muszę się natychmiast przebrać!

– Małgosia ze mną jeszcze posiedzi i dopijemy sobie piwko. Niedaleko stąd otworzyli bar – zaryzykowałam.

Ku mojemu zaskoczeniu Małgosia kiwnęła głową i bohatercko odrzuciła kije przyjaciółki na piasek. Tę bitwę wygrałam. Cholerę wyniosło z plaży w tempie błyskawicy.

– Ona nie jest taka zła. Bardzo to przeżywa. – Małgosia lojalnie wsparła przyjaciółkę. Lubiałam ją za to.

– To jakie piwko? – zaproponowałam spontanicznie i podniosłam się, zbierając rzeczy do plażowej torby.

– Takie z sokiem, lekkie jakieś. Małe. Chętnie. – Małgosia uśmiechnęła się i wstała zgrabnie, krzyżując stopy i nie pomagając sobie rękami. Dopiero wtedy zauważyłam dziwne, ukryte dotąd pod koszulką ślady na jej plecach. Nie skomentowałam tego. Plotka głosiła, że ma męża sadystę, do którego z uporem wraca.

Wzięłam pod pachę mój koc i smycz z Sonią, którą postanowiłam na chwilę puścić. Z radosnym szczekiem ruszyła przed siebie.

– Wiesz, że w Osie nie wolno mieć psów w pokojach?

Małgosia, w odróżnieniu ode mnie, zawsze robiła to, co należy.

– E tam. – Wzruszyłam ramionami. – Przyjeżdżam tu od dziecka. Dopłaciłam za nią i mam po niej sprzątać. Odkurzać i tak dalej. Żaden problem.

Dotarliśmy do baru i zakupiłam nam po małym piwie z sokiem. Pijąc powoli, patrzyliśmy na topiące się w morzu słońce.

– W tym roku będzie inaczej – odezwała się nagle Małgosia.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Jak to?

– Zobaczysz. Coś się tu dziwnego dzieje. Między trenerami i w ogóle. Jesteśmy już od tygodnia. W tym roku Marzenka chciała tu przyjechać wcześniej.

– Coś cię niepokoi, Gosiu? – Dotknęłam lekko jej dłoni. Umknęła z nią jednak i zmieniła temat.

– Ale kucharz jest nadal ten sam. Jedzenie przeohydne! Zobaczysz!

Bez pośpiechu wracałyśmy plażą do pensjonatu. Niebo zasnuło się chmurami, zerwał się nawet lekki wiatr. Zawołałam Sonię i wzięłam ją na krótką smycz. Niczego już nie udało mi się z Gosi wyciągnąć. Uczyła pod Krakowem matematyki. Myślała logicznie i lubiła plotki. Postanowiłam ją potem jeszcze docisnąć. O ile oderwę od niej Marzenkę.

W pokoju rozpakowałam się i wzięłam prysznic, po czym nasmarowałam się okropnie drogim balsamem dla kobiet w średnim wieku. Likwidował wszystko to, czym pogardzała Piękna Pupa. A niech ją! Wytarłam też suczkę z piasku, nakarmiłam ją i zrobiłam nam obu podwójne legowisko na tarasie. Sonia, co zdążyłam już odkryć w Warszawie podczas spacerów, bardzo lubiła wachać kwiaty. Tu zapachy spływały pomarańczową falą z plastikowych doniczek pełnych nasturcji. Zaparzyłam sobie jeszcze dobrej herbaty i usiadłam obok suczki na swoim siedzisku, drapiąc ją delikatnie po łepku. Przymknęłam oczy. Wakacje...

– Matylda? – Świszczący szept dochodził zza gęstych krzaków tui. Westchnęłam.

– Możesz wyjść, Kudelka. Wszyscy poszli pod latarnię na nielegalną rybę.

– Też bym zjadł. – Stróż prawa zatęsknił za smakami morza.

– Po tym linie? Mowy nie ma! Do śniadania post!

– A herbata? – spytał porucznik nieśmiało. – Będę siedział w pokoju w półmroku. Jak trusia.

– Dobra. Zrób sobie. Esencja jest w termosie – zgodziłam się łaskawie. Wstałam i włączyłam mu czajnik elektryczny. Powróciłam do Soni, a on w tym czasie błyskawicznie wskoczył przez taras i po chwili zastygł za zasłonką z kubkiem.

– Dowiedziałas się czegoś? – zaszeptał znowu.

– Niewiele. Na treningach podobno dzieje się coś dziwnego. Ale nie wiem, o co chodzi. Trzeba by pochodzić na różne zajęcia w różnych grupach. Mam wrażenie, że ta Osa jest jakoś ważna. Dziewczyny są jakieś podenerwowane. Nigdy tu tak nie było. Oaza spokoju. A ja chcę wreszcie odpocząć od tych sensacji!

– Bardzo słusznie. Się zapisałem już – wyznał Rysiek. – Do grupy A. Będę mieszkał obok i miał wszystko na oku, jestem od dziś w Roksanie. Ale popołudnia będę spędzał w Koszalinie, u chłopaków w komendzie. Mam też kogoś na terenie fundacji. Raporty sobie zdajemy co wieczór. Ty mi mówisz, co się tu działo, a ja tobie to, co będę mógł.

– Oszałałeś, Kudelka! Grupa A! Tam są ostrzy zawodnicy! Nie dasz rady kondycyjnie! Raporty? A to się wszystko jakoś łączy? – zdziwiłam się.

– Ja? Nie dam? Rady?! Jestem mistrzem komendy w karate kyokushin! – Porucznik aż się zapowietrzył z oburzenia. – Czy co się łączy? A gdzie niby poznałaś Zbyszka, co?

– No tu, w Mielenku. Mówiłam ci przecież – przyznałam.

– A Maciek gdzie kupił działkę? – nie ustawał Kudelka.

– No, pod Koszalinem, niedaleko Mielenka, ale co to ma do rzeczy? – zdenerwowałam się.

– Nie wiem, ale oni jakoś wszyscy tu krążą wokół tego Mielenka jak oszaleli. Maciek, Zbyszek i Burda. Z tego, co ustaliłem, Maciek i Zbyszek bywali tu co najmniej dwa razy w miesiącu. Ciągle płacili mandaty. No a Burda mieszka tu niedaleko. I ten z kolei namiętnie jeździ do Warszawy. W tę i z powrotem!

– Co właściwie Burda ma do tego?

– Ma interesy tu i w Warszawie. Finansował także Osę. A konkretnie remont schodów na plażę i dachu. Bez powodu by tego nie robił. Więcej ci na razie powiedzieć nie mogę... A ten twój Zbyszek też nam się nagle pojawił w jego dokumentach i fakturach – zaszemrał. – Lepiej daj mi te klucze od domu Zbyszka, to wyślę je jakoś Podłej – użył mojej retoryki, co w jego ustach zabrzmiało dość zabawnie. – Że niby teraz je znalazłaś czy coś. Ciągle ktoś ode mnie kursuje między Warszawą a Koszalinem.

– Co? – Nie zrozumiałam. Morze musiało widocznie jakoś głośniejsze zasumieć.

– Klucze daj! Raporty, jak mówiłem, co wieczór. A walki Wschodu to ja trenuję od lat! Mogę zabić każdego kopnięciem w szyję – dodał niedbale.

Posłusznie wstałam, odpięłam klucze z pęku tych domowych i podałam porucznikowi, który troskliwie umieścił je w kieszeni kreszowego dresu.

– Adres chcesz? – spytałam.

– Jestem policjantem! – Urażony siorbnął z kubka trochę herbaty.

– Na razie to dopijaj tę herbatę i znikaj. Zaraz napiszę do Podłej SMS, że klucze wysyłam pocztą do Warszawy, bo się znalazły nad morzem. No już! Muszę jeszcze wyjść z Sonią i się kładę. Zamierzam być na rozruchu porannym – oświadczyłam hardo.

Podła odpisała: *Nareszcie!* Pokazałam to Kudelce i postanowiłam ją od tej pory ignorować.

– No dobra, dobra. Idę przecież. – Kudelka powstał wreszcie z kucek.

I jak się pojawił, tak w sekundę znikł. Nie powiem. W skokach przez taras mógł konkurować z każdym. Nawet z Piękną Pupą.

Poranek wstał rześki, jak to we wrześniu nad Bałtykiem.

Włożyłam ciepły dres i udałyśmy się z Sonią na rozbieg z grupą B. Na pustej i wietrznej plaży były już Marzenka z Gosią. Morze ekstatycznie szalało, niestrudzenie przerzucając bure, szarozielone fale. Bez ustanku. Piasek był twardy jak beton. Przywołałam suczkę i przypięłam ją na smyczy do wystającego korzenia. Po chwili dołączyły Marzenka i Rudy Demon, czyli Marianna. Grzecznie rozkładały maty. Przedstawiłam się rudej. Usłyszałam na to: „Marianna Lis, dyrektorka gimnazjum”. Czyli to stąd ten dyktatorski dryg... Patrzyłam, jak apodyktycznie rozdziela nam miejsca do ćwiczeń.

Naszą instruktorką była Beata, energiczna tancerka i wielbicielka zumby, niegdyś baletnica Teatru Wielkiego w Poznaniu. Zbiegła ze schodów i od razu zaczęła uprawiać swoje upiorne podskoki, więc – chcąc nie chcąc – ruszyłyśmy w jej ślady. Po kwadransie, potwornie zziajane, opadłyśmy na maty i zaczęłyśmy energicznie machać nogami, a następnie robić mordercze brzuszki z tymiż nogami i pupami w górze. Obiektywnie muszę przyznać, że Rudy Demon był w tym najlepszy. W pewnym momencie zadzwonił telefon i zobaczyłam, jak Marianna zrywa się i odbiega z nim w stronę Osy. Zostawiła nawet na piasku górę od dresu i klapki. Widocznie coś ważnego... Jęcząc potwornie, przewróciliśmy się na brzuchy i zaczęłyśmy robić przygotowania do pozycji foki. To był mój popisowy numer. Zebrałam zasłużone oklaski i wreszcie podniosłam się z maty.

Tymczasem na plażę wbiegła właśnie grupa wyczynowa z bosym Kudelką w rozciągniętym T-shircie i na bosaka. Chciałam krzyknąć, że porani sobie stopy, ale się powstrzymałam. Teoretycznie znaliśmy się przecież tylko z widzenia. Troska byłaby wielce podejrzana. Grupa ruszyła rażno za Andrzejem, specem od kinezy. Odprowadziłyśmy ją wzrokiem pełnym współczucia.

– Idioci. Pogoni ich do białego domku i tam zrobi gimnastykę z gumami – ze znanstwem w głosie oświadczyła Marzenka i swe ciężkie spojrzenie zawiesiła tym razem na Soni. Suczka wryła sobie w ziemi chłodną jamę i leżała tam bardzo zadowolona. – Mówiłam kierownicze, że jesteś z psem – dodała Marzenka oskarżycielskim tonem.

– No i? – Odplątywałam spokojnie smycz od korzenia.

– Powiedziała, że gdyby nie twoje artykuły, toby nie przetrwali zimy, i że to wyjątkowy pies – przyznała wyraźnie niezadowolonym tonem.

– Coś zamierzasz w związku z tym? – Wyswobodziłam Sonię, która przyjrzała się jej w rewanżu. Szczeknęła nawet groźnie i krótko.

Marzenka wzruszyła ramionami, odrzuciła na plecy coś, co można było uznać za wspomnienie po gęstych kasztanowych włosach, i statecznie skierowała się ku schodom. Gosia wiernie podreptała za nią. Pomogłam Beatce z matami i zdecydowałam się zrezygnować z ohydnych śniadania – pół grejpfruta z twarożkiem i pokrojona w płatki biała rzodkiew – i posiedzieć jeszcze chwilkę na plaży.

Po kilku minutach dołączył do mnie Demon i podziękował za opiekę nad klapkami i dressem. Miał w termosie kawę. Z chęcią przyjął propozycję wypicia pobudzającego napoju z wysokiego kubka w gejsze.

– Piękny. – Spojrzałam na niego pod światło. Kubek był prawie przezroczysty.

– Prezent z Japonii. Mają tam taką porcelanę jak w Chinach, tylko mocniejszą. – Marianna z dumą odebrała mi naczynie i poszła je opłukać do morza. Pokiwałam głową i spojrzałam w stronę białego domku. Jakaś postać oderwała się od peletonu i ruszyła, kulejąc, w drogę powrotną. Miałam już pewne podejrzenia, kto to może być...

Kudelka dotarł do mnie na taras dopiero późnym popołudniem. Cały oklejony plastrami i przedziwnie opalony – czerwona skóra odznaczała się od tej bledszej o wyraźnym kształcie bezrękawnika...

– Daj mi jakąś maść – zażądał stanowczo, stając pod tarasem z nieszczęśliwą miną.

Przyniosłam mu żel chłodzący na stawy, bo nic innego nie miałam pod ręką.

– Coś się dzieje? – zapytał, wsmarowując sobie śmierzdzący specyfik w spalone ramiona.

– E, nie bardzo. Dopiero się rozglądam. Marzenka się rozwiodła. Jest kilka nowych. Ale jeszcze nie wiem, kto z kim trzyma.

– Zaraz jadę na posterunek w Koszalinie. Wypytam, co i jak. Burdzie skarbowka dobiera się do tyłka. Dam znać.

– Jak kondycja? – zaryzykowałam.

– Świetnie – warknął stróż prawa i szybko odszedł cierpieć w samotności.

Pierwszy dzień jest zawsze najtrudniejszy, ale jakoś dotrwałam kondycyjnie do wieczora. Kolacja to najważniejszy punkt dnia w Osie. Nikt się nie spóźnia. Już za pięć szóstą wygłodniaли i narzekający na rozliczne urazy mięśni tłoczyliśmy się przed jadalnią. Przeskoczyłam taras, obiecując kundelce jakieś pyszne resztki. Po chwili wrota otwarły się i tłum ruszył rażno w kierunku stołu z dodatkowym pożywieniem. Nic nadzwyczajnego. Ser ze śniadania i surówki z obiadu. Do tego jakaś wędlina i ogórek kiszony na – powiedzmy – osłodę. Ale nikt nie grymasił. Guenter nakładał ogromne kopy jedzenia na głębokie talerze dla swojej licznej rodziny. Za nim nerwowo podrygiwała Gosia z talerzykami dla siebie i Marzenki, która to Marzenka ostrym tonem instruowała ją w kwestii ogórków i pieczywa.

Korzystając z chwili ich nieuwagi, załapałam się na twarożek i pomidora. Dosypałam sobie jeszcze trochę pestek słonecznika i uspokojona udałam się do stolika. Dosadzili mi jakieś małżeństwo w nieokreślonym wieku. Z własną oliwą i pomidorami. Spryciarze... Konsumowali je z zapalem, nie zwracając sobie niepotrzebnie głowy rozmową. Po jakichś trzech magicznych minutach nasze talerze opustoszały.

– Obiad był tak obrzydliwy, że go nawet nie tknęłam. Miruna w sosie własnym i rozgotowana pulpa ze szpinaku. Mrożonego, rzecz jasna – odezwała się małżonka tonem uprzejmej konwersacji.

– Z zasady nie tykam tu obiadów. Matylda jestem – przedstawiłam się.

– A jak wytrzymujesz do wieczora? – zainteresowała się bezimienna.

– Jem dużo białego sera na śniadanie i na kolację. Woda, kawałek gorzkiej czekolady po południu
– zdradziłam jej swój sekret.

– Mądrze. – Mąż spojrzał na mnie z uwagą. – Kazio jestem.

Okazało się, że oboje prowadzą sportową szkołę na Śląsku. On uczy wychowania fizycznego, a ona prowadzi sekretariat.

– I możecie się tak urywać na początku roku szkolnego? – zdziwiłam się.

– A ty tu co roku czy pierwszy raz? – zignorował moje pytanie Kazio.

– Od dzieciństwa tu przyjeżdżam. Zawsze po sezonie.

Znowu przyjrzał mi się z uwagą i już otwierał usta, by mnie o coś jeszcze zapytać, gdy nagle z rumorem przewrócił się za nami fotelik zawierający bobasa. Rozhisteryzowana mamusia z resztkami trwałej zaczęła zbierać dziecko z podłogi, złorzecząc na cały świat. Rozjuszona matka jest groźniejsza od tsunami, więc przezornie udałam się do kuchni po resztki z obiadu dla Soni. Ponury kucharz obdarował mnie kleistym krupnikiem. Tak gęstym, że przy odrobinie życzliwości mógłby udawać risotto. Podśmierdywał także lekko i nad wyraz obiecująco. Udałam się do pokoju, gdzie suczka rzuciła się na woniejący przysmak, a ja postanowiłam jeszcze przebiec się plażą z Kudelką. Coś nagle przyszło mi do głowy. Niestety porucznika jeszcze nie było. Nie odbierał telefonu, więc sama ruszyłam kłusem. A po powrocie wysłałam mu mail z prośbą o sprawdzenie danych dwóch osób z naszego turnusu.

ROZDZIAŁ 5

KINETYK UJAWNIA ŹRÓDŁA

Minęły kolejne dwa wypełnione ćwiczeniami dni. Pozornie nic się nie działo, ale – jak słusznie zasugerowała Małgosia – coś wisiało w powietrzu. Kadra trenerska, zwykle solidarnie trzymająca się razem, w tym roku wyraźnie się podzieliła. Savonarola podszczypywał pielęgniarki, a Beata z Adamem, tym od ćwiczeń na siłowni, siedzieli osobno. Kierowniczka Lucyna, rasowa brunetka o białej skórze i nienagannej sylwetce, tradycyjnie nie opuszczała swojego luksusowego apartamentu. Jeśli była potrzeba, wszędzie wysyłała swego piegowatego i niesłuchanie energicznego męża – Roberta – który na głowie miał przecież jeszcze stołówkę i hotel w Sarbinowie. Lucyna samotnie i z wielką radością rozkoszowała się luksusami swojego kierowniczego apartamentu i tylko popołudniami wychodziła z Marianną na plażę, aby zawzięcie plotkować pod parasolem.

Ja zaś wytrwale ćwiczyłam i dzielnie odpierałam złośliwe ataki Marzenki. Tradycyjnie wyklócała się o wszystko. Reszta turnusu zachowywała się normalnie. Piękna Pupa terroryzowała męża i nas. W tym drugim wypadku terroryzm objawiał się manifestowaniem perfekcyjnego wyglądu. Trenerzy zamieniali się wieczorami w masażystów i chudli na potęgę. Ja także. Kucharz jak zawsze dokonywał cudu przeistaczania najprostszycy dań w niejadalne paskudztwa. Tego dnia na obiad dostaliśmy rozgotowanego kurczaka i breję z mrożonych buraczków. Oraz kolejne wariacje na temat rzodkwi, grejpfruta i kminku.

– Przysięgam. Nigdy więcej drobiu i mrozonek – ślubowałam sobie, wyjadając regularnie z dodatkowego stołu biały ser z pomidorem i chrupki dla niemowląt. Po pięciu dniach bez trudu zapięłam na sobie białe spodnie. Przez potworne ilości wody z pokrzywą sikałam jak najęta. Zdrowiałam i piękniałam sukcesywnie. Z każdą chwilą. Widziałam to wyraźnie, przeglądając się w oczach Kudelki, który wieczorami zwykł spotykać się ze mną potajemnie pod krzakiem tui i wypytywać szeptem o kolejne nowiny. Obrzucał mnie przy tym ukradkowymi spojrzzeniami, które odczytywałam – skądinąd słusznie – jako wyraz ewidentnej aprobaty. Być może to trochę dzięki temu powoli ustępowały moje romantyczne, acz niekoniecznie pożądane sny o Zbyszku.

Byłam tak wykończona fizycznie, że regularnie padałam na nos przed dwudziestą pierwszą. Na poranny rozbieg zaś wstawałam już o siódmej. Jak automat. Tęskniłam tylko za Natalią i naszymi babskimi wieczorami na tarasie. Dopiero we czwartek wysłała mi SMS, że nie ma już żadnego biletu na pociąg do Koszalina i że ma zamiar wybrać się z jakimś przygodnym kierowcą z BlaBlaCar. Będzie nie wiadomo kiedy i nie wiadomo z kim. Trudno. Kudelkę też gdzieś wciąło, nie odpowiadał na SMS-y, więc nie miałam towarzystwa ani do wina, ani do dyskusji – chcąc nie chcąc i nie marnując także cennego czasu na modelowanie się od rana do nocy, wstawiłam po południu cenne wino do lodówki i udałam się na kinezę z tutejszą legendą – Andrzejem, czyli Savonarolą. On i jego historyczny pierwowzór byli do siebie podobni jak dwie krople wody. I jeden, i drugi był łysy, groźny, ogromny, przeraźliwie bładny i despotyczny. Wersja współczesna od lat specjalizowała się w ciężkich urazach kręgosłupa. Andrzej miał na owe urazy opatentowany autorski i ewidentnie sadystyczny układ ćwiczeń rehabilitacyjnych, po których wychodziłam z sali mokra jak mysz i wyższa o jakieś pół centymetra.

Część jego – nazwijmy to wprost – wyznawców siedziała już grzecznie pod salą z workami do ćwiczeń, szeptaając z nabożnym szacunkiem. Czekali, aż wyjdzie grupa z pokazowym kościotrupem. Savonarola na jego kościach z upodobaniem wskazywał kursantom różne urazy i zagrożenia wynikające ze złego traktowania mięśni miednicy. To tak zwana grupa pakietowa, która płaciła grubą kasę, by od rana do nocy móc tarzać się na macie oraz wkuwać nieskończoną ilość informacji o budowie kręgosłupa na tajnych wykładach z workiem. Współczułam im bardzo. Co prawda byli nieludzko rozciągnięci, ale na pobyt na świeżym powietrzu nie starczało im już czasu.

Mój osobisty system zakładał, żeby kinezę ćwiczyć co drugi dzień. W pozostałe bumelowałam. Harmonia musi być! Aktualnie uprawiałam dodatkowe marszobiegi z Kudelką. To był drugi – poza siedzeniem w krzaku tui – niezawodny i bezpieczny sposób na przekazywanie sobie informacji. Z reguły lecieliśmy bardzo szybko i koleżankom z turnusu nie chciało się nas gonić. Do tej pory ustaliliśmy tylko, że para, z którą usadzono mnie w jadalni, rzeczywiście pracuje w szkole oraz że między trenerami doszło do spięć na gruncie finansowym. Savonarola się bowiem radykalizował i w porównaniu z Adamem i Beatką zarabiał krocie. A oni nie mogli tego znieść. Zarobki Savonaroli imponowały za to pielęgniarkom. Nieludzko. Dwie adeptki studium pielęgniarskiego w Koszalinie zmieniały się w gabinecie co kilka godzin, a towarzystwo boga kinezy ceniły sobie w stopniu więcej niż wysokim. Z wzajemnością.

Co do mnie, to odkryłam już dawno, że w marszobiegu kapitałnie opalały się nogi, i to z każdej strony, co dla mnie akurat było wyjątkowo ważne.

Nogi – delikatnie rzecz ujmując – nie były moją mocną stroną. Dlatego całe życie starałam się, aby były umięśnione, opalone i jak najmniej widoczne dla otoczenia. Latałam więc po plaży jak oszalała, gdy tylko słońce wychodziło zza chmur.

Jednak plan na dziś był inny. Pochmurny, depresyjny wieczór nadawał się w sam raz na mordęgę z kinetycznym despota. Znalazłam sobie w sali ustronny kąt pod oknem, po czym podstępem wyszarpałam Marzence dobrą matę i pokornie zastygłam w siadzie japońskim. Savonarola niestety przyzeźgłował i do mnie. W swoich czyściutkich białych skarpetach. Precyzyjny i bezlitosny. Czułam, że tym razem mi nie odpuści. Lubił mieć na treningu ofiarę, na której demonstrował te wszystkie upiorne ćwiczenia.

– Wysuń ręce daleko przed siebie i powoli pogłębiaj skłon, palce w lewą, a następnie w prawą stronę – zaszemrał kinetyk i puścił muzykę medytacyjną z zacinającego się magnetofonu.

Wysunęłam wszystko, co mi kazał, i sprawdziłam, czy i on ćwiczy. Ćwiczył. Długie ręce hokeisty przepelzły obok mnie i zastygły nieopodal. Bez cienia wysiłku.

– Gdy uzyskasz już maksymalne napięcie, zrób dwa, trzy głębokie oddechy i wysuń nogę prostopadle w lewo – rozkazał ponownie despota.

Zatopiłam się we własnym ciele, kontemplując aktualną pozycję mojej miednicy. Jęcząc potwornie jak reszta ćwiczących, wykonywałam kolejne napięcia, skłony i inne okropieństwa. Magnetofon rzeził wytrwale, a ja modliłam się, aby Savonarola wreszcie odwrócił ode mnie wzrok. Na próżno. Z pasją dociskał mnie do maty i doprowadzał do granic wytrzymałości. W pewnym momencie tak zaplótł mi ręce i nogi, że wyglądałam i czułam się jak fakir na piekielnych mękach. Wszystkie mięśnie paliły mnie żywym ogniem, a do tego się ewidentnie dusiłam.

– Wydłuż oddech przeponowy – zaszeptał w ekstazie Savonarola i dogiął mi jeszcze kolana do podłogi.

Jęknęłam. Nagle kinetyk podniósł się i tajemniczo znikł za zasłonką. Wieść niesła, że miał tam biuro, w którym trzymał swoją słynną teczkę z aktami każdego delikwenta z urazem. Znikał więc tak, doczytywał i szybko wracał na salę. Ale dziś na szczęście nie wrócił. Po pięciu minutach mordęgi wyplotłam jakoś ręce zza głowy i zdecydowanie zbyt licznych jak na mnie kolan. Odetchnęłam i runęłam na matę w pozycji trupa. Z obowiązkowym wałkiem pod kręgosłupem, również umordowanym do granic. Jakiś miłosierny człowiek otworzył nam od zewnątrz okno. Pewnie ogrodnik. Przykryłam się kocem i zaczęłam powoli odpływać.

– Pan jeszcze nie pozwolił! – wysapał obozowy prymus, specjalista od odnawialnych źródeł energii, Guenter, siedząc w półłotosie i patrząc zazdrośnie na mój akt relaksu.

– Mamy to gdzieś, Guenter, cholery zaraz dostanę! – Wychudzona i spalona na skwarek dyrektor Marianna poszła szybko w moje ślady, a po chwili to samo uczyniła reszta ćwiczących: Gośka i Marzenka oraz Piękna Pupa. Guenter poddał się, acz ostatni. Z typowym dla siebie żołnierskim drylem poskładał pedantycznie matę i koc, po czym natychmiast wyszedł. Przymknęłam z ulgą oczy. Po jakimś czasie przecknęłam się i rozejrzałam dookoła. Byłam w ciemnej już sali kompletnie sama. Ukryta za stertą materacy i bardzo zrelaksowana. Nagle za zasłonką mignęły mi białe skarpety i usłyszałam

sceniczny szept.

– Marianna, to ty? Kolejne dziewczyny dojechały!

Po chwili błysnęło światło i Savonarola ujrzał mnie w pełnej krasie. Spoconą, potarganą i trącą zaspane oczka.

– Coś jej mam powtórzyć? Gdzie cię tak wcięło podczas zajęć? – zagaiłam uprzejmie.

– Nic, nic, weź prysznic i odpoczywaj. – Savonarola był wyraźnie skonsternowany moim widokiem, ale postanowiłam nie zaprzętać sobie tym głowy. Marzyłam o prysznicu i łyku białego wina z lodem. Wstałam, złożyłam koce i szybko wróciłam do pokoju.

Dalsza część wieczoru upływała mi bardzo miło. Na tarasie, w świetle świeczki malowałam paznokcie na krwistoczerwono i popijałam w nieskończoność szprycera z lodem. Wino było w Mielenku na wagę złota. Koleżanki z turnusu tankowały równo, więc w pobliskim sklepiku nie było już ani butelki. W tajemnicy jeździłam rowerem na pobliskie pole namiotowe, gdzie ukrywał się mały spożywczak, w którym sprzedawano vinho verde z dyskontu za dwanaście dziewięćdziesiąt dziewięć za sztukę. Strzegłam tego sekretu nad wyraz starannie. Jeździłam zawsze w porze relaksu i przywoziłam po butelce co drugi dzień. Jak dotąd udawało się dochować tajemnicy. Dopłacałam nawet dwa złote za przetrzymanie mi towaru. Opłacało się, bo od kiedy zainstalowali nam w pokojach lodówki, wino cudownie nabierało aromatu i szlachetności. A z lodem to już w ogóle...

Tak sobie popijając i susząc paznokcie, nie zauważyłam, jak ciemna sylwetka zniecka przerzuciła się przez taras obok i wyrosła mi prosto przed nosem. Kudelka! Oczywiście, a któż by inny! Nauczona już doświadczeniem czekałam spokojnie. Zaczął się umiejętnie w pokoju w progu tarasu, po czym usiadł po turecku za zasłonką w słoneczka i wyszeptał:

– Coś się wydarzyło na kinezie?

– Nic, powygiął nas i zniknął. – Wzruszyłam ramionami, co w panujących ciemnościach i tak nie miało właściwie sensu.

– Na jak długo? – dopytywał stróż prawa.

– No, na czas mojej drzemki. W międzyczasie zdążyło zajść słońce.

– Kończyliście zwykle o dwudziestej trzydzięści. Plus drzemka... Aha! – Kudelka w skupieniu obliczał sobie brakujące minuty i sekundy.

– To ważne? – zdziwiłam się i odwróciłam w stronę istic posągowego w tej chwili porucznika.

– Nie patrz na mnie, mnie tu przecież nie ma! – zasyczał stróż prawa ostrzegawczo, więc posłusznie opadłam na leżak.

– Lepiej powiedz, co ustaliłeś w sprawie Zbyszka – zażądałam stanowczo. Od dwóch dni nie mam od ciebie wieści.

– Nie wiedzą, gdzie jest, ale uważają, że żyje – powiedział Kudelka ostrożnie.

– A skąd niby to wiedzą? – Coś gwałtownie ścisnęło mnie w żołądku.

– Wiedzieć, to nie wiedzą, ale podejrzewają. Żona Zbyszka przyjechała na miejsce wypadku raz jeszcze. Mieszka w tym domu na skarpie. Robili wizję lokalną. A ona była zadziwiająco spokojna. Jakby wiedziała, co zaraz usłyszy.

– A co usłyszała? – Cała pochyliłam się w jego stronę. Zaszło mi w gardle.

– To, co już wiesz. Zwłoki należą do bezdomnego z domu opieki. Ten dom wspomaga fundacja Burdy.

– Fundacja!

– Tak, ta sama, którą tak pilnie namierzałaś dla Maćka. Może dlatego tak się wściekał?

– O rany! – Odchyliłam się na leżaku i zaczerpnęłam głębiej powietrza. – Siku mi się chce i chłodem mi wieje po kostkach – poskarżyłam się po chwili. – Możemy pospiskować już w pokoju?

– Dobra, włącz! – Kudelka przeniósł się sprawnie pod biurko między szafami i ostrzegawczo położył sobie palec na ustach.

Ktoś nagle poruszył klamką do drzwi pokoju. Zastygłam w pół drogi do łazienki. Nasze pokoje

z zewnątrz otwierały się na kartę. Bez sensu było się szarpać. A jednak ktoś wytrwale szamotał się przy zamku i – co najdziwniejsze – w końcu mu się udało... Pewnie znowu nie domknęłam drzwi! Z potwornym rumorem ruszyłam na włamywacza, atakując jego głowę tym, co akurat miałam pod ręką, czyli złożonym leżakiem.

– Jezu, oszalałaś, Matylda, czy co? – Natalia, rozcierając sobie głowę, na której prawdopodobnie wykwitał właśnie okazały guz, siedziała w progu z okazałym plecakiem na ramionach.

– Miałaś być rano – powiedziałam z pretensją w głosie i podałam jej dłoń.

– Ale przyjechałam stopem i jestem w nocy – dokończyła moja przyjaciółka, wstając i kiwając Kudelce na powitanie głową. Porucznik nadal tkwił pod biurkiem w niejakim napięciu i nie dawał znaku życia.

– Po tym urlopie jadę do sanatorium – oświadczyłam obojętnie i poszłam wreszcie do łazienki.

ROZDZIAŁ 6

KOLEJNA OFIARA

Mijał kolejny dzień turnusu, a Natalia na moją prośbę pojechała do Koszalina. Wtajemniczyłam ją w sensacyjne odkrycie Kudelki. Miała posłuchać plotek w biurze fundacji. Mnie mogli rozpoznać, moja facjata była w tytułowce reportażu, który tak wstrząsnął reputacją Burdy. Natalia miała tam pójść pod pretekstem zaoferowania pomocy w dostarczaniu do domu opieki żywności z Osy. Robert z Lucyną, czyli nasze kierownictwo, mieli zawsze zapasy jarzyn i mrożonej miruny, które regularnie przekazywali potrzebującym.

Aby zabić jakoś czas do jej powrotu, od kwadransa tkwiłam przed jadalnią. Z rezygnacją uczyłam się na pamięć ohydnych dietetycznych menu. Taki był codzienny rytuał każdej szanującej się wczasowiczki na diecie.

Znowu tymbaliki drobiowe! Oszaleć można! Nagle, ku mojemu zdumieniu, ujrzałam skradającego się Kudelkę. Biegł kurcgalopkiem od strony tarasu, rozglądając się nerwowo na boki. W dresie z kreszu i ogromnych adidasach z poduszkami powietrznymi, które przy każdym susie wznosiły go dodatkowo o kilka centymetrów w górę. Dramatyczna zaczeska ani drgnęła, przyklejona na płask klejem wyproszonym od znanego piłkarza. Kudelka niegdyś zapuszkował go na dwadzieścia cztery godziny za jakieś burdy po pijaku w Mielnie, po czym się – o dziwo – dość mocno zakolegowali. Nad morzem było o tej aferze głośno. Do tej pory wspomniano, jakież to libacje z udziałem piłkarzy i pewnych pańienek odbywały się w hotelowym basenie. Doszło też, zdaje się, do szarpaniny z policją i miejscowym gangiem. Gdyby nie miłość Kudelki do piłki nożnej, byłoby z Radziem krucho. Zagapiłam się. Zdyszany stróż prawa pojawił się wreszcie przed moim zgłodniałym obliczem. Bez słów, stanowczym gestem zażądał ode mnie natychmiastowej narady za krzakami tui. Odrzuciłam widmo znieawidzonego drobiu na parze i posłusznie udałam się na miejsce schadzki. Siedząc w kucki, z pupami zwróconymi w stronę jadalni, wyglądaliśmy jak dwie kolorowe Buki. Ale od strony ośrodka byliśmy praktycznie niewidzialni. Kudelka gestem nakazał mi markowanie pielenia rosnących tam ziółek. Posłusznie zaczęłam skubać trawę i nadstawiłam ucha.

– Dyrektorka zniknęła! – wyszeptał Kudelka ze świs-tem.

– Jakim cudem? Wczorajem była przecież na podskokach z piłkami! – zdziwiłam się.

– Ciii! Nie wrzeszcz tak! Wczorajem może była, ale rano już nie. Nie wstała na rozbieg. – Kudelka aż poczerwieniał z troski i napięcia.

– Też mi nowina! Może po prostu śpi?

– Nie ma jej nigdzie! Całkowicie, dokumentnie nigdzie! Obleciałem cały teren Osy i kawałek plaży. Jej koleżanka z pokoju jest strasznie zdenerwowana, bo Marianna nie wróciła na noc – zaświszczał ponownie stróż prawa.

– I to ona kazała ci jej szukać? – Pamiętałam pucołowatą Jadzię. Jak ona się troszczyła o to wychudzone ćwiczeniami monstrum!

– No nie, ale upiła się do nieprzytomności w łazience, usnęła i pomagałem wywazać drzwi. Szlocha i wszystkim się zwierza. Na zmianę.

– W którą stronę? – Chciałam wiedzieć.

– Co, w którą stronę? – Porucznik nie zrozumiał.

– Plaży! W którą stronę leciałeś, Rysiu, piaskiem?

– W lewo, ja zawsze lubię tam, gdzie ty... W lewo.

– Daj spokój, Kudelka, w lewo bez sensu. Tam się chodzi romantycznie. W prawo trzeba było najpierw, tam jest bardziej ubity piach. Lecimy!

No i poleciliśmy. Mewy histerycznie wrzeszczały nam nad głowami, a morze szalało po

swojemu. Piach był jeszcze twardy. Bobasy z mamami przychodziły na plażę dopiero koło dziesiątej i rozkopywały wszystko łopatkami. Dlatego właśnie zawsze latałyśmy plażą wcześniej. Mniej więcej po dwudziestu minutach szybkiego marszobiegu ujrzałam leżącą pod wydumą nienaturalnie zgiętą postać. Była do połowy zaryta w piasku. Plaża – o tej porze jeszcze pusta – od lat zapadała się dokładnie w tym miejscu. Jeśli ktoś o tym nie wiedział, mógł się zakopać po pachy i nie potrafić wyleźć. Dopadliśmy nieszczęsnej Marianny równocześnie i krzyk tryumfu ugrzązł nam w gardle. Dyrektor Marianna Lis miała sine usta, otwarte jakby do krzyku. Wytrzeszczone niewidzące oczy patrzyły w niebo, a zdarte do krwi paznokcie na rozczapierzonych palcach także powoli siniały. Była naga od pasa w górę, a na boku szyi miała wyraźne ślady duszenia. Reszta tułowia tkwiła w piasku. Marianna była poważnie wychudzona. Nie bez satysfakcji odnotowałam także spalony słońcem wiszący biust. Zawsze opalała się topless i do połowy wyglądała dużo gorzej niż ja. Szczególnie po śmierci. Jak stałam, tak usiadłam. Po chwili poczułam, jak Kudelka troskliwie przykrywa mi ramiona górą od swojego paskudnego dresu w barwy narodowe Francji.

– Odwróć się! – rozkazał mi stanowczo.

Posłusznie zagapiłam się w morze. Dosyć tępo. Ale po chwili zwyciężyła zawodowa ciekawość. Porucznik gdzieś zadzwonił i po jakimś czasie na plażę zaroilo się od techników z ekipy śledczej. Przybiegł też lekarz z sanitariuszem i noszami. Zjawilo się kilkoro wystylizowanych kolorystycznie amatorów porannego joggingu w parach. Kudelka sprawnie ogrodził palikami teren dookoła zwłok i przykrył Mariannę kocem. Gapiów szybko odprawił. Robili teraz jakieś tajemnicze pomiary. Oglądali też z bardzo bliska piasek dookoła zwłok i czymś na niego psikalili. Lakier do włosów? Nie, to niemożliwe... Sprawdzali też chyba, czy Marianna nie ma czegoś pod paznokciami. Pobierali zewsząd jakieś dziwne próbki. Fotograf pstrykał zdjęcia z miejsca zbrodni, lawirując między technikami i usiłując oszukać oślepiające go słońce. Wiedziałam jedno. Nikt tak nie wygląda po szarpaniu się z ruchomymi piaskami! Tu musiał być morderca. Co tam morderca! Raczej jakaś bestia... Pomimo zakazu podeszłam jeszcze bliżej i zawisłam na Kudelce. Zrobiło mi się niedobrze. Migdał stanowczym gestem nakazał mi odejść. Mroczyki zawirowały mi przed oczami. Zemdlałam.

Ocknęłam się, gdy dostawałam już zastrzyk na uspokojenie. Oraz trochę kawy z termosu od niemłodego już, lecz bardzo przystojnego lekarza. Kogoś mi przypominał. Musiałam mieć coś natrętnego we wzroku, bo – odbierając pusty już kubek – lekarz ów przemówił do mnie niezwykle atrakcyjnym basem:

– Tak, jestem do niego podobny. Ale dziś wracam do miasta na dyżur.

Doktor House z Koszalina! Był wyraźnie znudzony swoją urodą. I wrażeniem, jakie robiła ona na kobietach. Nic dziwnego. Na jego miejscu też bym była znudzona. Ale niebywałe, tak czy inaczej... I jaka szkoda, że w takich okolicznościach! Obok mnie błyskawicznie zmaterializował się Kudelka. Zatroskany i na bosaka. Okazało się, że nim zemdlałam, cała treść mojego zszokowanego żołądka – wszystkie niedoprawione szpinaki, mdłe kurczaki na parze i buraczane pulpy – wylądowała na jego nowych adidasach. Przywiało go ze stanowczym poleceniem dalszego nieruszania się z miejsca. Nie było takiego ryzyka. Co jak co, ale ruszać się zamiaru nie miałam. Po raz pierwszy widziałam przecież nie tylko trupa, ale też doktora -House'a na żywo!

Najpierw bezdomny, który stanowczo nie był Zbyszkim, a teraz Marianna! Kolejna ofiara! Czy to się kiedyś skończy? Nagle technik krzyknął i Kudelka wyrwał do przodu jak poparzony. Razem podnieśli coś zagrzebanego w piasku. Tajemniczy przedmiot przez chwilę zalśnił w porannym ostrym słońcu. Wytrzeszczyłam oczy. Metalowa sprzączka! Wyglądało na to, że właśnie znaleźli narzędzie zbrodni.

Złe wieści dotarły do Osy błyskawicznie. Nim dojechaliśmy do ośrodka rozklekotanym samochodem terenowym House'a, większa część naszej grupy zgromadziła się już przed jadalnią. Z grobowymi minami. I ostrym postanowieniem natychmiastowego wyjazdu. Poszłam do kuchni po jakąś zupę i surówki. Zostałam tylko milczący, ponury tłum wczasowiczów przy pustych stołach.

Kucharzy ani śladu. Wszyscy byli głodni. Wiedzy. Oraz normalnego pokarmu. Decyzję podjęłam zaskakująco szybko.

– Idziemy na rybę pod latarnię! – rzuciłam w stronę towarzyszy niedoli i obrałam odpowiedni azymut.

Najpierw Natalia i Guenter, potem Marzenka, Gosia i reszta mojej grupy. Wszyscy posłusznie ruszyli za mną. Kudelka tkwił nadal zagrzebany w piachu, a House powracał już do Koszalina na dyżur. Uznałam więc, że to na mnie spoczywał obowiązek uspokojenia grupy i powiadomienia jej o kolejnych upiornych sensacjach. Szliśmy gęsiego. Nikt nie odzywał się ani słowem. Mimo wrześnie upała gęstniał i gęstniał. Idąc, wzbijaliśmy malownicze tumany kurzu. Ani śladu chmurki. Pogoda jak drut. Ale nikt z nas jakoś nie myślał o plażowaniu. Ani o urokach skoków przez fale, od których oddzielała nas tylko wąska ściana lasu. Natalia wręczyła mi ciemne okulary i krem z filtrem. Wysmarowałam nim twarz, a okulary założyłam na spalony nos. I tak sobie milcząc, dotarliśmy wreszcie do smażalni.

Koło południa zaczynali się tu już schodzić pierwsi amatorzy piwa i gofrów. Pani Iza w obowiązkowym białym fartuchu zaplamionym tłuszczem wykrzykiwała ochryple do mikrofonu zawieszono fantazyjnie nad barem kolejne rewelacje.

– Słodziutki gofr z malinami z posypką! Mariusz, proszę! – ryknęło mi nad głową.

Wzdrygnęłam się i zamówiłam dorsza z surówką razy osiem. Plus osiem piw. Bez konsultacji. Uznałam, że jestem teraz tymczasowym szefem i w dodatku dyżurnym kaowcem. Nikt się zresztą nie sprzeciwiał. Czekali na mnie. Przy wejściu zobaczyłam znajomą sylwetkę w dresie z kreszu. Odetchnęłam. Kudelka! Co za ulga... Porucznik zdyszany i spocony – najwyraźniej leciał plażą – od razu, jeszcze przy okienku, zabrał się do konsumpcji piwa.

– No i co tam? – zagaił Guenter, gdy dotarliśmy do stołu z piwami na chyboczącej się plastikowej tacce.

– Po dwie i pół dychy od łebka – uściśliłam. Zebrałam kasę i łyknęłam piwa. Chrząknęłam, zerknęłam na Kudelkę, a ten przemówił:

– Mariannę uduszono. Chyba paskiem. Znaleźliśmy ją zakopaną w piachu. Topless, że tak powiem. Za tą wydumą, która się zapada. Teraz szukamy dalszych śladów, a lekarz robi sekcję.

I zamilkł.

– Ja wyjeżdżam. – Zdenerwowana Gosia skubała skórki paznokci. – Ani myślę być następną! Co to za potwór jakiś?

– Spokojnie. – Marzenka władczo zamknęła przyjaciółce usta. – Nikt nigdzie nie wyjedzie. Trzeba pomóc policji.

– Niby dlaczego? – Tygrys zerkała na boki i próbowała wygładzić swoje miniaturowe fałdy na brzuchu, po czym go wciągnęła. Przy takiej ilości wypitego piwa i tonie frytek był to wyczyn dość spektakularny. Ale Tygrys to zawodowy łowca. Jeśli w Mielenku miałby się znaleźć jakiś bogaty sponsor, to zapewne właśnie tutaj. A ona najwyraźniej wymagała już stałego dofinansowania.

– Jesteśmy potencjalnie podejrzani. Wszyscy. – Marzenka z zadowoleniem powiodła po zgromadzonych uważnym, potępiającym spojrzeniem.

– Tak – dodał szybko Kudelka. – Dlatego najlepiej będzie, jeśli teraz każdy z was przypomni sobie, co dokładnie robił od wczorajszej kolacji do rana.

– Wiadomo. – Natalia wzruszyła ramionami. – Po kolacji snuliście się pod jadalnią jak horda wygłodniałych zombi, potem oglądaliście zachód słońca. A potem każdy pił na tarasie, co mu zostało z wczoraj. Jak zwykle.

– Niezupełnie. – Gosia ocknęła się ze słonecznego otępienia. – Ja na przykład byłam na spacerze w sklepie na końcu Mielenka i widziałam tam Kazia i Savonarolę. Klócili się z latarnikiem. Jadzia była ze mną. No nie, Jadzia?

Pulchna blondynka kiwnęła z zapalem głową. Od śmierci Marianny nie odezwała się ani słowem. Pracowały i mieszkały razem. Musiało jej być ciężko.

– Z latarnikiem? – Tygrys syknęła, bo za gęsto nałożony tusz wpłynął jej do oka.

– Dziwne. Fakt – przyznałam.

– A wy? – dopytywał cierpliwie Kudelka. Kazio z małżonką w milczeniu zgodnie popijali piwo.

– Byliśmy z Andrzejem po wino. Spotkaliśmy latarnika. Miałem pretensje, że tak wcześnie zamyka latarnię dla turystów. Chciałem tam z Anią pójść na zachód słońca. Potem byliśmy z Anią na spacerze po plaży. A potem w pokoju. Do rana. – Kazio między łykami wachlował sprawiedliwie na zmianę siebie i bladą małżonkę swoim eleganckim kapeluszem.

– A tak, słyszałam – wyrwało się Marzence.

– Co, proszę? – Ania spiorunowała ją wzrokiem.

– Dorsze pyszne, świeże! Matyllda, szybcitko proszęęę! – ryknęła w megafon Iza, niechcący ratując sytuację.

Podniosłam się, ale Guenter z Kaziem gestem nakazali mi zostać. I po rycersku dostarczyli nam wszystkim na tackach porcje dorodnego dorsza, bynajmniej nie na parze. Skubaliśmy swoje kawałki, patrząc Kudelce na ręce, bo chcieliśmy, żeby szybciej skończył. Gdy wreszcie odsunął od siebie zatłuszczoną tekturkę, zgodnie zawiśliśmy mu spojrzeniem na ustach.

– Mam prośbę. – Stróż prawa spojrzał prosto na mnie. – Trzeba to notować.

Bez słowa wstałam i poszłam do Izy po kartki i długopis.

– Teraz rozmawiamy nieoficjalnie. Matyllda robi notatki. Ja je potem uzupełnię i wezwę was ponownie. Już w Osie. Potem każdy się pod tym podpisze. Formalne przesłuchania będą jutro od rana. Do końca turnusu, czyli do soboty w południe, nikt stąd nie wyjeżdża. Jasne?

Gosia z Tygrysem już otwierały usta, ale Kudelka tylko na nie spojrzał i zamknęły się obie na amen. Trzeba mu przyznać, że wzbudzić respekt to on potrafił. Zaczął ode mnie.

– Matyllda?

– Po kolacji poszłam z suczką na spacer, dosyć daleko w lewo – zaczęłam mówić i notować równocześnie. – Spotkałam po drodze Kazia z Anią. Wracali. Potem z Natalią siedziałyśmy na tarasie i piłyśmy resztki z wczoraj i malowałyśmy przy świeczce paznokcie. Chyba do północy. Miałam wrażenie, że ktoś nas podsłuchuje. I suczka zaczęła ujadać... A potem...

– Potem zjawiłem się pod tarasem ja, było przed północą – dokończył Kudelka, kiwnął głową i przeniósł wzrok na Marzenkę.

– Ja po kolacji byłam przed jadalnią, a potem na schodkach czekałam na zachód słońca. Z synem, bo akurat przyjechał. Widziałam Matyldę, a wcześniej Kazia z Anią. Szli w lewo. Po zachodzie zrobiło mi się zimno, poszliśmy na grzane wino do Włóczęgi, a potem prosto do pokoju. No i tam... Hmm, słyszałam, że wrócili też Kaziowie. Zasnęłam po północy.

– A syn? – spytał Kudelka jakby od niechcienia.

– Syn odwiedził mnie z kolegą, siedzieli do późna na tarasie. Z wódeczką. Spali na podłodze. Dzisiaj około jedenastej wyjechali do Koszalina. Dojadę do nich w sobotę – zakończyła Marzenka i spojrzała na Kudelkę z satysfakcją.

Kiwnął głową i przeniósł wzrok na Jadzię. Zdziwiona spojrzała na Gosię. Ale porucznik wyraźnie chciał czegoś właśnie od niej.

– Byłam z Gosią w sklepie – zaczęła – ale moim zdaniem to nie ma znaczenia.

– Po co?

– Co po co? – Nie zrozumiała.

– Po co szłyście do tego sklepu? – dopytywał cierpliwie Kudelka.

– Po zmywacz do paznokci chciałam iść, ale samej mi się nie chciało, to Gosię poprosiłam. Do towarzystwa. Ona chciała na wieczór wino białe. Tam mają z lodówki. Zimne.

– Blżej nie było? – Stróż prawa drążył po swojemu.

– Nie wiem – burknęła Jadzia. – Lubię tam kupować, bo mają klimatyzację. Potem wróciliśmy do pokoju i piłyśmy wino na balkonie. Spać położyłyśmy się jakoś około jedenastej w nocy. Obie.

– A ty, Guenter?

– Kolacja, spacer z rodziną po plaży, potem grill przed domkiem. Nigdzie nie wychodziłem. Może tylko na parking, sprawdzić, co z samochodem – dokończył nasz specjalista od energii odnawialnej i spojrzał na zegarek.

– Dobrze, sprawdzę na parkingu, czy ktoś cię tam widział. Natalia? – kontynuował Kudelka.

Ku mojemu zdumieniu Natalia zaczerwieniła się jak pensjonarka. Po czym wykrztusiła tylko:

– Nie robiłam niczego złego. Po obiedzie pojechałam do Mielna i wróciłam dopiero po kolacji.

Na wino z Matyldą.

– Co robiłaś w Mielnie? To cztery kilometry. Dojechałaś rowerem, autobusem? – Kudelka jakby się ożywił.

– Okazją. W obie strony. – Natalia zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Miałam spotkanie z byłym mężem...

– Aha, no to by było na tyle. – Kudelka odpuścił jej litościwie i kiwnął na mnie, żeby wszystkim dać to, co spisałam, do przejrzenia. Chwilę to trwało. Poprosiłam Kudelkę jeszcze o małe piwo. Natalia i Kazio też. Reszta się ulotniła. Poszli plażą do ośrodka. Kudelka przyniósł nam zimne napoje i w milczeniu kontemplował nasze zeznania.

– Coś mi się tu nie zgadza – powiedział wreszcie. – Jeszcze tylko nie do końca wiem, co i dlaczego.

Natalia znowu gdzieś zniknęła i pojawiła się dopiero wieczorem. Z tajemniczą miną i jakimś pakunkiem pod pachą.

– Co to? – spytałam, niewiele myśląc. Właśnie usadowiłam się wygodnie na tarasie w kokonie z koca, z książką i latarką.

– Dowody. – Ruchem głowy wskazała mi w pokoju stolik z jakimiś papierzyskami. Posłusznie porzuciłam ulubione siedzisko.

– Zeszyt? – Byłam rozczarowana.

– Dziennik od latarnika – uściśliła. – Kudelka wypożyczył do skserowania. Właśnie wracam z tym nabojem kopii – wyznała moja przyjaciółka niezwykle tym faktem podniecona.

– No i? – Wciąż nie rozumiałam.

– Chodzi o tę kłótnię z latarnikiem. – Natalia nie ustępowała.

– No... Kazio się kłócił podobno, że za wcześniej zamykają wejście dla turystów i że nie zdąży na romantyczną schadzka z Anią.

Nie widziałam w tym żadnej sensacji. Kazio miał regularną fiksację na punkcie swojej żony. Jak to zwyk-le z dużo starszymi i niekoniecznie urodziwymi mężami bywa. Gotów był jej załatwić wszystko. Z latarnią włącznie.

– E tam!

– No ale co?

– Nie o to mu chodziło! – upierała się Natalia.

– A o co niby?

– Sprawdź daty. Kiedy Kazio się kłócił? – dopytywała Natalia.

– Przedwczoraj. I co?

– To był poniedziałek, a w poniedziałki...

– Latarnik ma wolne? – zaryzykowałam.

– Bingo. Nie ma go na górze. Zmiennik przychodzi o zmroku, żeby zapalić światło. I tyle. Turyści to wiedzą. Tak jest od lat.

– Czyli nie było powodu do awantury. I co z tego?

– A jednak się kłócili. – Natalia nie ustępowała. – Kazio go mocno przyparł do ściany.

– A skąd to niby wiesz?

– Od tej Izy ze smażalni, akurat wyszła na papierosa i widziała. Kudelka ją zagadnął i rozwinęła się z opowieścią. Kocha się w tym latarniku od lat. A on nic.

– Kocha się w tym zapoconym typie z tłustymi włosami? – Zamurowało mnie.

– Na bezrybiu i rak ryba – skwitowała Natalia. – Może i jest trochę niewyglądny, ale w końcu to czysty testosteron. A sama wiesz, jak tu z tym słabo jest.

– Niby zgoda, ale żeby od razu takiego typu wyrywać! On ma z sześćdziesiątkę na karku, a ona przecież młoda jest! – jęknęłam.

– Młoda to może by była w mieście, a nad morzem jest już zdecydowanie niemłoda. A tak konkretnie to jest w naszym wieku – upierała się Natalia.

– Znaczy że dla nas to już tylko latarnicy zostali? Aha! – Parsknęłam śmiechem.

– Na nas nie polecisz, bez obaw. Jesteśmy miastowe. A Kazio jest wielce podejrzany. Zresztą sama mówiłaś.

– No bo mi się to dziwne wydało, że mają szkołę, a przyjechali tu na początku września. A może wcale nie są żadnym szefostwem? Może to jakiś zwyczajny wuefista i sekretarka – stwierdziłam.

– Wuefista czy nie, lekcje są od początku września. Wszędzie – orzekła Natalia.

– Niekoniecznie.

Pstryknęłam wodę na herbatę i zamyśliłam się na chwilę.

– Może mają remont sali gimnastycznej, a jej został zaległy urlop? Albo wuefistów w tej szkole jest dwóch. I Kazio prowadzi na przykład jakąś grupę wyczynową. A taka grupa może, powiedzmy, trenować od października. Mój kuzyn trenował łucznictwo i zawsze lekcje zaczynał później. We wrześniu zdawał zaległe egzaminy, bo przez częste zawody opuszczał dużo zajęć. Dopiero potem go przepuszczali do następnej klasy – zakończyłam swój wywód.

– Ten nijaki Emilian był łucznikiem? No popatrz. Nie wyglądał – zdziwiła się Natalia.

– Ma bardzo silne długie ręce. Kazio zresztą też.

– Kazio silny? To chyba żart! – Natalia pokiwała głową z niedowierzaniem i zaczęła układać kopie stron dziennika, precyzyjnie je numerując.

– Kazio ma najlepsze wyniki wytrzymałościowe z nas wszystkich. Co rano robi biegiem piętnaście kilometrów plażą, Natalia.

– Kazio?? – Tym razem to ją zamurowało.

– Kazio, Kazio. Ta jego żona z porcelanową twarzą też jest mocna. Chodzimy razem na tańce wieczorem. Nawet się skubana nie zadyszy. A na zumbie skacze bite trzy kwadransy jak młoda koza. Oni oboje mogą przebiec maraton, moim zdaniem. Sama nie wiem, po co im te sportowe wakacje. Kondycji mają więcej niż cały nasz turnus razem wzięty!

Natalia patrzyła na mnie z narastającym skupieniem. Znałam to spojrzenie. Chciała mi coś powiedzieć, ale nie wiedziała jak.

– Mati...

– No?

– Dzwoniła twoja mama. Nie odzywasz się od tygodni, więc się martwi. Powiedziałam jej oględnie, że jesteś nad morzem.

– Uwierzyła? – Zrobiło mi się słabo na myśl o mamusi na karku.

– Nie bardzo. Chce nas odwiedzić. Właściwie to jest już w drodze – dokończyła szybko Natalia i wstała, że niby musi do łazienki.

Jeszcze tego mi brakowało! Mamusia ze swoimi pytaniami i wbitym we mnie wzrokiem. Jakby patrzyła na chorego insekta. Nie wytrzymam tego...

Naburmuszona i zła tkwiłam na fotelu. Skruszona Natalia wręczyła mi kubek z herbatą i popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– O której mam być po nią na dworcu? – warknęłam.

– Nie musisz. Maciek ją przywozi, ma tu coś do załatwienia. Na noc jadą. Śniadanie mają już u nas. Ja się chyba przeniosę do dziewczyn, do domku. Zwolnię Klotyldzie łóżko.

– Maciek ją przywozi? Coraz lepiej! A ten tu po co?

– Ma swoje sprawy. Coś z działką. I chce z tobą pogadać.

– Od kiedy z nim gadasz o mnie? – Przewiercałam Natalię spojrzeniem. – Najpierw mnie usuwa z roboty, a potem się spotkania doczekać nie może. Dobrze sobie!

– Mati, martwimy się o ciebie – powiedziała łagodnie. – Tylko ćwiczysz, śpisz i spiskujesz z Kudelką. Musisz z kimś o Zbyszku porozmawiać. Zaniedbujesz siebie i psa. Ćwiczysz non stop, jak

w amoku jakimś, chudniesz w zabójczym tempie. Tak nie można...

– I pomyślałaś akurat o mamusi? Świetnie! Przecież ona nic nie wie.

– Wie. Maciek jej powiedział.

– Że co?

Nie wytrzymałam i cisnęłam kubkiem o ścianę. Rozpadł się na drobne kawałeczki. Brunatna ciecz dramatycznie spływała po świeżo wymalowanej ścianie. Sonia szczerzyła i warknęła, stając lojalnie przede mną i patrząc groźnie na Natalię. Dyszałam z wściekłości. Gdyby to nie była Natalia, kubek już wylądowałby na jej głowie. To pewne!

Natalia spojrzała na mnie z troską i wstała. Po chwili wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Rzuciłam się na łóżko i rozplakałam jak dziecko. Suczka po chwili dołączyła do mnie na posłaniu i wiernie ułożyła się u moich stóp. Tylko ona mnie rozumie! Niech wszystkich innych diabli wezmą! Nakryłam nas obie kołdrą i natychmiast poczułam ulgę. A zaraz potem usnęłam.

Obudziłam się wcześniej. Zaczęło mnie męczyć uczucie, że jestem bacznie obserwowana. I tak było w istocie. Rozparta wygodnie w fotelu mamusia patrzyła na mnie świdrującym wzrokiem, z potępieniem lustrując zdradziecko wystający spod kołdry futrzasty ogon. Ciekawe, kto ją tu wpuścił. Pewnie Natalia.

– Jestem tu od ponad godziny, moje dziecko, a ty śpisz i śpisz – wypaliła Klotylda, gdy tylko drgnęły mi powieki. Była szósta trzydzieści rano.

– Dzień dobry, mammo! – westchnęłam.

Wstałam, pocałowałam ją w policzek i podrapałam się niemrawo po plecach. Uchyliłam balkon i pstryknęłam wodę na pierwszą kawę.

– Pies tak tu sobie śpi? A co właściciel na to?

Mama właśnie przystępowała do siania mojej pościeli i nakazała suczce gestem, by ta zeszła na podłogę. Ku mojemu zachwytowi – bez widocznego skutku.

– Nie wie, że śpi w łóżku. Ale wie, że jest. Dowie się o pościeli, jak ktoś mu doniesie. Chcesz kawę?

– Nie. Nie po to tu przyjechałam. Co to jest, żeby obcy ludzie wiedzieli o twoim życiu więcej niż ja?

– Sonia! – zawołałam w stronę kundelki. Suczka błyskawicznie znalazła się przy mnie i spojrzała tym znanym od stuleci, przysłowiowym psim spojrzeniem. – Mammo, pierwszą kawę pijemy zawsze na plaży podczas spaceru. Masz tu kurtkę? Zapraszam.

– Spacer w piżamie? A jak cię ktoś zobaczy? – Mamusia patrzyła krytycznie na moją poranną toaletę.

– Dres w misie, adidas i termos. Sam wdzięk i smak. Idziemy czy nie?

I poszliśmy. Morze szalało już z porannymi falami. Było dziś sinobure i wyjątkowo gwałtowne. Podobnie jak mamusia. Kroczyła w swoim ulubionym stroju relaksacyjnym à la Roussos – luźnym, ciepłym i obszernym. W kolorach ziemi. Na świeżą rudą fryzurę nałożyła fantazyjny kapelusz w kratkę. Bardzo dbała o siebie i włosy. Nawet na wakacjach. W odróżnieniu ode mnie, rzecz jasna. Chwilę szliśmy energicznie, w milczeniu patrząc, jak Sonia goni mewy i poszczekuje na fale.

– Mammo, nie chcę rozmawiać o tym, co się stało. Poza tym nieoficjalnie pomagam w śledztwie policji. I chyba nie powinnam mówić – zaczęłam ostrożnie.

– Dziecko, mnie nie chodzi o śledztwo, tylko o ciebie! W coś ty się znowu wplątała? – Mamusia zaczynała wpadać w rodzicielską histerię.

– Ja? Raczej się właśnie wplątałam. Zbyszek gdzieś przepadł. Do tego zginęła moja koleżanka z turnusu. Do soboty nie mogę opuszczać Mielenka i Osy. Tyle.

– Tyle? Tyle?! Masz romans z żonatym, który ginie w wypadku! Jedziesz sama nad morze i znowu ktoś ginie. Chcesz być następną? – krzyknęła mamusia i zniecka szarpnęła mnie za rękę.

– Nie, mammo. I nie szarp mnie. Pilnuje mnie tu policja. Nic mi nie będzie.

– Policja, phi. Jakoś nie widzę tutaj żadnego policjanta!
– Dzień dobry paniom! – Znajomy głos przerwał mamusi tyradę.
Kudelka! Mój wybawicielu!

– Matyldo, czy to twoja siostra? Nie przedstawisz nas sobie?

Porucznik był cały w piachu i lansadach, najwyraźniej właśnie zakończył poranny bieg, teraz zaś startował do całowania rączek.

– Klotylda Kwiatek. Miło mi. – Mamusia chętnie wysunęła ku niemu kończynę górną i obrzuciła go zalotnym spojrzeniem nastolatki.

– Jesteście panie identyczne. Wprost trudno was odróżnić! – atakował dalej porucznik.

Lody topniały. Mamusia traciła rezon i rozchichotana patrzyła na Kudelkę z zainteresowaniem i zachwytem równocześnie. Porucznik zaś rażno kontynuował odsiecz.

– Matylda rzeczywiście nam bardzo pomaga, proszę pani. Pani córka to świetna dziennikarka. Znakomicie zna ten teren. Ale jest obserwowana non stop i nic jej absolutnie nie grozi. Zostałem oddelegowany do zbadania tej przykrej sprawy specjalnie z Warszawy. Ścisłe współdziałamy z miejscowym posterunkiem w Koszalinie. – Tu ponownie nachylił się i z czcią ucałował mamusine ręce. Obie.

Byłam uratowana. Mamusia rozszczebiotała się na dobre i rozrzutnie zaprosiła Kudelkę na śniadanie we Włóczędze. Powiedziałam niezobowiązująco, że być może po moim porannym treningu do nich dołączę.

Zabrałam suczkę i wróciłam do pokoju. Kudelce należał się medal. Za spryt i odwagę. Martwił mnie jeszcze tylko Maciek, miałam z nim do pogadania. I to od dawna. Ale póki co – czekały mnie trening z Beatką i posiekana rzodkiew z białym chudym serem na osłodę.

Po przebraniu się w strój do ćwiczeń wróciłam na plażę z matą. Tylko Marzenka z Gosią i Guenter towarzyszyli mi w porannych podskokach i upiornych ćwiczeniach w parach. Tygrys poderwał wieczorem jakiegoś bogacza przy miejscowym prosecco, więc teraz, po upojonej nocy, odsypiał bezceństwa w domku fagasa. Co oczywiście odkryła Marzenka oburzona poczynaniami koleżanki.

Instruktorka Beatka była pełna werwy i niestety przypomniała sobie o ćwiczeniach z użyciem ciężarków. Udęciliśmy się więc, robiąc składy i kicania w prawo i w lewo. Z hant elkami i litrowymi butelkami wypełnionymi wodą. Na czworakach!

Po pół godzinie – poważnie spoceni i zdyszani – zebraliśmy maty i rekwizyty i ruszyliśmy prosto do jadalni. Oplukałam ręce i twarz. Postanowiłam nie przesadzać z higieną. Za głośno burczało mi w brzuchu z głodu i przemęczenia.

Przy moim stoliku siedziała już spłoszona Natalia z Kaziem i bladą Anią. Nałożyła mi nawet dodatkowego sera z pomidorem, zdrajczyni jedna!

– Mama dojechała? – zagadnęła nieśmiało.

– Przecież sama ją wpuściłaś – mruknęłam i rzuciłam się na ser. Złość i ćwiczenia chyba stępiły mi smak.

– Ja, skąd? – zaprzeczyła Natalia. – Dopiero wstałam. Może to Maciek? Wynajął do soboty domek, wziął ze sobą Hankę. Na przeprosiny, zdaje się.

– Potem pogadamy, dobra? – Widziałam, że Kazio z małżonką wprost konają z ciekawości, podsłuchując naszą poranną dyskusję.

– Jasne, obiecałam Maćkowi, że potem do nich zajrzemy. Robią po południu grilla. – Natalia nie poddawała się tak łatwo.

– Zobaczymy – mruknęłam ponownie i zagłębiłam się w pełne fantazji zestawienie rzodkiewki, selera i grejpfruta.

ROZDZIAŁ 7

GRILL i RESZTA

Maciek przygotował na grilla zestaw fit: warzywa, ryby w folii, sosy jogurtowe z sałatą oraz białe wino z lodem w kostkach prosto z lokalnego marketu U Wojtusia. Byłyśmy z Natalią tak oszołomione smakami i zapachami, że dopiero po paru kwadransach zaczęła do nas docierać rzeczywistość.

Hanka prezentowała się wyniośle i wykwintnie. Paradowała w modnym dresie, a na głowie miała swoje ulubione kolorowe zawijasy à la Erykah Badu. Wyczuwało się pomiędzy nią a Maćkiem wyraźne napięcie. Część zaproszonych gości – Kudelka, mamusia i Guenter, ten ostatni na szczęście bez swojej ogromnej rodziny – kulturalnie udawała, że tego nie dostrzega. Co innego ja. Szybko podreptałam za Maćkiem do domku pod pretekstem przygotowania z nim deserów.

– Co jest z wami? – spytałam krótko, oparłszy się o zlew pełen brudnych talerzyków.

– Ech... – Machnął ręką z rezygnacją. – Hanka ma mi tym razem za złe, że ty tu jesteś. I że oczywiście będziemy gadać o pracy. Przysiągłem jej, że to czas dla niej. Ale wiesz, jak to jest.

– Daj spokój. Ja mam przez ciebie na karku mamusię. – W moim głosie wyraźnie zabrzmiały groźne nuty.

– Ja tylko chciałem pomóc, to wszystko. Żal mi ciebie było po prostu. Ja też mam ze Zbyszkiem problem. Niepodpisaną umowę na sporą kwotę. Faktury już wystawione, a o zapłacie mogę tylko pomarzyć. A podatek i skarbówka zaraz mnie zjedzą.

– Zlecenie bez podpisanej umowy? – zdziwiłam się.

– No. I to spore. – Maciek płukał termosy na kawę i nastawiał ogromne ilości wody na herbatę.

– Seria reportaży o domach opieki. Zbyszek i Burda wyszarpali na to jakieś pieniądze. Wnioski poszły, zatrudniłem ludzi zwolnionych z ośrodków po dawnej telewizji regionalnej. Już tego nie zatrzymam. Koszmar...

– I ciągnąłeś równoległe oba te zlecenia? Na Burdę i dla Burdy? Maciek, przecież to czyste szaleństwo! Upadłeś chyba na głowę! Tak mnie w jajo robić! Nic mi o Zbyszku nie powiedzcie! Ile lat się znamy?! I pewnie to było na tych dyskach, tak? – Szybko domyśliłam się reszty.

Maciek tymczasem wpatrywał się w milczeniu w okno, za którym widać było Hankę na leżaku. W pełnej krasie. Machała ręką z łopatką do grilla i przemawiała do Guentera, który kulturalnie podawał jej właśnie kieliszek miejscowego prosecco z kija.

– No tak – przyznał w końcu Maciek niechętnie. – Strasznie to wszystko śmierdzi. Nie wiadomo, czy te pieniądze MOPS-u są w realu, czy tylko na papierze. Dostali je, a jakby ich nigdy nie było. Zbyszek pokazał mi przelew na swoje konto, to nie wnikalem. A teraz muszę sprzedać działkę, bo przez rok nie wyleżę z długów. Taka historia.

– No dobra. – Uspokoiliłam się trochę. – Myślałam, że jesteś większa świnią, a ty po prostu boisz się o kasę, bo chciałeś się nachapać z dwóch źródeł. Pozmywam, a ty nakładaj i zalewaj termosy wrzątkiem – zdecydowałam.

Dokończyliśmy nakładanie lodów z owocami i z tacami pełnymi dobroci wróciliśmy przed domek, gdzie rozsiedliśmy się na schodkach i trawie, by w milczeniu trawić przysmaki. Nie bardzo wiedziałam, o czym mam rozmawiać z Hanką, zapytałam więc o ogrody i ich projektowanie pod Warszawą. Niedaleko naszego ośrodka był legendarny ogród botaniczny Hortulus. Z tysiącami krzewów i drzewek. Ożywiła się na wieść o tym.

– Będziemy tam jutro jechać rowerami z Natalią i Guenterem. Zapisz się szybko w recepcji na tę wycieczkę, bo warto – kusiałam.

– Maciek, jedziemy! – zdecydowała ostrym tonem, a on tylko kiwnął głową.

Guenter poparł mnie energicznie, zapewniając jednocześnie, jakby od niechcienia, że podjazd jest tam absolutnie zabójczy. I tylko on oraz Savonarola pokonują go bez zadyszki. Chwalił się, bo miał czym. Stawałam na tej trasie zwykle kilka razy i prowadziłam rower dla wyrównania oddechu. Z kobiet

tylko Natalia pokonywała dystans spokojnym, równym tempem. Była jednak mądrą kobietą i wyruszała później, a potem taktownie dawała Guenterowi wygrać na finiszu. Udając, jak bardzo się męczy i brakuje jej tchu. Szanowała, jak my wszyscy, jego niegasnącą sławę czempiona turnusu w kategorii „Superman po siedemdziesiątce”.

Mamusia wreszcie dorwała się do głosu i stanowczo zaprotestowała przeciwko pomijaniu jej w tych atrakcyjnych planach. Zażądała natomiast transportu samochodowego. I kompetentnego oprowadzania jej pośród upraw jej ulubionych miniaturowych iglaków. Oczywiście Kudelka, lizus jeden, podskoczył do niej od razu z talerzykiem deserowym i zapewnieniem, że on tak, owszem, bez dwóch zdań, bardzo chętnie ją tam zabierze, bo i tak właśnie się tam wybierał. Akurat!

Spojrzałam na niego złym wzrokiem, ale on na pozór niewinnie omiatał spojrzeniem liczne paski na Hanki szalu, omotanym ciasno wokół jej opalonej na ciemny brąz szyi sekutnicy. Chyba rzeczywiście miała tam coś do ukrycia. Było naprawdę ciepło, więc wszystkie ochoczo – z mamusią włącznie – pokazywałyśmy dekolty. Szal musiał coś skrywać, w tę pogodę nie było innego powodu, by go nosić. Mimo szala Hanka prezentowała się zdecydowanie najlepiej z nas. Miała pełny makijaż. Oraz letni dres z koszulką. Marzyłam o takim od dawna. Że o firmowych sportowych klapkach na cienutkich paskach już nie wspomnę. Wszystko to w bielach, szarościach i pomarańczach. Nie dziwiłam się Maćkowi, że tak się starał. Miała babka klasę i charakter. I – jak widać – kosztowała go majątek. Bez dwóch zdań.

Siedzieliśmy przy zamierającym grillu do zmroku. Półgłosem zdawałam Natalii relację z rozmowy w kuchni, a mamusia opróżniała kolejne puchary z prosecco z kija, co niebezpiecznie rozwiązywało jej język.

– Bo Matylda tak płacze po tym łobuzie. A on nie dość, że zaginał, to tyle krwi jej napsuł. – Usłyszałam, jak rodzicielka zwierza się Kudelce.

– Mamusia nie musi przypadkiem do łazienki? – warknęłam groźnie.

– Idę już, idę, moje dziecko. Właśnie się zbierałam do domu. – Zorientowała się szybko, że nie byłam przychylna jej rozmowie z porucznikiem. – Nie wypada tak długo siedzieć.

– No i świetnie, to my się pożegnamy. Dzięki, Hanka, i do jutra! – Z trudem dźwignęłam Klotyldę z leżaka i powoli ruszyłyśmy trawnikiem w stronę tarasu.

– Nie denerwuj się – sumitowała się mamusia. – Ja tylko chciałam się upewnić, czy Ryszard o wszystkim wie.

– Wie tyle, ile mu powiem. Mamusia będzie jakoś niedługo wracać do domu, prawda? – zasyczałam.

– W sobotę przecież jedziemy. Razem z Rysiem. A Natalia jedzie z dziewczynami z domku. Wszystko ustalone.

– Widzę, że mamusia już sobie wszystko ustaliła – zawarczałam znacząco. – Miałaś wracać podobno z Tygrysem czy jego frakcją, ale Natalia mówi, że Tygrys ma jakiegoś nowego fagasa z mercem. Pytałam, ale frakcja nie zabiera nikogo – oświadczyłam hardo.

– Jaki Tygrys? Jaka frakcja? Dziecko, ile ty wypiłaś? – Mamusia wpatrywała się we mnie czujnie.

– Na pewno mniej niż mamusia. – Ucięłam jej zapędy. – A Tygrys to ksywa tej koleżanki zawsze ubranej w panterkę. – Stanowczym gestem nakazałam rodzicielce wejście do pokoju.

Weszła, wzdychając z rezygnacją. Na szczęście Sonia wyraźnie domagała się spaceru.

Poszłyśmy z suczką powoli w stronę latarni morskiej. Właśnie zapaliła się lampa i rzuciła ogromny snop światła na ponure rozszalałe morze. Wyglądało to przepięknie. Zagapiłam się. Sonia przysiadła obok na piasku i też z zachwytem przechyliła łepkę.

Nagle usłyszałam wrzask, a potem trzask czegoś, co się wyraźnie właśnie złamało. Tajemnicza ciemna postać runęła ze szczytu latarni w dół. Zamurowało mnie. Prawie pusty teren dookoła budowli w sekundę zaludnił się gapiami. Pstrykali zdjęcia i przekrzykiwali się wzajemnie. Sonia szczekała jak oszalała. Odblokowało mnie wreszcie. Gwizdnęłam na suczkę, zapięłam jej smycz i ostrożnie podeszłam do skraju urwiska. Kundelka zawarczała głośno i zjeżyła sierść, zapierając się z całej siły łapami. Siłą

pociągnęłam ją jeszcze kawałek za sobą.

Na skraju plaży leżał latarnik. A raczej to, co z niego zostało po upadku z takiej wysokości. Obiekt skrytych westchnień Izy miał bezwładnie rozrzucone ręce i nogi. Spadł na brzuch.

Wyjęłam telefon i drżąc na całym ciele, wybrałam numer do Kudelki.

– Rysiek – wychrypiałam – znowu trup... Przy latarni...

– Lecę, niczego tam nie ruszaj! Siedź i czekaj na mnie! – odkrzyknął mój wybawca.

Usiadłam więc na skraju urwiska, usiłując uspokoić suczkę i siebie. Oddychałam ciężko i z trudem. Ile można biec te dwieście metrów od grilla?!

Tupot stóp za plecami oznajmił wreszcie nadciągającego Kudelkę z posiłkami policji. Musiał, jak widać, mieć ich tu wszystkich gdzieś pod ręką.

– Morderca! – krzyknęłam piskliwie. Na wieży musi jeszcze być morderca! – Zrobiło mi się tradycyjnie słabo.

Kudelka złapał mnie w ostatniej chwili i odciągnął od urwiska. Sonia tańczyła na smyczy, ujadając wściek-le. Usiedliśmy razem na piasku, a porucznik krótkim okrzykiem przywołał psa do porządku. Później zwrócił się do podkomendnych:

– Perelka, Walicki, na górę! Reszta zabezpiecza ślady! Migdał, ty przesłuchasz świadków! – Szybko rozdzielił robotę i wrócił do mnie.

– Siedź tu, zaraz wrócę! – rozkazał i ruszył w stronę latarni.

Siedziałam więc posłusznie i znów wpatrywałam się tępo w morze.

Po jakimś kwadransie doszłam trochę do siebie. Wstałam z piasku i ruszyłam z Sonią w stronę ławek pod latarnią. Kudelka z kolegami z Koszalina penetrował już jej wnętrze. Policjant bez munduru zbierał zeznania wśród gapiów. Mnie najwyraźniej zostawili sobie na deser. Siedziałam więc i trzęsłam się cała, suczka podobnie. Pewnie też z emocji. Położyła uszy po sobie i ciasno przywarła do moich kolan.

Wysłałam mamusi SMS, że spotkałam porucznika i trochę potrwa, nim wrócimy do pokoju. Po namyśle postanowiłam nie ściągać Natalii. Gotowa była natychmiast zawiadomić Maćka i resztę. A nie chciałam tu już żadnych dodatkowych sensacji. Oddychałam nadal płytko. Staralam się nie dopuszczać do siebie świadomości, że ktoś nas obserwuje i planuje kolejne napaści i zbrodnie, że ciasny krąg tajemniczych zdarzeń w jakiś zadziwiający i coraz bardziej niepokojący sposób zaciska się wokół mnie i stałych bywalców Osy. Miałam niejasne wrażenie, że ktoś stale ma nas na oku i bynajmniej nie chodziło mi o Kudelkę.

Potrząsnęłam głową i postanowiłam szybko zażyć neospasminę i położyć się spać. Przywołałam gestem policjanta od przesłuchań i poprosiłam, aby zawołał Kudelkę, bo słabo się czuję. Szybko pomknął na górę. Porucznik równie szybko zjawił się ponownie u moich stóp.

– Chcę iść spać! – zapiszczałam żałośnie. – Nie mam już siły na przesłuchania i czekanie tu na nie wiadomo co! – pożałowałam się.

– Spokojnie, Matylda. Migdał, do mnie! – Kudelka przywołał służbistę w starannie odprasowanej koszuli. Bez munduru. – Przesłuchasz panią szybko, a następnie odprowadzisz pod same drzwi, zrozumiano? Walicki zaraz zjedzie i spisze adresy pozostałych – rozkazał, po czym zajrzał mi z troską w oczy, uspokajająco poklepał po łopatkach i wrócił do latarni.

Służbista Migdał zadał mi szybko trzy krótkie pytania. Od kiedy byłam pod latarnią, co widziałam i co zapamiętałam. Po czym podał mi po rycersku ramię i ruszyliśmy do Osy. Ściana lasu zapewniła nam na szczęście izolację dźwiękową od reszty terenu. W samym ośrodku panowała więc już spokojna wieczorna cisza. Mamusia posapywała rytmicznie na łóżku, które niejako odziedziczyła po Natalii. Szybko zrzuciłam dres i weszłam pod gorący prysznic. Wyjęłam z apteczki lek ziołowy na uspokojenie i łyknęłam podwójną dawkę. Usnęłam natychmiast, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, a Sonia wślizgnęła się pod kołdrę w okolicach moich stóp.

ROZDZIAŁ 8

MAMUSIA WSZCZYNA RABAN

Poranek należał do tych trudnych. Mamusia – rześka jak pierwiosnek – już od szóstej penetrowała z psem okolicę i oczywiście w mig dowiedziała się o wszystkim od zaspanego portiera w Osie. Musiał w nocy zakwaterować dodatkowych policjantów z Koszalina, więc teraz wszystko jej z przejściem wypaplał. Nie mogła się za żadne skarby świata doczekać mojego przebudzenia, a więc – co ze wszech miar logiczne i oczywiście całkowicie normalne – włamała się do kuchni. Diabli wiedzą jak. Żeby przynieść mi śniadanie do pokoju. Od siódmej z minutami sprawdzała co chwilę, czy przypadkiem już się nie obudziłam. Wytrwałam dzielnie do wpół do ósmej. Otworzyłam zaczerwienione oczy i spojrzałam na nią niespokojnie, równocześnie przeczesując po omacku przestrzeń obok łóżka w poszukiwaniu kubka.

– Kawy nie ma, są zioła na wzmocnienie. – Mamusia groźnym głosem przebudziła mnie do reszty.

– Nienawidzę ziół – burknęłam, ale posłusznie łyknęłam trochę brunatnej lury o silnym zapachu melisy z nieśmiałą sugestią mięty.

– Dlaczego nie powiedziałas mi o latarniku? – Mamusia patrzyła na mnie z wyrzutem.

– Bo spałaś i nie ma o czym. Policja to bada, ja nic nie wiem.

– Trzeba mnie było obudzić! A Kudełka? – nie ustępowała mamusia.

– Co Kudełka? To jego praca, nie zwierza mi się. – Wstałam i przeciągnęłam się dokładnie, drapiąc jednocześnie Sonię po zaspanym łepku.

Mamusia automatycznie przerzuciła uwagę na psa.

– A co ona taka wykończona? Ledwo ją tu dociągnęłam. Coś mi się wydaje, że ten pies sporo widział wczorajszej nocy... – Znów spojrzała na mnie badawczo.

– Mamo, nie przesadzaj. Latarnik spadł i się zabił. Nic nam do tego. – Z obrzydzeniem zajrzałam do talerza. Pasztet sojowy, ogórek kiszony i dwie chrupki. Wzdrygnęłam się cała.

– Pyszne, prawda? – Mamusia była nieuleczalną entuzjastką miejscowej diety.

– Nie, mam dość tej ohydy. Idę do Włóczęgi na jajecnicę – postanowiłam nagle. – Natalia była na rozruchu? Zadzwońię po nią. Przed wycieczką rowerową trzeba się dobrze najeść.

– Nie będzie żadnej wycieczki, Kudełka ma w jadalni zwołać zebranie po śniadaniu – odrzekła mamusia, jednakże była wyraźnie rozczarowana tym, że wyprawa do Hortulusa nie dojdzie do skutku.

– No dobra, to ja niedługo wracam! – Szybko przeszłam do łazienki, wskoczyłam w strój do ćwiczeń, przecesałam się pobieżnie i wyszorowałam zęby. Po czym zadzwoniłam do Natalii i poprosiłam, by dołączyła do mnie we Włóczędze.

Natalia przyleciała truchtem od strony przystanku, co widziałam wyraźnie, siedząc przodem do drogi.

– Jesz? – zapytałam, gdy tylko opadła obok mnie zdyszana.

Kiwnęła głową na tak, więc zamówiłam dwa zestawy śniadaniowe z jajecnicą.

– Mati, co z tym latarnikiem? Bo nie mówisz nic, więc...

– Spadł, byłam akurat w pobliżu. Koszmar. – Zrobiłam gest ręką, że nie chcę o tym mówić.

– Wybierałam się akurat znowu do fundacji, tak jak chciałaś. – Przyjaciółka patrzyła na mnie z uwagą, zmieniając temat i z wdzięcznością zanurzając nos w filiżance z kawą.

– Coś wyniuchałaś?

Uświadomiłam sobie, że z tego wszystkiego kompletnie zapomniałam o Burdzie.

– U nich popłoch, jakieś kontrole finansowe. No i Maciek bez przerwy wydzwaniania i pyta o jakieś kwity. Dziś mają mieć zebranie, więc pomyślałam, że znowu wejść z tymi rybami, żeby coś zadziałać...

– Z jakimi znowu rybami? – zdziwiłam się.

– No przecież wiesz. Mówił mi kierownik Osy, że za dużo zamówili ryb z portu i zakopują je po prostu, bo im się psuje jedzenie. A mogą odsyłać do MOPS-u. Kierowca i tak tamtędy wraca. Miałam się spotkać z... No wiesz... Więc chciałam zajrzeć po drodze.

Zaczerwieniła się.

– Nic dziwnego – mruknęłam, taktownie ignorując zakamuflowaną informację o byłym małżonku i kolejnej tajnej schadzce Natalii – jeść się tego przecież nie da...

– A tak swoją drogą, to po co Maćkowi tyle kasy? – zastanawiała się Natalia, śledząc wraz ze mną łakomym wzrokiem kelnerkę zbliżającą się do innych gości z parującą jajecznicą.

– No wiesz, ten gigantyczny projekt już ruszył. Ma na głowie dom, alimenty. Hanka też go najwyraźniej drogo kosztuje. Sama te ogrody projektuje, owszem, ale z rzadka. A wymagania ma. Mówiłam ci na grillu przecież. Maciek ma finansowy nóż na gardle.

– A Kudelka co o tym myśli? – ocknęła się nagle Natalia.

– O czym? – Nie zrozumiałam.

– No, o tym wszystkim. Marianna, latarnik, Kazio, Savonarola... – wyliczyła dokładnie.

– Tak szczegółowo to mi się nie zwierza – mruknęłam. – Z roboty by go za to chyba wywalili. Ale uważa, że oni wszyscy się podejrzenie kręcą wokół Mielenka.

– Wszyscy? Burda też? – zdziwiła się Natalia.

– Nie, on akurat grasuje w Koszalinie. I bliżej Mielnia odpoczywa, bo ma działkę. Ale to Burda zatrudnił Zbyszka i Maćka do ogromnego projektu unijnego. A zaraz potem Zbyszek zaginął.

– E tam, to może być przypadek. – Natalia sceptycznie pokręciła głową.

Przyszła kelnerka, więc na tym przerwałyśmy rozważania. Pożarcie jajecznicy z zestawem obowiązkowym – chlebem, serem białym i pomidorem – zajęło nam jakieś trzy minuty. Zapłaciłyśmy i każda poszła w swoją stronę. Wróciłam prosto do jadali, a Natalia na przystanek, gdzie miał podjechać jej obecnie ponoć trzeźwy i starający się eks. Trochę martwiło mnie, że znowu się widują, ale cóż, to nie moja sprawa. Natalia obiecała wpaść do mnie po obiedzie, jak tylko wróci ze schadzki ze Stachem i z tajnej misji w fundacji. A mimo szaroburego dresu do ćwiczeń rzęsy miała pomalowane nad wyraz starannie. Paznokcie też. I to w obu parach odnóży.

ROZDZIAŁ 9

PRZESŁUCHANIA BEZ KOŃCA

W jadalni miotali się już Kudelka ze służbistą bez munduru i z kierownikiem Osy, niejakim panem Kamyczkiem, który tym razem występował bez swej eleganckiej żony Lucyny, która akurat strategicznie cierpiała na migrenę.

Wszyscy wczasowicze z naszej sportowej grupy grzecznie czekali już przy stołach. Gdy dotarłam na miejsce, Kazio wskazał mi stółek obok jego znudzonej i bladawej żony. I mojej aż kipiącej z podniecenia mamusi. Posłusznie usiadłam i zamieniłam się w słuch. Kierownik, cały w plamach, nerwowo coś szeptał do Kudelki i wymachiwał rękoma. Służbista Marian Migdał zmarszczył czoło i wziął do ręki mikrofon używany w Osie wyłącznie do celów rozrywkowych, czyli do tańców przy ognisku w rytmie disco polo. Pan Kamyczek był zapalonym tancerzem i wielbicielem przeboju *Żono moja, serce moje*. Wyśpiewywał go z uczuciem po paru głębszych przy każdym ognisku. Czyli dwa razy na każdym turnusie. Ale nie tym razem. Teraz był bardzo zdenerwowany, bo starał się szybko zapanować nad falującym tłumem poirytowanych i przestraszonych wczasowiczów, którzy domagali się odpowiedzi na rozliczne pytania. Rozwiązał tę kwestię po swojemu. Krótko i konkretnie. Po męsku. Wyrwał mikrofon Migdałowi i oświadczył nam, co następuje:

– Proszę państwa, brak wycieczki rowerowej zrekompensujemy wieczornym ogniskiem! Kiełbaski i muzyczne disco na boisku gratis! A teraz proszę usiąść grupami. Kolejno grupy: A, B i C. Kompot z kuchni będzie podany na stole dodatkowym!

– Tak jest! – Kudelka również uaktywnił się z mikrofonem. – Proszę grupę wyczynową do mnie, a do kolegi grupę B, grupa dyspanseryjna C czeka przed budynkiem na ławeczkach! Dziesięć minut na osobę, można się przesiadać!

Mamusia karnie podniosła się i poszła na ławeczkę.

– Też coś! – Marzenka odwróciła się w moją stronę oburzona. – Tłuste kiełbasy i wodnisty kompot za te wszystkie stresy! A ogrody kiedy?!

– Zapytaj! – poradził jej trzeźwo Kazio, osłaniając bladawą żonę przed tłumem. Przesiadali się właśnie do grupy A, tuż obok nas.

– Panie kierowniku! – krzyknęła gromko Marzenka. – A ogrody to kiedy zobaczymy?

Kamyczek wzdrygnął się nerwowo na dźwięk jej natarczywego głosu. Po krótkim namyśle wziął od Kudelki mikrofon i przemówił ponownie do nas wszystkich.

– Chyba nie w głowie nam teraz wycieczki rowerowe. W tej chwili musimy zadbać z policją o nasze wspólne bezpieczeństwo. Dlatego wszelkie atrakcje w terenie zostają zawieszane do zakończenia dochodzenia na terenie Osy! – Tu spojrział znacząco na Marzenkę.

Nie zrobiło to jednak na niej najmniejszego wrażenia. Prychnęła tylko po swojemu i poszła organizować grupę rowerowych buntowników przed jadalnią. Należała bowiem do grupy C, co starała się ukryć, chodząc do nas na część zajęć rozciągających mięśnie i odmawiając deklaracji na temat swej właściwiej przynależności.

Rozglądałam się w poszukiwaniu Gosi i Tygrysa. Miała też dojechać Piękna Pupa, ale nie mogłam ich odnaleźć w kłębiącym się wszędzie tłumie. Postanowiłam zostać z wodnistym kompotem na swoim miejscu, czekając, aż służbista mnie dopadnie. Co trochę trwało. Ale nie nudziłam się.

Kudelka szalał z grupą A. Podzielił wyczynowców na pary, które w danym czasie były blisko siebie i latarni. Przechodził następnie od jednej do drugiej grupki z dyktafonem. Służbista zaś zajął tył sali, przeprowadzał indywidualne rozmowy i skrupulatnie wszystko notował. Rozmowy zajmowały mu

więcej czasu niż Kudelce, w dodatku wydawały się bardziej kameralne. Kudelka z kolei robił wszystko jakby na pokaz. Dziwne. Wpatrywałam się w pozornie chaotyczne manewry porucznika i zastanawiałam, co tu się właściwie dzieje.

Wszyscy prawie słyszeli, co mówią poirytowani Kazio z Anką i Mariolka z Savonarolą. Żadna sensacja. Zresztą wiedziałam już to wszystko od czasu naszej pamiętnej rozmowy z piwem i rybami w tle. A pod latarnią wieczorem ich na pewno nie było. Savonarola musowo wyginał wtedy starszków, Kazio z Anią – wiadomo, a Mariolka piła na smutno w barze. Marianna już dawno nie żyła. Więc po co Kudelce ten cały teatr?

Nieznana mi bliżej reszta podenerwowanej grupy wyczynowej mieszkała w domu Roksana. Nie poświęcałam im za wiele uwagi. Nie jadali u nas, tylko normalnie. A więc się nie liczyli, a przynajmniej dla mnie. Biegali z naszymi wyczynowcami plażą na czas, i tyle. A popołudniami katowali się indywidualnie, uprawiając jazdę rowerem do Koszalina i z powrotem. Dzień w dzień.

W końcu służbista skinął na mnie i nawet lekko się uniósł, gdy przybyłam do jego stolika. Że elegant z niego taki niby! No dobra.

– Pani Matyldo, tylko formalnie zapytam, czy blisko znała pani pana Gryzlę?

– Przepraszam, kogo takiego? – zdziwiłam się nieco.

– Romana Gryzlę, latarnika – dodał elegant.

– A, tego łysolka. Z widzenia znałam go od lat. Ale żeby znać go blisko, to nie. Już bliżej w tej kategorii znajomości byłam z kioskarzem. Panem Tadkiem znaczy.

– O! – zaciekawiał się uprzejmie służbista Migdał. – A to z powodu?

– Jestem uzależniona od czytania gazet co rano. Więc omawialiśmy sobie prasówkę codziennie, od... lekko licząc, jakichś dziesięciu lat, co sezon. Więc o nim mogę więcej panu opowiedzieć. A co do tego, jak mu tam...

– Romana Gryzły – uprzejmie podsunął policjant.

– Toteż właśnie. Roman był wielką miłością Izy ze smażalni, ale to wiem od Natalii. Zwierzała się, że on jej nie chce. Ale żeby z tego powodu kogoś zabijać, to chyba nie. Raczej rywalkę. A takowej chyba nie było – dodałam z przejęciem.

Służbista otarł czaszkę chustką i zaryzykował dzielnie kolejną kwestię.

– A wracając, pani Matyldo, do kioskarza...

– No, Tadek to ma poważny problem – rozwinęłam się z ochotą. – Chcą mu zabrać ten kiosk. Zalega z opłatami, bo teraz mu urosła konkurencja w tym namiocie koło plaży z chińską tandetą. A gazety kupuję właściwie tylko ja, Guenter i Savonarola, znaczy Andrzej od kinezy – poprawiłam się szybko.

– Savona...

– ...rola. Tak mówiąc między nami, on jest nieco fanatyczny i potrafi nawet na plaży poprawiać nam ułożenie miednicy na piasku.

– Rozumiem. – Służbista miał mnie najwyraźniej dość. – To chyba wszystko, chyba że coś zwróciło pani uwagę tego feralnego wieczoru.

– Szczerze mówiąc, tak.

– Ach! – Służbista pochylił się ku mnie z nadzieją na nowy trop.

– No bo latarnia świeciła zupełnie inaczej niż zwyk-le, ta jakby bliżej brzegu. A tak w ogóle to ta śmierć wydaje mi się kompletnie bezsensowna. Latarnik jak latarnik. Od lat ten sam, nie zawadzał nikomu. Może sam spadł, bo zapił. Bez sensu było go zabijać, moim zdaniem. Już Savo... znaczy Andrzej byłby lepszy.

– Bo?

– On tyle o nas wie! Ma te swoje tajemnicze teczki ze spisem wszystkich naszych urazów i diabli wiedzą, czego jeszcze. Mógł się dokopać do czegoś może...

– Myśli pani?

– Wścibski jest bardzo i samotny. To znaczy pielęg-niarkę podszczypuje, ale tak tylko na pokaz, moim zdaniem.

Służbistę Mariana Migdała z lekka zatchnęło, ale nie dawał tego po sobie poznać. W głębi ducha chyba współczuł Kudelce. Dał mi jeszcze do przejrzenia to, co zapisał w trakcie krótkiego przesłuchania. Z prośbą o ewentualne ręczne dopiski i podpis. Potem miałam, jak wszyscy, zanieść moje zeznania do recepcji. Po czym z ulgą mnie pożegnał.

Udałam się więc przed jadalnię, gdzie mamusia rozkoszowała się na ławeczce pozycją osoby lepiej poinformowanej i raz po raz opowiadała tę samą historię. Co też się strasznego wydarzyło wiadomego wieczoru, gdy zginął latarnik.

– Matylda bardzo to teraz przeżywa – przemawiała właśnie do grona szalenie przejętych koleżanek, które wystawiały do słońca a to twarze, a to łydki. – Jest bardzo wrażliwa, chociaż tego nie okazuje. Ma to po mnie, rzecz jasna.

– Czy mamusia już była przesłuchiwana? – warknęłam groźnie, pojawiając się zniecacka.

– Nie, ale tak sobie tu z koleżankami posiedzimy jeszcze i poczekamy – odpowiedziała potulnie moja rodzicielka, nie ruszając się z miejsca.

– Zabieram Sonię i idziemy na spacer daleko w lewą stronę, a mamusia niech mi zostawi wiadomość, gdzie będzie. Na kartce. Klucze w recepcji – dodałam lakonicznie.

Koleżanki odprowadziły mnie pełnym współczucia wzrokiem aż do momentu, gdy zniknęłam za krzakami tui. Sonia powitała mnie radosnym skowytom, czym zmusiła mnie do szybkiej wyprawy nad morze. Przebiegle przerzuciłyśmy się obie przez taras, ja osobiście, a Sonia na moich rękach. Nie chciałam już defilować zatroskanej mamusi z kordonem koleżanek przed nosem, a klucze mogłam podać zaprzyjaźnionej recepcjonistce przez okno.

– Pani Matyldo, a czy mamusia wie, że tu są klucze? – zaniepokoiła się ulubienica całego turnusu, Celinka.

– Wie, wie – uspokoiłam ją. – Ja zresztą za jakieś dwie godziny wracam, chcę sobie potem poćwiczyć na sali. Jeszcze przed obiadem.

– Ale dzisiaj to chyba nie wolno – zatroskała się znowu Celinka.

– O, a to dlaczego? – zdziwiłam się.

– Będą przeglądać archiwum Andrzeja i sala będzie zajęta przez policję.

– A jednak... – mruknęłam do siebie.

Ruszyłyśmy z suczką rażno przed siebie w stronę radaru. Byłam pewna, że zaraz spotkam kogoś z turnusu. Ale nie. Szłyśmy już szybkim krokiem dobry kwadrans i na plaży nie było zupełnie nikogo. Ani widu, ani słyhu! Zrelaksowałam się. Wczuwając się w rytm morskich fal, szłam równym, szybkim rytmem, a Sonia biegła przede mną, poszczekując radośnie. Tak bardzo brakowało mi takiego zwyczajnego wakacyjnego luzu... Wieczne kłopoty ze Zbyszkim, wypadek, śmierć Marianny i latarnika zmuszały mnie do ciągłej aktywności i czujności. Że o nieustającej obecności mamusi już nie wspomnę.

Coś zabrzęczało mi w kieszeni. Zerknęłam na komórkę. Natalia!

– Co tam? – spytałam ją krótko, lekko już zdyszana.

– Gdzie jesteś? Bo mam dla ciebie prawdziwą bombę! – Moja przyjaciółka była wyraźnie podekscytowana.

– Na plaży daleko w lewo, a co?

– Ja za kwadrans będę na naszej krańcówce autobusowej. Wracam już. Przyjdiesz?

– Nie dam rady w kwadrans. Umówmy się za czterdzieści minut na małych schodkach przed rzeczką. Wiesz, gdzie to jest?

– No pewnie. To pa!

– Poczekaj, poczekaj, a o co chodzi?

– O Burdę i Mariannę, więcej teraz nie mogę! – I rozłączyła się.

Gwizdnęłam na Sonię i schowałam telefon do bezpiecznej kieszeni zapinanej na suwak. Pies niechętnie, acz posłusznie zawrócił. Założyłam suczce smycz i zaczęłyśmy wracać. Szłyśmy teraz pod wiatr i – jak słusznie zakładałam – droga powrotna zajęła nam dwa razy więcej czasu. Zziajane dotarliśmy do rzeczki, gdzie suczka natychmiast zaczęła chleptać wodę, a ja z ulgą usiadłam na

chybotliwych drewnianych schodkach, ukrytych za ogromnym drzewem, i przyssałam się do butelki z wodą. Przejrzałam jeszcze w telefonie pocztę mailową i Facebooka, gdzie czasem Kudelka zostawiał mi jakieś informacje. Pusto. Pomyślałam nagle, że taka daleka samotna wyprawa to z mojej strony głupota i lekkomyślność. A co, jeśli ktoś mnie śledzi? Za chwilę jednak sama się za to skarciłam. Niby czemu ktoś miałby mnie śledzić? Ani nie mam żadnych tajnych informacji, ani nie byłam jedynym świadkiem mafijnych porachunków, ani też nie noszę ze sobą rodowych kryształów...

Sonia ułożyła się wygodnie z łepkiem na mojej stopie. Nagle uniosła czujnie uszy i spojrzała w górę. Jakaś zakapturzona postać zbiegała skarpą w dół na plażę. Nie wyglądała na Natalię. Minęła nas jednak i pobiegła szybko w stronę Osy. Pewnie jakiś wyczynowiec z Roksany – uspokoiłam się trochę.

Po paru minutach zobaczyłam charakterystyczny czerwony dres i Natalia zaczęła zbiegać w dół po chyboczących się stopniach.

– Komórkę mi skroił przed sekundą, cham jeden! – krzyknęła z góry.

– Kto? – krzyknęłam pod wiatr.

– No ten tu zakapturzony, co zbiegał przed chwilą! – Natalia była już blisko.

– Ten wysoki? Lecimy! – zdecydowałam.

– Daj spokój, Mati, już jest daleko, biegł jak opętany! – Wyjrzała zza moich pleców w stronę Osy. Spojrzałam i ja. Rzeczywiście nikogo nie było na horyzoncie.

– Sonia od razu na niego warknęła! – zauważyłam.

– Mądry pies! – Natalia podrapała suczkę po kosmatym łepku.

– Miałaś tam wszystko, prawda? – Podałam Natalii wodę i spojrzałam na nią z niepokojem.

– W sensie, że co? – Natalia nie zrozumiała.

– Nasze wymiany SMS-ów, maile, to, co wysyłałaś Kudelce...

– No pewnie, ale na co mu to? Myślisz...? – Natalia ciężko usiadła obok mnie na schodku.

Przez chwilę obie milczałyśmy zafrasowane, popijając na zmianę wodę z butelki.

– Szedł za tobą? – Zawisłam spojrzeniem na przyjaciółce.

– Gdzie tam! Nagle wyskoczył z krzaków. Gdzieś tam pod radarem wojskowym chyba.

– Czekaj, a kto był dziś w fundacji?

– No normalnie. Te baby w recepcji, paru dostawców, w tym ten od Kamyczka, wiesz, ten od ryb, pod którego się podpierałam. Że niby dlatego tam pojechałam.

– No i? – dopytywałam.

– No i nic. Tak gadaliśmy, aż nagle zeszło na Mariannę, latarnika, na te wszystkie wypadki w Osie.

– I?

– I wtedy właśnie ta babka z recepcji powiedziała, że Burda wybiera się na pogrzeb Marianny. Bo to koleżanka z liceum jego była! No a potem przyszedł sam Burda, to sobie poszłam – skończyła Natalia.

– Burda ją znał? – wykrzyknęłam.

– No na to wychodzi. I to znał ją dosyć dobrze. Bywali u siebie na grillu i te sprawy.

– Marianna, Burda, Zbyszek... To wszystko jedna klika?

– Jaka znowu klika? Po prostu widywali się i znali – ostudziła moje zapędy Natalia.

– Nie, to musi być jakoś ze sobą powiązane...

– No nie wiem, może i tak, ale czy to nie nadinterpretacja? Chodźmy, Mati, bo zgłodniałam, a zbiera się na burzę. Plażę będzie szybciej.

– Zaginięcie Zbyszka, śmierć Marianny i latarnika oraz interesy Burdy musi coś łączyć – upierałam się, posłusznie drepzcząc za przyjaciółką i ściągając Soni smycz.

Na plaży wiał już bardzo silny wiatr, więc zamilkłyśmy, maszerując w równym rytmie, noga za nogą. Morze było co najmniej tak niespokojne, jak atmosfera panująca wokół. Co jakiś czas mijałyśmy zakapturzone postaci, które podobnie jak my, chciały jak najszybciej schronić się przed żywiołem. Parę razy stawałyśmy plecami do niewątpliwie nadciągającej burzy, aby choć przez chwilę odpocząć. Suczka szła dzielnie tuż obok mnie. Skuliła uszy i zacisnęła ślepią, bo drobinki piasku zdradliwie wciskały się

w każdy zakamarek. Wreszcie pisnęła i stanęła wykończona, więc wzięłam ją na rękę. Po jakichś trzydziestu minutach katorgi zobaczyłam wreszcie nasze zejście na plażę. Oraz Kudelkę na szczycie wydmy. Pomachał do nas energicznie. Odmachałam mu i po chwili mogliśmy już porozmawiać.

– Burda to kolega z liceum Marianny, odkryła to Natalia, a zaraz potem jakiś typ skroił jej telefon – wysapałam w ramach powitania.

– Was to na chwilę samych zostawić nie można! – Stróż prawa ewidentnie poczerwieniał.

– Coś z tym zrobicie? – Stanowczo miałam na dziś dosyć sensacji.

– Wyjaśnimy wszystko po kolei, tylko na litość boską, przestańcie działać bez uprzedzenia! – krzyknął.

– Sam chciałeś, żeby jakoś wybadać tę fundację – broniłam się.

– Ale przed dwoma trupami – wyszczał porucznik, oswabadzając mnie od dźwigania suczki. – Czy wy naprawdę uważacie się za nietykalne? Od dwóch godzin was szukam i wydzwaniam, a pani Klotylda to już od zmysłów odchodzi!

– No dobrze już, dobrze – mruknęłam. – Może i dzwoniłeś, jak ta wichura się zaczęła, i nic nie słyszałam. – Zerknęłam na telefon; faktycznie były jakieś trzy nieodebrane połączenia od mamusi i porucznika. – I tak mam dość na dziś.

– Od teraz życzę sobie wiedzieć wcześniej o każdym waszym wyjściu z Osy, zrozumiano? – Kudelka był naprawdę wściekły i zaniepokojony.

– A czy coś się tak właściwie stało? – Podeszłam do niego bliżej.

– Andrzej zniknął. Całe jego archiwum jest nietknięte. Nie pojawił się na zajęciach. Komórka nie odpowiada – odrzekł porucznik i postawił Sonię na ziemi.

– O nie, tylko nie to! – Natalia stanęła nagle w miejscu.

Spojrzeliśmy na nią oboje. Po czym automatycznie przenieśliśmy wzrok na siebie. Poczułam mrowienie w karku. Przypomniały mi się dziwne słowa Savonaroli, które usłyszałam w czasie kinezy tydzień wcześniej. Wyraźnie szukał wtedy właśnie Marianny. I miał jej coś ważnego do przekazania. Co takiego powiedział? Że ktoś przyjechał? Jakieś dziewczyny? Ciągłe jakieś przyjeżdżały. W Osie nikt nie przestrzegał porządku turnusów. Nieustannie ktoś nowy przyłączał się i odłączał od grup. Tylko my, stary skład gimnastycznych wyjadaczy, karnie ćwiczyliśmy dzień w dzień. Trzydzieści dni nieomal o przysłowiowym chlebie i równie przysłowiowej wodzie. Bez chwili wytchnienia. Więc o co wtedy chodziło? Fakty były takie, że ginęli po kolei wszyscy związani z czymś, co było z kolei związane z Osą. Co to mogło być, u diabła? A może rozwiązanie mimo wszystko kryje się gdzie indziej?

– Co jest dziś? Czwartek? W sobotę wracamy do Warszawy! – postanowiłam nagle.

– A śledztwo? – nieśmiało zapytała Natalia.

– Znajdą nas w razie potrzeby, prawda? – Spojrzałam na porucznika pytająco.

Kudelka nie protestował. Kiwnął mi tylko głową na zgodę i otworzył nam furtkę. Poszłam z psem prosto do pokoju, by uspokoić mamusię. Natalia zaś powędrowała do dziewczyn do domku, dokąd się jakiś czas temu przeniosła. Porucznik zaś popruł błyskawicznie prosto do sali gimnastycznej. Nadal przeglądali tam z Migdałem tajne archiwum Savonaroli. Potem mieli wybrać się do Koszalina.

Mamusia siedziała na tapczanie, przykryta szczelnie kocem, i piła melisę. Nawet się nie odwróciła na dźwięk otwieranych drzwi. Sonia z chrzęstem uwalila się na jej kolanach i natychmiast usnęła.

– Cześć, mamo, jestem – zagaiłam niewinnie.

Cisza. Znałam to spojrzenie. Dobrze wiedziałam, co niebawem nastąpi. Suczka zaczęła rozkosznie posapywać, wykończona długim marszem. Postanowiłam działać na zwłokę i pójść pod prysznic. Mamusia nadal milczała złowróźnie. Przeszłam tuż obok niej, wzięłam ręcznik i szlafrok z wieszaka obok. Właśnie wtedy złapała mnie mocno za rękę. Westchnęłam i usiadłam obok niej na łóżku.

– Mamo, przepraszam, już się stąd nie ruszę do wyjazdu.

– Mam siedemdziesiąt lat i zamierzam dożyć kolejnych urodzin. – Mamusia ze świstem pociągnęła melisy z kubka.

– Mamusi przecież nic nie grozi. – Uspokajająco dotknęłam jej dłoni wspartej na kocu.

– Mnie o ciebie przecież chodzi! – krzyknęła. – Ciąg-le znikasz, nic nie mówisz! Kudelka dzisiaj o mało nie oszalał, jak się dowiedział ode mnie, co wy obie z Natalią wyprawiacie. Ciągłe jakieś narady, śledztwo na własną rękę, tajemnicze wyprawy plażą i do sklepu. A on nic o tym nie wie! – Mamusia gwałtownie szarpnęła się pod kocem. Kubek spadł na podłogę, budząc suczkę. Sonia krótkim szczękiem oznajmiła nam obu, że i jej zdaniem coś tu nie gra. Poklepałam ją uspokajająco po karku i przyciągnęłam do siebie. Uwalila się tym razem na moich stopach, zatapiając we mnie czujne spojrzenie pełne troski.

– Mamo, pomagamy w śledztwie. Nieoficjalnie. Przecież wiesz. Od teraz już tylko na terenie ośrodka, przysięgam! – kontynuowałam, nieudolnie okrywając rodzicielkę kocem od nowa.

– Dziecko, dziecko, w coś ty się wplątała... – jęknęła bezradnie.

– Najgorsze jest, mamo, to, że sama tego nie wiem – przyznałam szczerze.

I poszłam się wreszcie wykapać.

Na obiedzie panowała cisza jak makiem zasiał. Puste miejsce Andrzeja raziło nas wszystkich. Kazio z Anką pochłaniali pokarm z oczami wbitymi tępo w talerz. Nawet koszmar wodnistej szczawiowej i bladej miruny w jogurtowej zalewie z groszkiem nie zmienił naszego nastawienia do rzeczywistości. Nikt nie skomentował też skandalicznego braku surówki. I wodnych popłuczyn zwanych szumnie kompotem. Z rozmemlaną bladawą truskawką w środku. Kolejna osoba zniknęła i nie mogliśmy nic na to poradzić. Maciek z Hanką pojawili się przy wejściu i pomachali do nas. Moja przyjaciółka podeszła do nich i zaczęli między sobą szeptać. Po chwili poszli, a Natalia wróciła do stolika.

– Maciek wraca jutro w nocy, może zabrać trzy osoby. Powiedziałam, że się na to z twoją mamą piszemy – oznajmiła Natalia.

– OK – przytaknęłam bez entuzjazmu.

– Jak to? – ocknął się Kazio. – A nam kazali zostać do niedzieli!

– Jak widać, rokujecie – zaryzykowałam dowcip.

– Rokujemy? Nie rozumiem. – Ania zacisnęła wąskie, acz eleganckie usteczka.

– Jako podejrzani – dokończyłam, odstawiając talerz. – Żartuję – dodałam jeszcze na wszelki wypadek. – Mamusia idzie z nami?

Moja rodzicielka lustrowała twarze naszych współbiedniaków z zainteresowaniem godnym lepszej sprawy.

– Idę, idę, moje dziecko! – Podniosła się w końcu i ruszyła za nami.

– Ale mieli miny! – parsknęła Natalia, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – Jakby rzeczywiście coś przeskrobali.

– Dzwonię do Kudelki! – oznajmiłam, wskazując pokój.

Ale porucznik Ryszard Kudelka był niedostępny. Znalazłam więc w kieszeni wizytówkę służbisty Migdała.

– Panie aspirancie! Matylda Kwiatek. Mam taką sprawę. Jest tam gdzieś porucznik Kudelka?

Migdał zaszemrał coś niewyraźnie i przecząco.

– Bierze udział w naradzie w Koszalinie

– Aha... Bo widzi pan, chcemy wracać już w piątek w nocy z mamą i Natalią. I zastanawiamy się...

Migdał zaszemrał ponownie.

– Rozumiem, to czekam! Do widzenia.

Rozłączyłam się.

– Mamy czekać na telefon Kudelki i nie ruszać się poza teren ośrodka! – oznajmiłam wszystkim obecnym.

Natalia z mamusią patrzyły na mnie z napięciem.

– Ja tego dłużej nie wytrzymam – oświadczyła mamusia wreszcie i dramatycznie wydmuchała nos w chusteczkę.

– Ani ja! – Natalia zaczęła hałaśliwie szycować kubki na herbatę. Usiadłam na ziemi, opierając się plecami o tapczan.

– Wiem, co nas uspokoi. Uważam, że powinnyśmy teraz sobie wszystko porządnie przemyśleć. I spisać to, nim Kudelka się do nas odezwie. Natalia, zaparz cały termos! Mamy cztery godziny do kolacji, a do tego czasu żadna z nas stąd nie wyjdzie, póki nie ustalimy pełnej wersji wydarzeń – postanowiłam.

Zawsze umiałam zapanować nad rodziną w sytuacji krytycznej, narzucając jej członkom tryb działania. Do tej pory jednak napięcia dotyczyły porządków świątecznych i zakupów na działkę. Mimo to mamusia posłusznie usiadła na baczność na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Wzięła karnie notes i długopis do ręki.

– Jestem gotowa! – oznajmiła po chwili lekko jeszcze drżącym głosem. – Zacznijmy może od dnia przyjazdu. Co się każdej z was rzuciło w oczy? – zaczęła roztropnie.

Co ciekawe, każda z nas zauważyła coś zupełnie innego. Mamusia upierała się jak muł przy tym, że w tym sezonie inaczej posadzili zioła pod jadalnią. Dowodziła, że grządki były skopywane kilkakrotnie i to bez żadnego powodu. Poza tym zupełnie inaczej obsługiwali turnusy w kuchni. Niektórzy kolację dostawali nawet po dwudziestej pierwszej! Oraz gorzej sprząтали i kazali, o zgrozo, więcej ćwiczyć starszym paniom. Kioskarz Tadek tak się rozbisurmanił, że otwierał swoje podwoje z gazetami, kiedy chciał. A kiedy nie chciał, to nie otwierał. Mamusia z tego powodu wielokrotnie powracała z kiosku na leżak bez krzyżówki.

Natalia z kolei skrupulatnie odtworzyła wszystkie swoje wizyty w Koszalinie w fundacji Burdy. I kolejne sensacje, o których się tam dowiedziała. Liczne finansowe przewalki, kontrole skarbówki. Plotki o romansach i – wreszcie – o tajemniczych powiązaniach prezesa. Z Maćkiem, Marianną, ze Zbyszkiem i być może, poprzez ryby, z samym panem Kamyczkiem!

Wszystko to mamusia starannie kaligrafowała w punktach w swoim notesie, a następnie przewidywała mnie. A ja przepisywałam to do komputera, uzupełniając własnymi uwagami o tym, co wydarzyło się jeszcze w Warszawie, i spostrzeżeniami o kolejnych podejrzanych uczestnikach turnusu. Typowałam najbardziej i najmniej pasujących na zbrodniarzy. Ale wszyscy oni nieustannie zmieniali swoje miejsce w mojej prywatnej hierarchii ludzi na bakier z prawem. Bo nikt z nich nie zachowywał się jednoznacznie jak ktoś winny. Lub niewinny do cna. Gdy więc minęła upragniona przez wszystkich wczasowiczów godzina osiemnasta, czyli święta godzina kolacji, nadal nie wiedziałyśmy, kogo mamy uważać za zbrodniarza. Marzenkę, Kazia, Tygrysa, Guentera, Mariolkę, Izę czy zaginionego Andrzeja. A może wszystkich ich razem wziętych?

– Oszaleć można! Komu to wszystko ma służyć? Dlaczego się właściwie kogoś zabija, mówcie mi zaraz! – zażądałam wykończona męczącą dedukcją.

– Tak w ogóle? W afekcie, z zazdrości, ze strachu. No i dla kasy – wyliczyła Natalia.

– Można też przez przypadek – odpowiedziała mamusia uprzejmie.

– Przez przypadek? – zdziwiłam się.

– No tak, planujesz coś innego, aż tu nagle zdarza się coś tak niespodziewanie, że musisz ofiarę zaciukać od razu, nie masz innego wyjścia – dodała mamusia.

Kudelka zadzwonił w momencie, gdy przekrzykiwałyśmy się właśnie w kwestii powodów śmierci Marianny i latarnika. Andrzeja uznaliśmy, póki co, za zaginionego, porwanego bądź ukrywającego się. Nie był więc dla nas ofiarą. Raczej kolejną przeszkodą w planach zabójcy. Czyli nie wiadomo kogo. O Zbyszku w ogóle nie wiedziałyśmy, co myśleć.

Porucznik chciał wiedzieć szybko, gdzie jesteśmy, co robimy i gdzie będziemy za godzinę. Grzecznie raportowałam mu, że siedzimy murem w pokoju i snujemy nasze śledcze rozważania. Zapowiedziałam także przesłanie mu niebawem w tej sprawie maila. Oraz to, że zamierzałyśmy po

kolacji siedzieć z psem na tarasie pod kocykami. Jak w sanatorium. Stróż prawa odetchnął, ale też, ku mojemu zdumieniu, gwałtownie mi zabronił cokolwiek mu wysłać. Poleciał natomiast przekazać Natalii, że odnaleźli jej telefon. Leżał w krzakach niedaleko miejsca naszego spotkania na plaży. Jak prawie każdy smartfon, miał wmontowany GPS. Urządzenie było wyladowane, ale nie wyglądało na to, aby ktoś przy nim majstrował.

Natalia ucieszyła się z tego powodu umiarkowanie i oświadczyła, że bez telefonu jest jej nawet łatwiej. Bo nie myśli tyle o Stachu, który setkami SMS-ów dziennie nieustannie zapewniał ją o swoim płomiennym uczuciu. To z kolei skłoniło mnie do zadania jej pytania o istotę odrodzenia toksycznej relacji. Z tym pijakiem, nierobem i uroczym towarzyszem wszelkich spontanicznych wypadów na miasto w jednym.

Mamusia, przeczuwając, co się święci, twardo zażądała przerwania tej konwersacji oraz jakiegoś jadalnego posiłku na wynos z Włóczęgi. Dawno minęła osiemnasta i wszystko, co jadalne, już zostało w Osie pożarte. Ci „nielegalni” czasowicie zapewne jadali po godzinach i poza regulaminem. Co prawda mogłyśmy się we Włóczędze natknąć na Hankę z Maćkiem, z którymi czekało nas i tak osiem bitych godzin jazdy samochodem, ale uznałyśmy, że trudno. Nie będziemy się rozgadywać i ujawniać z podejrzeniami.

Poza tym kiszki nam marsza grały już od paru kwadransów. Po krótkim namyśle laptop wsadziłam pod łóżko, do torby z brudnymi dresami. Pouczyłam surowo mamusię i Sonię o zakazie opuszczania pościeli i chyżo ruszyłyśmy z Natalią na skróty do świątyni zakazanych smaków. Oczywiście przeskakując taras i zgrabnie omijając także hacjendę Maćka. Dotarliśmy w jakieś dwie i pół minuty na miejsce tajemnych, niedozwolonych rozkoszy. Było jeszcze pusto. Postkolacyjny tłum zaczynający się gromadzić około osiemnastej trzydzieści jeszcze tu nie dotarł. Pani Maria, mama pana Kamyczka, właśnie w skupieniu mieszała w kotle coś, co sprawiło, że mój żołądek wręcz zapłakał w głoś.

– Żurek z jajkiem panie będą zakąsać? A wcześ-niej może tatarka świeżego z grzybkiem dam, co? – spytała retorycznie.

– Tak, pani Mario! Dwa razy plus dwa zimne piwa. Oraz trzecia porcja, ale już na wynos. Podwójny bukiet pierogów – zdecydowałam w sekundę, co zanieść mamusi.

– Ojejku... – Natalia rozanielona perspektywą rozkoszy podniebienia, które miały nadejść niebawem, bez skrępowania rozciągnęła swoje i tak już długie ciało na ławie nieopodal kuchni i w tej właśnie ulubionej półleżącej pozycji zaczęła mi się zwierzać.

– No więc wiesz, jak to jest. Nie chciałam, ale męczył, męczył i wymęczył...

Wyjęłam kosmetyczkę i posmarowałam usta bezbarwną szminką, bo spierzchnęły. Z pożądania do żuru zapewne. Cała zamieniłam się w słuch.

– Ale co takiego zrobił Stach konkretnie? – zapytałam.

– Wziął mnie na to, co zwykle. Że taki jest samotny, znowu bez grosza i że się zmieni. Dla mnie i tylko dla mnie. – Natalia wachlowała się menu, bo z emocji wyskoczyły jej na szyi czerwone plamy.

– Aha, tak jak wtedy w Sopocie. Jak wiosną, gdy do niego uciekłaś na tydzień romantyczny. – Przypomniało mi się.

– No tak, no tak. Podobnie. Rzeczywiście.

– No i? – dopytywałam.

– No i chodzimy razem na mityngi AA. On tu teraz jest na takim specjalnym wyjeździe integracyjnym niedaleko. I pomaga innym takim jak on obwiesiom. Żeby nie chlali. Bardzo jest dzielny, bardzo.

– A sam nie chla? Nic a nic? – powątpiewałam, bo znałam Stacha nie od dziś.

– Nie, już prawie dwa tygodnie jest w trzeźwości!

– Hmm. – Zamyśliłam się, nim zadałam kolejne mordercze pytanie. – A tak szczerze... Powiedz mi, ty naprawdę chcesz, żeby było jak dawniej, wiesz, w liceum, na molo i tak dalej, prawda?

– Tak! Skąd wiesz?

– No bo cyklicznie z tobą te rozmowy prowadzę. Od licem właściwie. – Uprzytomniłam mojej

nieuleczalnie zakochanej przyjaciółce.

– Tak bym właśnie chciała. Żebyśmy razem sobie tak szli i szli plażą...

– O Jezu, Natalia! – Nie wytrzymałam. – Opamiętaj się, dziewczyno! Ile już było tych spacerów i obietnic? No ile?

– Oj tam. – Natalia była dziś wyraźnie w nastroju miłosnym.

– Dobra, koniec z tymi miłościami. Już! Dosyć tego mam!

– Nie wkurzaj się. Ja o Zbyszku to wysłuchiwałam godzinami!

No fakt... Zamilkłam posłusznie. Poza tym pani Kamyczkova sunęła już do nas z tatarcami. Nie chciałam się niczym rozpraszać, tylko skupić na prawdziwym, pachnącym, kalorycznym jedzeniu.

– Pani Matylda bez niczego, bo uczulona, pani Natalia dodatki full wypas – oznajmiła i postawiła nam przed nosem cudowny podwójny zestaw z piwem zimnym jak syberyjski poranek.

Obie w milczeniu rzuciłyśmy się na tę ambrosję. Nagle zakrztusiłam się. Oczy wyszły mi z orbit. Zaczęłam się dusić.

– Glutaminian – wyrzęziłam, a Natalia jednym susem znalazła się obok mnie, wyrwała mi z torebki kosmetyczkę i wbiła w ramię zastrzyk z odczulaczem i adrenaliną.

Trwało to może z niecałą minutą. Powoli odzyskiwałam swoje barwy. Zaczynałam też prawie normalnie oddychać, choć wciąż brakowało mi trochę tchu. Przerazona pani Maria podbiegła do nas z kuchni, kołyszac obfitymi biodrami.

– Jezusie Panie, to nie ja! Przysięgam! Musiały na kuchni coś pomylić. Mamy od wczoraj nowego pomocnika! Z tej fundacji wzięłam z litości. Mimo że paluchy miał w jakieś ciapki. Pani Matyldo, może wody? Nic nie płacicie. Przepraszam!

– Po... powietrza – wycharczałam i powoli, krok za krokiem, ruszyłam, wspierając się na Natalii i pani Marii, w stronę wyjścia.

Powiało od morza rześką morską bryzą. Usiadłam na ławce pod murkiem i odetchnęłam głęboko. Natalia wróciła do środka i zabrała pakunki z jedzeniem na wynos, po czym przysiadła na murku obok mnie. Milczaliśmy przez chwilę.

– Mamusi ani słowa – wyrzęziłam już znacznie wyraźniej.

– OK. – Kiwnęła głową zatroskana, ściskając mnie mocno za rękę. – Ale Kudelce zdamy pełen raport!

– Dobra. – Podniosłam się i chwiejnym krokiem ruszyłam powoli, choć już samodzielnie w stronę tarasu. Po chwili jednak odwróciłam się zaintrygowana w jej stronę.

– Jaki znowu raport, Natalia?

– Nie sądzisz chyba, że to przypadek?

– No co ty!

– Matylda! Ktoś przed chwilą chciał cię otruć! I to w dodatku ktoś, kto dobrze wie, na co jesteś uczulona!

Fakt, najwyraźniej ktoś dybał i na moje życie...

Kudelka zastał nas pół godziny później na leżakach pod kocami i z nieodłącznymi blaszanymi kubkami w dłoniach. Piłam wodę. Alkoholu i herbaty po wstrząsie anafilaktycznym nie ryzykowałam. A Natalia solidarnie postanowiła mi w tym towarzyszyć, mając jednocześnie mamusię moją silną wolą niejedzenia kolacji. I wolą niepicia także.

Wcześniej jednak – z dala od moich oczu – pożarły zgodnie podwójny bukiet pierogów i starannie przewietrzyły pokój z ich upojnej woni. Żeby – jak powiedziały – mnie niepotrzebnie nie drażnić.

Kudelka przyleciał w okolicy dwudziestej w dresach i na bosaka, uwalany piachem jak nieboskie stworzenie. Bardzo z siebie zadowolony. Właściwie to promieniał, co w zestawieniu z naszymi grobowymi minami dawało nawet zabawny efekt kontrastu. Wręczył Natalii odzyskany telefon, który ta niedbale wrzuciła do kieszeni. Już otwierał usta, kiedy moja przyjaciółka gestem nakazała mu milczenie

i pochylała się znacząco.

– Rysiu, zaczekaj z newsami, bo mamy tu mały kłopot – szepnęła znacząco w stronę nasturcji, pod którą porucznik zastygł w kucki, złopiać posłusznie wodę z kubeczka.

– Mianowicie? – Kudelka był bystry, więc zaświszczwał równie dyskretnie.

– Matylda o mało co nie wykorkowała we Włóczędze!

– Jak to? – Porucznik zerwał się na równe nogi i spojrzął na mnie z niepokojem.

– Dali mi glutaminianu, a jestem uczulona – burknęłam i szczerzej otuliłam się kocem, pokazując mu, żeby kucnął ponownie. – Ale ani słowa Klotyldzie.

– Konkretnie mi mów! Wszystko, jak na spowiedzi! – W oczach stróża prawa zamigotały niebezpieczne błyski, ale zastygł w niewidocznej pozie za krzaczkiem.

– Tatarka wzięłam i żur. I przy zakąsce mnie tak wzięło. Musieli dodać maggi, a mi przecież nie wolno. Albo mam przy sobie własne przyprawy, albo jem bez niczego. Tylko żółtko, sól, pieprz. Pani Kamyczkowska zna mnie od lat i wszystko o mojej alergii wie. Więc to chyba trochę dziwne – wyznałam mu szczerze. – Chociaż mówiła, że zatrudniła kogoś nowego.

– Kogo nowego? Nazwisko! – Nie wiem, nie znam, nie widziałam, ale podobno z fundacji.

Kudelka się zasępił, po czym ponownie przystąpił do zadawania pytań:

– Co było wcześniej? – Przewiercał mnie wzrokiem na wylot.

– Jak to wcześniej? – Zdziwiłyśmy się obie, chórem i szeptem jednocześnie.

– Co robiłyście z Natalią? O czym gadałyście? – dociskał Kudelka.

– No... – Zerknęłam do pokoju, by sprawdzić, czy mamusia coś słyszy, ale buczał telewizor z jakimś serialem, więc byliśmy bezpieczni. – Robiliśmy to podsumowanie dla ciebie. Kto jest podejrzany, a kto nie.

I wręczyłam mu pendrive z raportem.

– Wszystko jasne. Wrzeszczałyście pewnie jak szalone i ktoś to usłyszał – wydał wyrok Kudelka.

– I z tej chaotycznej wymiany okrzyków się zorientował, o co chodzi? – zdziwiła się Natalia

– Jak wiedział, czego słuchać, to się zorientował. Ostatnie zdanie! – zażądał stanowczo porucznik.

– Moje? No, że zabić można przez przypadek. Ale to mamusia mówiła, nie ja... – dodałam dla porządku.

– No nieważne która, ważne, że głośno i nieostrożnie jak przekupki na targu – wtrącił Kudelka

– Wypraszam sobie – zasyczała Natalia. – Zgodnie z instrukcją siedziałyśmy zamknięte w pokoju szczerze, a mamusia, to jest pani Klotylda, nie ruszyła się z tapczanu na krok! Byłyśmy kulturalnie dyskretnie!

– Mógł słyszeć. – Pokiwałam głową. – Przecież te szyby wentylacyjne wychodzą na korytarz.

– Po cholere miałby nas ktoś podsłuchiwać? Kudelka! – Natalia była już ogłupiała ze zdenerwowania.

– Morderca to raczej miałby po co – mruknął porucznik.

– Jezusie, to on tu jest? Cały czas? – Zrobiło mi się słabo.

– Spokojnie, spokojnie. – Porucznik już podawał mi wodę i okrywał mnie kocem po samą szyję.

– Ja to w sumie nawet mam takie wrażenie – wycharczałam spod koca – że tu ciągle ktoś się czai i nas podgląda. Jakiś cień pod tarasem, ten koleś z komórką Natalii. W ogóle jest tak, że różne osoby wiedzą rzeczy, których nie powinny wiedzieć... Kazio wie nagle, gdzie byłam, i patrzy na mnie z tą swoją Anką jak na insekta. Co rano przy śniadaniu. Maciek zna każdy mój krok.

Kudelka zapatrzył się z napięciem w krzaki tui *vis-à-vis* tarasu i zamilkł. My we dwie automatycznie również, choć powodu ku temu nie było żadnego.

– A ty? Co taki zadowolony byłeś na początku? – Odważyłam się zapytać, aby zmienić upiorny temat.

– No bo z Migdałem dopieiliśmy wreszcie dokumentację Burdy. Ale to niczego nie zmienia na razie – odpowiedział stróż prawa nieuważnie, przyjrzał mi się dokładnie raz jeszcze i przemówił ponownie:

– Matyllda, od tej chwili koniec śledztwa dla was obu! Ogłosisz to jutro oficjalnie na śniadaniu. Że masz już dosyć tej historii i że wieczorem z Maćkiem wracacie. Zakładam, że morderca też się o tym dowie. I będziecie miały spokój.

– Ale ty zostajesz? – spytałam jeszcze porucznika.

– Tak, do środy. Domykamy wszystko z Migdałem. – Kiwnął głową w ciemności. Ale wy stanowczo wracacie do siebie i swoich spraw. Którymi to sprawami nie jest śledztwo! Matyllda do pracy. Może być z Maćkiem. Rozmawiałem z nim o tym w trakcie naszego przesłuchania w jadalni i nie widzi przeszkód. Natalia wraca do Legalnej. Wszystko ma być spokojnie i normalnie. Jak przed tym... No, tym...

– Jak przed Zbyszkiem. OK. – Natalia przyszła mu z pomocą.

– Zobacz, co z telefonem – dopomniął się Kudelka.

Natalia włączyła komórkę i postukała w niej przez chwilę, oglądając SMS-y, maile i listę kontaktów. Wyglądało na to, że niczego nie wykasowano. Ale czasu złodziej miał tyle, że mógł skopiować wszystkie dane z karty SIM, a tam były wszystkie nasze mailowe ustalenia o fundacji Burdy. I trochę moich zawodowych numerów telefonów – zapisanych, nim zamieniłyśmy się aparatami. Część kontaktów nie zmieściła się już na karcie i pewnie tam zostały. Co prawda dotyczyły moich dawnych spraw, ale też z tego regionu. Maciek i ludzie z pracy wiedzieli oczywiście o moim nowym aparacie. Nakłamałam, że stary miał blokujący się klawisz i to mnie strasznie denerwowało, a Natalia używała swojego rzadko, więc się zamieniłyśmy. Wszystko to mi przeleciało przez głowę, gdy Kudelka zażądał, abym sprawdziła też swój telefon. Tak na wszelki wypadek.

Wzruszyłam ramionami, ale wstałam posłusznie, zrzucając oburzoną tym suczkę z kolan, i weszłam do pokoju, żeby zajrzeć do mojej torby plażowej. Komórka była na miejscu, z włączonym dźwiękiem, który wyciszyłam, gdy mamusia zasadziła się na swój ulubiony serial o księdzu detektywie. Aparat wyglądał zwyczajnie. Wszystkie maile i SMS-y były na miejscu. Podobnie jak lista kontaktów. Wróciłam na taras i powiadomiłam o tym porucznika, który zawzięcie wystukiwał coś w swoim aparacie. Tymczasem mamusia wyłączyła już telewizor. Zostawiła sobie włączoną małą lampkę do czytania przy łóżku, co było wiadomym znakiem, że niebawem kładzie się spać.

Kudelka pożegnał się taktownie i przeskoczył bezgłośnie taras. A w jego ślady zaraz poszła Natalia. Zostałam więc tam sama z suczką, kocem i termosem nadal gorącej herbaty. Siedziałam tak jeszcze chwilę, grzejąc się pod kocem i ponownie układając w głowie plan wydarzeń i typując mordercę.

Nie udało mi się jednak odpowiedzieć na podstawowe dręczące nas pytania. Po co to wszystko się działo? I komu dobrze zrobiło zniknięcie Zbyszka i Andrzeja oraz śmierć Marianny i latarnika? Nic mądrego nie przyszło mi niestety do głowy. Podniosłam się wreszcie, pozbierałam koce i naczynia. Na chwilę jeszcze wyszłam z suczką przed pensjonat. Puściłam ją bez smyczy. Siknęła grzecznie pod krzaczkiem i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, z podkulonym ogonem ruszyła galopem w moją stronę. Coś ją musiało niezłe wystraszyć. Szybko wróciłyśmy do pokoju. Porządnie zamknęłam drzwi od pokoju, wyszorowałam zęby i wsunęłam się z ulgą pod kołdrę. Niech te koszmarnie wakacje się wreszcie skończą! O dziwo, szybko odpłynęłam w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 10

OSTATNI DZIEŃ TURNUSU

Poranek był pochmurny i wietrzny. Po krótkiej rozgrzewce na plaży poszliśmy od razu na śniadanie. Nasza grupa, mocno już okrojona – Guenter, Marzenka, Tygrys, Gosia i ja – ćwiczyła bez werwy, raczej z obowiązku. Poza tym naprawdę mocno wiało, więc ograniczyliśmy się do rozciągania na piasku i krótkiego sprintu do pierwszych schodów po prawej stronie i z powrotem. Trenerka obiecała nam dać jeszcze mocny wycisk przed obiadem, na pożegnalnej gimnastyce. Andrzej nadal nie dawał znaku życia, więc zamiast kinezy miały być zajęcia tabaty. Także z nią. Dla wszystkich chętnych.

Mamusia w tym czasie wyszła z suczką i kupiła gazety, a gdy weszłam do jadalni, siedziała już przy naszym stoliku z Kaziem i bladawą Anią. Konwersowali sobie w najlepsze.

– To w końcu kiedy wracacie? – zaatakowała ich mamusia wprost.

– No... – Kazio spojrzał na mnie. – Jak nam policja pozwoli, to w niedzielę rano. Do Gliwic mamy samochodem kawał drogi.

– Z tego, co wiem – odparłam na nieme pytanie Kazia, siadając – to policja zwija się stąd we środę rano i stanowczo ma już dość naszego mieszania się do śledztwa. Ja zresztą też. Dlatego wyjeżdżamy dziś wieczorem. A was wyeksportują jutro po południu. Muszą tu wiele rzeczy sprawdzić, a my im w tym tylko przeszkadzamy.

– Dobrze wiedzieć. – Ania skrupulatnie obierała ze skórki bladawego jak ona sama pomidora. – Już bym się chętnie wykąpała we własnej wannie i skończyła z tymi dochodzeniami! Nikomu nie wierzą! Sto razy pytają o to samo! Kto to widział coś takiego!

– Taka praca. – Mamusia sentencjonalnie ucięła dyskusję.

Reszta śniadania upłynęła nam w milczeniu. Natalia jadła z dziewczynami, tylko mi pomachała, gdy wychodziłam. Spodziewałam się, że zechce jeszcze spotkać się z trzeźwiejącym Stachem, więc zobaczymy się dopiero na obiedzie. Co do mnie, to nawet nie spojrzałam na pasztet sojowy i wodnistą mizerię. Zjadłam płatki owsiane z jogurtem, dosypując sobie szczerze otrąb. Po czym z ulgą udałam się do pokoju, żeby się spakować. Mamusia taktownie wyczuła, że potrzebuję chwili samotności, i pozostała z gazetami na ławeczce wśród swoich kum. Nareszcie miałam trochę czasu dla siebie. Spakowałam do walizki rzeczy brudne i średnio brudne. Te do założenia jeszcze na ćwiczenia i podróż zostawiłam na półce. Odświeżyłam się następnie pod prysznicem, włożyłam strój do ćwiczeń i spięłam włosy. Pobawiłam się chwilę z Sonią, rzucając jej po podłodze piłeczkę, po czym usiadłam raz jeszcze do sprawozdania, które zrobiliśmy z Natalią dla Kudelki.

Ciągle miałam wrażenie, że o czymś zapomniałam. I rzeczywiście. Przecież codziennie składałam Kudelce raporty: a to w czasie marszobiegu, a to pod krzakami tui wieczorem. Opowiadałam mu dotąd regularnie, co zmieniło się w Osie. Zrobiłam krótkie uzupełniające notatki, licząc, że Kudelka się w tym jakoś połapie. Była to seria pytań i impresji:

Po co Andrzej zniknął na tyłach sali na długo?

Tygrys mniej drapieżna niż zwykle, bo złapała nowego fagasa z mercedesem.

Mariolka, koleżanka Marianny, smutna i coś zmyśla ze zmywaczem.

Guenter częściej uciekał przed ogromną rodziną.

Zbyszek podejrzenie zaprzyjaźniony z Maćkiem i Podłą.

Burda nie pasuje do ludzi z Osy, zbyt miastowy i brzydki się ćwiczeniami. Jak go powiązać z Savonarolą, latarnikiem i Marianną? Poza liceum z tą ostatnią nic go nie łączy.

Tadek załamany, że kiosk plajtuję.

Iza znikła po śmierci latarnika.

W tatarku było maggi – jak nigdy wcześniej.

Wszystko to wysłałam w osobnym załączniku do porucznika. Na wszelki wypadek zrobiłam to na Face-booku, w prywatnej wiadomości.

Na treningu porannym go nie było, więc uznałam, że może teraz siedzi gdzieś przy komputerze i się do mnie odezwie. Intuicja mnie nie zawiodła. Szybko dostałam odpowiedź, że wiadomość odebrał i że stanowczo nakazuje mi odpoczynek. Od zbrodni i od śledztwa. Miałam jeszcze chwilę do gimnastyki, więc wyłączyłam komputer, zapięłam Soni smycz i poszłam w kierunku drewnianej hacjendy wakacyjnej Maćka.

Większość domków się już pakowała. Na parkingu nieopodal panowało lekkie pandemonium. Wózki, składane parasole, piłki, walizki, koce, piernaty, resztki zapasów żywności – czyli zestaw niezbędny do przetrwania polskiej rodziny nad morzem – zalegały stosami na wszystkich miniaturowych drózkach prowadzących z domków do samochodów.

Maciek użerał się z ogromnymi walizkami Hanki, składanym grillem, leżakami i materacem, na którym nakazał mi usiąść i wypuszczać z niego powietrze. Posłusznie przysiadłam i zaczęłam wiercić się na nim pupą. Materac wił się pode mną i syczał jak wąż, co niezmiernie rozbawiło suczkę.

– Dużo macie bagaży? – spytał Maciek z niepokojem w oczach.

– Nie wiem, czy dużo. Trzy średnie walizki, tyle samo toreb plażowych, koc, poduszki i jeden pies – wyliczyłam, zwijając materac w rulon i z trudem wpychając go do pokrowca.

– Damy radę – westchnął. – My na te pięć dni zabraliśmy pół domu. Hanka jeszcze na masażu, potem chce sobie pazury zrobić u tej waszej Mariolki. Nie wiadomo po co.

– O której ruszamy? – Podaliśmy mu rulon z materacem.

– Osiemnasta będzie OK?

– Mnie pasuje. – Kiwnęłam głową. – Po obiedzie przywlokę walizki i koce.

– Pomogę ci. Matylda, czy wszystko w porządku? – spytał Maciek nagle.

– Tak, a co? – udałam głupią.

– Miałaś wczoraj atak alergii chyba, no nie?

– Skąd wiesz? – Zrobiłam się czujna.

– Od Natalii, zajrzała tu rano, wracając ze sklepu. Znowu uczulenie?

– Uhm. – Nie chciało mi się wdawać w szczegóły.

Hanka krzyknęła coś z góry i Maciek zostawił mnie na dole przy samochodzie. Nie chciało mi się czekać, zabrałam suczkę i ruszyliśmy na rundkę dookoła Osy. Wyczuwało się już wyraźny nastrój pożegnania.

Resztki wczasowiczów zbijały się w małe grupki i dyskutowały o drodze powrotnej. Część odważnie wybierająca usługi PKP postanowiła uczcić ostatnie popołudnie pijaństwem na plaży.

W salonie paznokcia panował nieopisany harmider, bo wszystkie panie chciały mieć piękny manikiur na powrót do cywilizacji. A w miejscowym sklepiku kończyły się zapasy wody i napojów energetycznych. Okrążywszy całe Mielenko, dotarłam do kiosku, gdzie Tadek melancholijnie pakował chińskie paskudztwa i puste opakowania po malinach do swojej nyski. Wzięłam ze stojaka gazetę i poprosiłam go o wodę i gumę do zucia. Ruchem głowy wskazał mi wnętrze kiosku, abym sobie sama wzięła wodę i tamże zostawiła także należność. Ponury był jakiś i zły, więc zrobiłam, jak kazał.

Po tygodniu nieustannych ćwiczeń byłam teraz w stanie dźwignąć – przechylając się przez miniaturowe okienko – małą zgrzewkę wody. Położyłam Tadekowi dziesięć złotych na ladzie, a potem postanowiłam ponownie wsadzić głowę do środka i włożyć mu kasę wprost do plastikowej przegródki na banknoty, żeby jej wiatr nie zwiął. Moją uwagę zwrócił poszarpany zeszyt, podobny do tego, w którego posiadanie podstępem weszła Natalia, penetrując wnętrze latarni.

Miał już swoje lata, kartki były nieco pożółkłe, a okładka z gumką miała naderwane brzegi. Wzięłam go do ręki, nadal zwisając przez okienko. Pełen był dziwnych tabelki i wykresów. Nie wyglądało mi to na bilans przychodów. Wycofałam się szybko i dyskretnie, aby nie wzbudzać podejrzeń. Pomachałam Tadekowi na pożegnanie i powoli odeszłam na bezpieczną odległość od kiosku. Idąc, myślałam o tym, po co latarnikowi i Tadekowi jakieś wykazy dotyczące pogody, przyplływania i odpływania promu w stronę Mielenka oraz jakieś zestawy nazwisk dziewczyn ze wzmiankami

dotyczącymi wieku i koloru włosów. Robili sobie zestawienie wakacyjnych podbojów czy jak? O co tu chodzi? Jakież prywatne castingi miały tu miejsce? Agencja towarzyska dla ubogich kioskarzy i latarników? Dziwne... Do pokoju wróciłam zamyślona.

Stamtąd wysłałam Kudelce wiadomość o dziwnym zeszycie numer dwa. Mamusi znowu nie było. Pewnie żegnała się z kumami w barku piwnym na plaży, gdzie przedpołudniami dowożono ciepłe ciasto drożdżowe. Znikało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niestety, tym razem nie za moją sprawą. Wzdychając tęsknie do wspomnienia o zapachu ciasta, napiłam i nakarmiłam suczkę, włożyłam buty treningowe i zamknęłam pokój. Strasznie nie chciało mi się dziś ćwiczyć. Ale po to przecież tu przyjechałam. Aby nabrać formy i utemperować nieco tkanką mięśniową moje boskie opływowe kształty.

W sali byli już Tygrys, Guenter, Marzenka, Natalia i bladawa Ania. Rozkładali karnie maty i rozdawali ciężarki. Pobrałam swój zestaw i poszłam w kąpiel pod oknem. Po chwili weszła Beatka i włączyła swoje upiornie skoczne kawałki. Zaczęły się moje „ulubione” pajacyki i inne okropieństwa, po których dostawałam zawsze czegoś na kształt przelotnego ataku serca, połączonego z narastającym przypływem wściekłości. Te tortury zwykłe trwały około kwadransa, po czym następowało tarzenie się z ciężarkami pod kolanem i z nosem wbitym w przeponę matę, a do tego zamaszyste unoszenie nogi w górę i w bok. Potem jeszcze upiorna deska... Człowiek zastygał nad matą na czubkach palców dłoni i stóp jak dyplomowany idiota, trwał tak niczym posąg dłuta sadystycznego schizofrenika, a po minucie zaczynał dygotać jak w febrze. Na koniec następowały surrealistyczne w tej sytuacji powitania słońca prosto z kursu jogi dla nadpobudliwych. Czyli padnij i powstań. W kółko. Po dziesięć razy. W dodatku – bo niby czemu nie? – z jakimś potępieńczym okrzykiem przy wysoku. Zdaniem Beatki miał to być tryumfalny okrzyk szczęścia. Mnie on przypominał raczej agonálny charkot. Zlani potem, zdyszani i pełni nadziei, że to koniec, zaczęliśmy wreszcie karnie składać maty, ale Beata poprosiła nas jeszcze o chwilę uwagi. Obsiedliśmy ją zgodnie na parkiecie i wtedy wyłączyła wreszcie dudniący muzyką magnetofon.

– W imieniu szefa ośrodka chciałam was poprosić, abyście to, co się wydarzyło podczas turnusu, zachowali dla siebie – powiedziała uroczyście, po czym podziękowała nam za pot i łzy wylane na plaży i na sali podczas ćwiczeń. I podczas potwornych marszobiegów.

– Jak to? – krzyknęła oburzona Marzenka.

– Brukowce i tak to opiszą. – Guenter wzruszył ramionami obojętnie, po czym elegancko, jak to on, skłonił się i skierował ku drzwiom.

– Boimy się wycofania rezerwacji, pracujemy w Osie, jak wiecie, do końca października – przypomniała jeszcze Beatka, kiwając ku niemu głową z delikatnym uśmiechem. Nic dziwnego, Guenter był jej ulubionym, wzorowym kursantem.

– Ale ludzie muszą wiedzieć, na co się narażają! – wyraził swoje oburzenie Tygrys, naciągając dres. Oczywiście dres w panterkę.

– Zrobimy wszystko, aby tu było bezpiecznie – powiedziała Beatka z naciskiem. – A teraz zapraszam wszystkich na ważenie, mierzenie obwodów, a potem na uroczystą obiadokolację. Dziś wyjątkowo o siedemnastej.

Poszliśmy z dusznej sali prosto na piętro do gabinetu pielęgniarki, która dokonała upokarzającego rytuału pomiaru tłuszczu i mięśni w naszym organizmie. Wyszło na to, że schudłam kilogram i siedemdziesiąt dekagramów, przybyło mi mnóstwo mięśni oraz bardzo się odwodniłam i odtłuszczyłam.

W obwodach miałam wszędzie trzy centymetry mniej, urosłam zaś, jak zwykle, o dwa centymetry. Pełen sukces! Tygrys sarkał, że w tym turnusie ma słabe wyniki, a kto jak kto, ale ona musi mieć wysoki wskaźnik szczupłości, gdyż, ekhem, utrzymuje się z tego, że jest zgrabna. I ma sponsora z mercedesem. Póki co – oczywiście. Pamiętałam dobrze, że kilka lat wcześniej wyznała mi w barze, najwyraźniej w chwili potwornej słabości, że kiedyś, czyli na starość, wróci z pokorą do wyuczonego zawodu. Mianowicie do krawiectwa. A ściślej ujmując – do przeróbek. Od dawna podejrzewałam ją o różne matactwa z metkami na jej licznych strojach. Ale Tygrys to Tygrys – musi być piękna za wszelką

cenę. Za cenę ciuchowego oszustwa włącznie. Ostatni fagas, którego pochwyciła w swe tygrysie szpony przy saturatorze do miejscowego prosecco, był z okolic Warszawy, a więc urlop mogła uznać za udany. Wracali razem.

Pobrałam wszystkie zaświadczenia o mojej kondycji, stanie zdrowia i tym podobnych i powróciłam do pokoju, gdzie z ulgą wskoczyłam pod prysznic. Mijały minuty, a ja stałam pod strumieniem chłodnej wody i syciłam się tą chwilą. Nareszcie poczułam, że ten ciąg niebezpieczeństw się kończy, a zaczyna się coś nowego i bezpiecznego. Wracam do życia i cywilizacji. Mogę zaplanować czas tylko dla siebie. Bez wyrzutów sumienia i myślenia o kimkolwiek. Poza faktem, że chyba jednak straciłam stałą pracę u Maćka, wrócić miałam tylko tak dla pozorów do końca śledztwa. Ale i to oznaczało przecież początek czegoś nowego. Co prawda oszczędności topniały z każdym dniem, ale póki co, nie martwiłam się tym. Zawsze mogłam przenieść się do Natalii, a swoje mieszkanie wynająć. Nieraz ćwiczyłyśmy to na studiach. O ile moja przyjaciółka nie pogodzi się akurat ze Stachem, co jej się cyklicznie zdarzało. Wtedy kicha. Bo sypialnię miała niestety jedną.

– Rozstania i powroty, rozstania i powroty, tak... – mruknęłam ironicznie sama do siebie, wychodząc spod strumienia wody na ohydny plastikową kratkę. Sięgnęłam po omacku w lewo po duży ręcznik. I zastygłam w pół gestu. No tak. Mój stały numer. Oczywiście ręcznik został na tarasie i suszył się w słońcu. Postanowiłam więc wyjść do pokoju tak, jak mnie Pan Bóg stworzył, zawinąć się połowicznie w zasłonę i chwycić ręcznik, wykonując akrobacje w kierunku linek, na których on się znajdował.

A w pokoju, na moim tapczanie, z moją kartą zabiegową w dłoni i suczką w okolicach stóp odpoczywał sobie porucznik Kudelka. Rozwalony w relaksującej pozie jak jakiś adonis.

Ryknęłam na niego strasznie:

– Nie patrz na mnie! Zabraniam ci!

Wywołało to oczywiście skutek doskonale przeciwny.

– Matylda! O Jezu, to ty! – wrzasnął mało inteligentnie Rysiek, najwyraźniej zafascynowany moim rytuałem z zasłoną. Ale posłusznie przestał się we mnie wpatrywać. Zasłonięta bezpiecznie materiałem popatrzyłam na niego. Wściekła i mokra. Musiałam wyglądać jak współczesne i zdecydowanie mniej romantyczne wcielenie Scarlett O'Hary.

– Podasz mi wreszcie ten ręcznik? – zasyczałam.

– Tak, no jasne, że tak... – jęknął stróż prawa i zrzucając z siebie oburzoną suczkę, posłusznie wstał i udał się na taras. Po chwili, stojąc do mnie taktownie tyłem, podał mi nawet dwa ręczniki. Zawinęłam mokre włosy i siebie i oskarżycielsko popukałam go w plecy palcem.

– Kto cię tu wpuścił? Zgaduję, że mamusia!

– Rzeczywiście, tak, pani Klotylda uznała, że dobrze by było porozmawiać przed podróżą – odparł skruszony, na wszelki wypadek nie patrząc mi w oczy.

– A przy okazji pooglądać mnie sobie na golasa!

– Nie. To już był bonus. – Kudelka kiwnął półtysią główką i nerwowo podrapał się po zakolach.

– Słuchaj no, Kudelka, właśnie myślałam, że to koniec moich problemów, ale widzę, że szykujecie mi jakieś nowe atrakcje. Mów mi wszystko zaraz! – Weszłam z powrotem do łazienki, zostawiając drzwi otwarte, by móc prowadzić dalszą, poniekąd przymusową konwersację.

– Musimy omówić, co dalej z tobą i śledztwem. Nie chcę, Matylda, cię do tego już mieszać. Poza tym boję się o twoje bezpieczeństwo i dlatego też dostaniesz dyskretną ochronę.

– Dyskretna co? – Wystawiłam głowę zza drzwi, gdzie przywracałam swój wygląd do stanu używalności.

– Ochronę. Migdał będzie ci towarzyszył jako eskorta do Warszawy i potem na miejscu.

– Następny chętny do podglądania?

– Absolutnie nie! Tylko dyżury pod domem w samochodzie i eskorta do pracy, na zakupy.

W ramach śledztwa.

– Zaraz, zaraz. – Wyszłam z łazienki ponownie, tym razem już w dresie i nawet z czymś w rodzaju początków fryzury i szczotką do zakręcania włosów w ręce. – Czy to znaczy, że uważacie, że

on tu gdzieś jest?

– Nie wiemy tego, ale może się chcieć z tobą skontaktować czy coś – przyznał niechętnie Kudelka.

Usiadłam ciężko na łóżku i bez słowa spojrzałam w okno z nadzieją, że być może stamtąd przyjdzie do mnie jakiś ratunek. Nagle wszystko do mnie wróciło. Że też Kudelka musiał tu przyleźć i mnie znowu straszyc! I to wtedy, gdy wreszcie jakoś zaczęłam dochodzić do siebie. W tym momencie piknął system elektronicznego zamka i weszła mamusia, szczebiocząc coś jeszcze do koleżanki z pokoju obok. Czarnulka dała jej jakieś tajemnicze zioła i ucałowały się uroczyście w policzek na progu na pożegnanie.

– Ryszardzie, pomożesz nam z bagażami? – zaszemrała moja rodzicielka. – A ty dokończ się wreszcie robić, bo Maciek chce wcześniej zapakować samochód – rzuciła łaskawie w moją stronę tonem wypracowanej latami matczynej reprimendy.

– Mamusia spakowana? – warknęłam na to ja.

– Tak, wszystko już stoi przed jadalnią, czekamy tylko na ciebie!

– Minuta – zdecydowałam i ponownie zniknęłam w łazience, gdzie na chybił trafił powrzucałam wszystkie kosmetyki i drobiazgi do kosmetyczki i torby plażowej. Przeczesałam się jeszcze nieco, uperfumowałam nadgarstki i wystawiłam walizkę z torbą, kocem i poduszką do przedpokoju. Bez słowa.

Porucznik posłusznie chwycił bagaże i zaniósł je przed jadalnię, gdzie czekał już Maciek wyposażony w wózek do narzędzi ogrodniczych. Załadowali toboły i ruszyli na parking przed Osą. Usiadłam obok mamusi na tarasie i gestem nakazałam jej milczenie. Kiwnęła głową posłusznie i zatopiła się w swoich krzyżówkach. Do kolacji siedziałam bez słowa. Mamusia w międzyczasie, porzucając krzyżówki zaledwie na chwilę, zniknęła w łazience i zrobiła się na bóstwo. Buty wypastowane, tapir z tyłu głowy i wizytowa bluzka wyprasowana na beton. Oraz usta umalowane precyzyjnie w czerwone serduszko. Zawsze mnie to u niej niezwykle bawiło. To pindrzenie się z namaszczeniem godnym lepszej sprawy.

Zresztą sama lubiłam o sobie dbać. Ale nie dziś. Poprzestałam na czystym dresie i białych butach do tenisa, które tu robiły za obuwie wyjściowe. Od historii ze Zbyskiem zarzuciłam całkowicie moją kobiecość. Co, jak stwierdziła Natalia, która wpadła do nas przed kolacją, było typowe po takich przejściach. Od lat zaczytywała się w poradnikach psychologicznych.

Postanowiłam facetów póki co mieć z głowy. Zbyszek skutecznie oduczył mnie zaufania i tolerancji do ich tanich zagrywek. Co do Natalii, to na dzisiejszą galę ubrała się w dżinsy, białą koszulę i klapki na wysokim obcasie. Piękne i gęste ciemnoblond włosy do ramion zaczesła do tyłu, a usta pociągnęła bladą różową szminką, rzęsy zaś, zgodnie z moją sugestią, potraktowała pożyczonym ode mnie ciemnogranatowym tuszem. Lekko opalona morskim wiatrem i słońcem wyglądała zjawiskowo, czego nie omieszkalam jej powiedzieć. Zarumieniła się zadowolona, co moja mamusia skwitowała tylko lekkim westchnieniem. Gdyż istotnie, daleko mi było tego wieczoru do jej czy Natalii urody. Miałam podkrążone ze zmęczenia oczy. Byłam też, jak zwykle, lekko potargana i niemal całkowicie *sauté*, poza błyszczkiem i tuszem. Oraz lekkim podkładem w kremie. Na wakacjach gardziłam bowiem pudrem i kredkami do oczu. Uznając, że czystość i naturalność całkowicie wystarczą jako arsenał obronny. Przed podstępny męskim światem, rzecz jasna. Uczesałam za to starannie suczkę i założyłam jej na szyję kolorową bandanę. I tak wystrojone udałyśmy się we cztery do jadalni.

ROZDZIAŁ 11

UPIORNY POWRÓT

Kolacja przebiegała w uroczystej i nerwowej atmosferze. Na ustawionych w podkowie, zupełnie jak na weselu, stołach błyskawicznie zabrakło faszerowanych jajek i twarogu z rzodkiewką. Przy półmiskach z pasztetem domowym dochodziło do gorszących scen, a dział serów i ciast opustoszał w sekundę. Tak więc po kwadransie było już po degustacji, a pan Kamyczek, wręczając dyplomy za aktywność i ubytek kilogramów, wił się – jak co sezon – z mikrofonem bezprzewodowym u szczytu złączonych stołów. I dość mętnie starał się tłumaczyć braki kadry trenerskiej zaistniałą nadzwyczajną sytuacją kryminalną.

Dyplom prymusa dostał jak zwykle Guenter, drugie miejsce zajęły *ex aequo* Tygrys z Marzenką, a na trzecim miejscu uplasowała się... moja mamusia! Zbierając gromkie brawa wśród grupy seniorów, ze słuszną dumą przedfilowała z dyplomem w garści w poprzek całego pomieszczenia jako „Miss Oldies”. Stanowczo odmawiając jednak skonkretyzowania, ile schudła oraz ile ma lat. Zjadłam resztki sałaty z rybą po grecku, której byłam nieuleczalną i jedyną chyba entuzjastką, i krzyknęłam Maćkowi siedzącemu na tarasie z papierosem, że zaraz wyjeżdżamy. Następnie pożegnałam się krótkim uściskiem dłoni z całą moją grupą i ruszyliśmy do pokoju po resztę bagaży. Oddałam klucze Celinie z recepcji, serdecznie ją uściśkałam, po czym ostatni raz tęsknie spojrzałam na morze i poszliśmy na parking. Mamusia oczywiście obdarowała wszystkie panie w recepcji czekoladkami, po czym radosnym szczebiotem zapewniła, że jeszcze tu powróci. Co do mnie i Natalii, to miałyśmy już dawno zrobioną rezerwację na kilka lat naprzód. Tak po prostu, na wszelki wypadek.

Na parkingu Maciek z udręczoną miną upychał niemieszczące się w żaden sposób bagaże z tyłu wozu. Między nim a Hanką wyczuwało się rozrzucone od dawna pole elektryczne, a może nawet minowe. Ona siedziała naburmuszona w swoim turbanie na miejscu obok kierowcy i w zajadłym milczeniu klikała coś w swoim telefonie. Natalia odsunęła Maćka stanowczym ruchem i jak to ona, w sekundę ułożyła nasze rzeczy, szczerlnie i precyzyjnie wypełniając tył samochodu. Zapasy wody, gumy do żucia i energetyków postawiła nam w przegródkach przy siedzeniach. Wreszcie mogliśmy ruszać. Przypięłam sobie oraz mamusię pasami, a suczkę ulokowałam wygodnie na kocyku na siedzeniu obok mnie. Natalia rozłożyła w tym czasie swoje długie wygimnastykowane ciało w ostatnim rzędzie vana, i tak zaczęła się nasza długa droga powrotna.

Maciek prowadził ostrożnie, przepuszczając przodem dawców organów na jednośladach pędzących watahami na oślep i rozhisteryzowanych niedzielnych kierowców. Ale na autostradzie rozpędził się, co zauważyłam z lekkim przerażeniem, i to aż do stu sześćdziesięciu na godzinę. Mamusia z Natalią spały, Sonia także posapywała, położywszy mi łepkę na kolanach. Hanka, milcząc, wpatrywała się w okno. Szemrało radio nastawione na wiadomości dla kierowców.

Po dwóch godzinach zaczął siąpić deszczyk. I nagle coś się stało. Usłyszałam najpierw dziwny trzask, a potem huk.

W samochodzie przed nami pękła opona. Krzyknęłam do Maćka, żeby uważał. Wszyscy kierowcy jadący za pechowcem, łącznie z nami, zaczęli gwałtownie hamować. Staraliśmy się ominąć kręcącego się w kółko fiata. Maciek słynął z tego, że zawsze obsesyjnie dbał o samochód i ogumienie, ale jego auto także wykonało klasycznego młynka. Van wyraźnie nie chciał Maćka słuchać i ślizgał się po tafli asfaltu jak po lodzie. O milimetry minęliśmy mini morissa i stare volvo i wjechaliśmy z rozpędem w gęstą trawę, na pas oddzielający dwa kierunki jazdy. Rozbudzona mamusia wrzasnęła. Natalia spadła z hukiem z tylnego siedzenia, a ja błyskawicznie złapałam suczkę i przycisnęłam ją do serca ze wszystkich sił. Trwało to wszystko w sumie może z piętnaście sekund. Ale i tak całe życie przemknęło mi przed oczami. Trzeba oddać Maćkowi, że dopiero gdy samochód stanął, ryknął na Bogu

ducha winną Hanke:

– Kto, do cholery ciężkiej, majstrował mi przy ogumieniu? W ogóle się nie trzyma drogi! Miliony człowiek płaci za te ABS-y. Psu w dupę, z przeproszeniem Soni, to wszystko!

Hanka z furią otworzyła drzwi.

– Zamknij się! Dobrze, że żyjemy! Kogo niby obchodzą twoje opony? Kretyn! – I wyszła boso wprost na mokrą gęstą trawę.

– Cisza! – krzyknęłam znowu bez sensu, nie wiadomo do kogo, i dysząc jeszcze z emocji, odstawiłam zestresowanego psa na siedzenie obok.

Natalia powoli zaczęła zbierać się z podłogi. Podałam mamusi torebkę, która utknęła między fotelami. Miała tam swoje leki na serce. Wzięła szybko tabletkę i wsadziła ją sobie pod język. Kiwnęłam głową Maćkowi w lusterku, że u nas wszystko OK. Natalia nabiła sobie siniaka, no i wszystkie najadłyśmy się porządnie strachu, ale poza tym nic się nie stało. Pozbierałam z podłogi butelki z wodą i drobiazgi, które wypadły mi z torby plażowej.

Maciek wyszedł z samochodu, żeby zadzwonić po pomoc drogową i okiełznać Hanke. Byliśmy już w pobliżu Torunia, mniej więcej w połowie drogi. Ale Maciek zdecydowanie nie chciał jechać dalej na zdartych do cna oponach. Zadzwoniłam do Kudelki, prosząc o pomoc. Odebrał natychmiast, przypominając mi, że parę samochodów za nami jedzie Migdał. Ale on miał pozostać incognito, więc wysłał nam wóz patrolowy od kolegów z Torunia. Jak się uda, dowiozą nas do rogatek Warszawy, a tam się coś wymyśli.

Ucieszona powróciłam do samochodu, żeby zdać relację pozostałym podróżnikom. Maciek po oględzinach doszedł do wniosku, że samochód wymaga przeglądu hamulców oraz wymiany dwóch z trzech opon. Powtórzył, że on nim dalej na pewno nie pojedzie. Zadzwonił i po krótkiej rozmowie postanowił poczekać na pomoc drogową. Usiadł na masce samochodu i spokojnie zapalił papierosa. Hanka, wściekła jak osa, wyszarpała swoją torebkę i zaczęła machać na samochody jadące w stronę Warszawy, całkowicie ignorując moje informacje o rychłej pomocy policji.

Otworzyłam drzwi samochodu na oścież i postawiłam w gęstej trawie suczkę, która – zachwycona przerwą w podróży – zaczęła się w niej tarzać z łapami w górze. Nalałam jej wody do miski podróżnej i rozdałam także butelki mamusi i Natalii, która uważnie oglądała swoje siniaki i pisała SMS. Do Stacha, jak sądziłam.

Mamusia pozostała na przednim siedzeniu, wyjęła „Jolkę” i długopis i śliniąc jego koniec, powróciła spokojnie do ulubionej rozrywki. Usiadłam obok suczki na trawie, łyknęłam wody i pilnie lustrując pobocze, czekałam na obiecaną pomoc. Nadjechali mniej więcej po pół godzinie, większym od naszego samochodem z ogromnym bagażnikiem. Migdał zadzwonił do mnie wcześniej, informując, że podał im dokładnie nasze położenie. Funkcjonariusze szybko załadowali bagaże i nas trzy, bez Hanka, która stanowczo tkwiła na poboczu i odmawiała współpracy.

Zostawiłyśmy ją więc w spokoju. Tym bardziej że pomoc drogowa przyjechała tuż po policji. Podjęła się holowania Maćka aż do serwisu do samej stolicy. Byłam pewna, że ostatecznie Hanka wsiądzie i pojedą razem. Dobrze wiedziałam, na co ich oboje stać. Nie raz ich talerze latały mi nad głową. W naszej biurowej i prywatnej Maćka kuchni. Szybkie, gwałtowne burze to był ich chleb powszedni.

Ta akurat miłość kwitła w atmosferze ciągłych awantur. Póki co, oczywiście. Znając Maćka, nie dawałam im szansy na związek dłuższy niż półtora roku. Hanka miała ognisty temperament i proporcjonalne do niego wymagania. A Maciek lubił mieć święty spokój i zapas pieniędzy na koncie. Poza tym patrzył na nią chwilami już z wyraźnym brakiem sympatii. Oczywiście gdy ona tego nie widziała. Bo czuć musiała to już na pewno. I to od dawna.

Smutne, ale takie i podobne historie miłosne Maćka znałam od podszewki. Tak jak i dwie były żony oraz wszystkie kolejne dziewczyny. Dla zasady nie zaprzyjaźniałam się z żadną. Choć niektóre bywały bardzo fajne. No ale Hanka do nich nie należała. Zdecydowanie.

Uściskałam go więc tylko ze współczuciem na pożegnanie, obiecując, że pojawię się w biurze już nazajutrz. Co przyjął chyba z ulgą. Ten związek też jakoś musiałam w końcu zakończyć. By zawodowo ruszyć dalej.

Policjanci byli dla nas nadzwyczaj uprzejmi. Mamusię usadziłam z przodu, a my z Natalią, wraz z suczką i taktownym rudzielcem w mundurze, ulokowałyśmy się wygodnie z tyłu, w drugim rzędzie foteli. Zapięłyśmy pasy i postanowiłyśmy się zdrzemnąć. Kierowca okazał się amatorem krzyżówek, więc mamusia ochoczo wciągnęła go w jolkowe szaleństwo. Przymknęłam oczy i z poczuciem względnego bezpieczeństwa zapadłam w płytki i męczący sen, w trakcie którego goniłam kogoś nieustannie, sama byłam goniona lub pożerana w basenie przez rekina. W rezultacie obudziłam się zmęczona, z bolącym od podglówka karkiem i zaschniętymi ustami, zapchanymi klimatyzacyjnymi atrakcjami, na które byłam uczulona. Otworzyłam okno i szybko łyknęłam zyrtec.

– Uczulenie? – spytał wielbiciel krzyżówek i posłusznie wyłączył klimę.

– Tak – przytaknęłam. – Daleko jeszcze?

– Z sześćdziesiąt kilometrów. Godzina i będzie pani w domu. Odwieziemy pod klatkę wszystkie panie, inaczej Rysiek nam łby pourywa. – Mrugnął do mnie w lusterku i dopiero wtedy zauważyłam, jak bardzo był przystojny.

– Pod dom? – Mamusia ocknęła się gwałtownie. – To musi pan wpaść do nas na chwilę po tak długiej podróży!

Rozpoczęły się namawiania i podziękowania, w wyniku których przystojniak się poddał, a milczący rudzielec z tyłu, znacząco mrugając w lusterku, dodawał mu otuchy.

Wjazd do Warszawy był o tej nocnej już porze prosty. Nie było żadnego problemu z tym, aby sprawnie przemknąć przez miasto. Koło pierwszej w nocy zaparkowaliśmy przed moim domem i wszyscy zgodnie weszliśmy na górę. Miałam, od kiedy mieszkałam na Mokotowie, zapewnioną pomoc na czas nieobecności. W osobie bezrobotnego sąsiada, tłumacza i cyklisty w jednej osobie. Wiedziałam więc, że dom jest czysty, kwiaty podlane, a w lodówce zastanę podstawowe produkty na śniadanie. Kostek dbał także o mój rower w piwnicy i wyprowadzał Sonię, gdy pracowałam do późna. Płaciłam mu trzysta złotych miesięcznie za wszystko, łącznie z regularnym cotygodniowym sprzątnięciem. Był bardzo sumienny, zamknięty w sobie i staranny oraz dyskretny. Jako mało przebojowy anglista, piszący wiersze i grający na gitarze, udzielał też sporadycznie lekcji i urzędował w różnych domach kameralne minikoncerty. Jakoś sobie dawał radę. Nawet się trochę zakolegowaliśmy. Jeśli uznać za kontakt koleżeński milczące picie herbaty na balkonie, podczas którego ja czytałam, a on dokonywał kolejnych napraw i ulepszeń w moim przestronnym M1.

Mamusia natychmiast rozpanoszyła się w łazience, gdzie – jestem tego pewna – poprawiała sobie makijaż. Natalia poszła z suczką do pokoju, by przygotować jej poślancko po podróży. Ja w tym czasie zabawiałam rozmową przystojnego Kamila i rudzielca – Kacpra – z wrodzoną sobie gracją, zaparzając jednocześnie kawę i produkując spore ilości tostów z szynką, żółtym serem i jednym jedynym, samotnym pomidorem, którego Kostek roztropnie zakupił. Kamil od razu zaraportował Kudelce, że dotarliśmy bezpiecznie i że po krótkiej przerwie natychmiast wracają do Torunia. Mieli się tam spotkać nazajutrz. Usiłowałam im wcisnąć jakieś pieniądze za benzynę, ale chórem zaprotestowali, że „to już z Ryśkiem załatwione”, bo „gdyby nie on, toby ich obu tu nie było”. Życie zawodowe im ponoć uratował kiedyś. I nie tylko zawodowe.

Wreszcie pojawiła się przy stole, szczebiocząc, mamusia i zasiedliśmy wspólnie do nocnego posiłku. Kanapki zniknęły, a policjanci nie mogli się nachwalić, jakie to dzielne i gościnne są warszawskie kobiety.

– Jesteśmy z córką przyjezdne. Tylko Natalia to rodowita warszawianka, od lat na Grochowie – uściśliła mamusia.

Po zgodnej wymianie dalszych ochów i achów policjanci pożegnali się wreszcie. Kamil odrobinę za długo patrzył mi w oczy, gdy żegnałam ich na schodach. Co poprawiło mi nastrój na tyle, że postanowiłam Kudelkę poprosić o jego telefon. Tak po prostu, na wszelki wypadek.

Mamusia zaległa z Natalią w sypialni, a ja rozłożyłam sobie królewskie poślanie na podłodze obok materacyka Soni. Karimata, koc, poduszka i mała lampka zapalona na podłodze. Ale sen nie nadchodził. Przed oczami wciąż miałam wypadek, przypominały mi się kadry z naszych krótkich i pełnych atrakcji kryminalnych wakacji. O dziwo, Zbyszek wyświecił mi się pod powiekami tylko raz.

W momencie gdy analizowałam chyba po raz setny tajemniczą napaść na Natalię z telefonem. Czy ten wysoki zakapturzony gość to mógł być on? Raczej nie. Ohydny Zbyszek wiecznie demonstrował swoją wielką niechęć do sportu i rekreacji. Chodził, owszem, ale tylko raz w tygodniu na squasha na Solcu. Z powodów biznesowych. I szczerze tego nie znośił. Bieganie po miejscami wąskiej i ostro schodzącej w dół skarpie wymagało nie lada zręczności. Że już o galopie plażą nie wspomnę. To akurat wiedziałam doskonale: ile wysiłku kosztowało chociażby miarowe kłusowanie od rzeczki do schodów. Nie, to nie mógł być on. Ale w takim razie kto?!

Usnęłam wreszcie z długopisem w zaciśniętej pięści. Zawsze, jako zawodowy dziennikarz na dorobku, miałam pod ręką notes i coś do pisania. Chyba zmog-ło mnie na chwilę przed zapisaniem hipotezy, która oczywiście bezpowrotnie przepadła gdzieś w tyle mojej głowy zaraz po przebudzeniu.

Słyszałam już ekspres do kawy w kuchni i Natalię, która rozmawiała szeptem ze Stachem, informując go, że niebawem będzie w Legalnej. Najwyraźniej postawiła wszystko na jedną kartę, czyli na trzeźwe życie u jego boku. Nie liczyłam, który to już raz, ale – jak zawsze – bardzo życzyłam jej opamiętania się w porę. Mamusia poświętywała sobie rażno w rytm przebojów radiowej Trójki i szykowała śniadanie. Od czasów Metza było tam sporo polskich kawałków, w tym nieoceniony Zbigniew Wodecki, którego *Izoldę* mamusia ceniła bardzo wysoko. Wiedziałam, że ma ona także szósty zmysł i że gdy tylko otworzę oczy, pojawi się przy mnie natychmiast i zacznie ożywioną narrację jednoosobową. Sonia trąciła mnie wilgotnym noskiem w stopę i wtedy wreszcie się poddałam.

– Już wychodziła – oznajmiła mamusia tonem generała z porannego capstrzyku – bo oczywiście ty byś to biedne zwierzę trzymała do południa bez sikania. Kawa zaraz będzie. Jajko na miękko czy w szklance?

– Jajko? A skąd my mamy jajka? – zdziwiłam się mało inteligentnie.

– Ja wiem, że to zaskakujące oraz ze wszech miar kontrowersyjne, ale – uwaga – ze sklepu. – Natalia przeszła mi prawie po stopach, żeby podłączyć komórkę do ładowania pod moim biurkiem.

– Natalia była w sklepie, ja wyszłam z psem i wstawiłam ci pranie. Wyrzuciłam jakieś dziwne tubki z maściami do osobnej torby przy koszu. Kto to widział: takie paskudztwa trzymać w łazience w koszyczku ode mnie na perfumy! – kontynuowała swój monolog mamusia, nakrywając do śniadania.

– Cudotwórcze maści doktor Chlebus! – Zerwałam się na równe nogi i poleciałam ratować drogocenne lekarstwa na moje rozliczne skórne alergie.

Na szczęście tkwiły jeszcze bezpiecznie w reklamówce zawieszonej na uchwycie do szafki przy zlewie. Starannie umieściłam je w szufladzie na kluczyk z apteczką i zamknęłam się na chwilę w łazience.

– Masz nierozsądnie poukładane talerze i kubki, a garnki wymagają doszorowania od spodu. Patelnię ci kupiłam beztłuszczową, a jej nie używasz wcale! – kończyła mamusia z wyraźną satysfakcją.

Widząc mnie z powrotem w zasięgu swojego godnego jastrzębia wzroku, gestem nakazała nam z Natalią usiąść do stołu. Śniadania, trzeba jej przyznać, robiła królewskie. Twarożek z ogórkiem i koprem, zwany przeze mnie pieszczotliwie gzikiem, jajka w szklance i tosty z chleba żytniego z masłem od chłopca oraz kopa pomidorów z oliwą i solą morską. Po dziesięciu dniach jedzenia pnączy, ziaren, kasz, wodnistych warzyw oraz płatków dla niemowląt była to prawdziwa orgia smaków. Jęcząc z przejedzenia, rozłożyłyśmy się z Natalią na fotelach. Po chwili jednak bohaterko wstałam. Złożyłam moje tymczasowe posłanie i zaparzyłam dobrej herbaty dla nas trzech. Oburzoną brakiem śniadania suczkę uspokoiłam resztkami twarogu z jajkiem.

Bipnął mi SMS w komórce. Znowu nieodebrane połączenie niby do mnie, a tak naprawdę do Natalii. Kolejny raz pisali i dzwonili do mnie dostawcy, a do Natalii zgłaszali się wydawcy, reklamując swoje książki. Pisałam czasem jakieś notki recenzenckie do netu. O książkach i o teatrze. Żeby nie zgłupieć i nie zwariować od tempa pracy z Maćkiem.

– Zamawiałaś jakieś dostawy mrożonych kruchych babeczek? – Podetknęłam przyjaciółce mój telefon pod nos.

– O rany! – Zerwała się. – Muszę lecieć. Odpiszę ze swojego, numer znam, pa!

I tyle ją widziałam. Wzdychając, poskładałam wszystkie posłania i pościele. Rozwiesiłam pranie

i wstawiłam nowe. Po czym gwizdnęłam na suczkę i poszliśmy razem na większe zakupy. Po drodze zapukałam do Kostka. Jak zwykle wytknął tylko zaspaną głowę i odmówił przyjęcia gotówki za zakupy. Zagroziłam mu kupnem zgrzewki piwa, co go wyraźnie ucieszyło.

U baby na dole w zieleniaku pyszniło się morze warzyw. Zakupiłam mnóstwo pomidorów, papryk i cukinii oraz ogromną sałatę i czosnek. W sklepie u pani Zosi zdobyłam biały ser, chleb i obiecaną sąsiadowi zgrzewkę piwa, co staruszka przyjęła ze zrozumieniem.

– Na frasunek dobry trunek. – Mrugnęła do mnie i dorzuciła koper w promocji.

– Na frasunek? – powtórzyłam pytająco, szukając drobnych w portfelu.

– Ano, pani mama zajrzała wcześniej rano i mówiła, że narzeczony zginął. A pani Matylda taka blada i smutna chodzi...

– Zginął, fakt – mruknęłam wściekła na gadatliwość mamusi – ale się znajdzie. I dopiero wtedy mu grozi śmierć. Z mojej ręki! – Powoli zaczynałam chyba rozumieć, że całe zło Ohydneho zniknęło z mojego życia wraz z nim.

– He, he! – Rozbawiona staruszka pomachała mi jeszcze z progu i zaczęła miotełką czyścić wejście do swojego królestwa.

Wróciłam pędem na górę, po drodze wieszając Kostkowi na kłamec obiecany trunek, gotowa do kolejnego starcia z mamusią. Ale ta leżała chytrze na kanapie z maseczką z płatków owsianych i ogórka. Puściła sobie też głośno Vivaldiego i relaksowała się w moim szlafroku. I na własnych warunkach. Przeszłam więc celowo tuż obok, głośno szeleszcząc jej nad głową starymi gazetami, które wcześniej zebrałam do wyrzucenia. Następnie władowałam zakupy do lodówki oraz napiłam psa. Zamierzałam udać się do redakcji. Kończyły mi się pieniądze na koncie, a Maciek wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że chciałby się ze mną zobaczyć po powrocie.

Mamusia twardo alienowała się w szlafroku, więc postanowiłam chwilowo nie rzucać na nią gromów, tylko rozprawić się z problemem przy kolacji. Milczała starannie na temat długości jej pobytu w Warszawie. Miałam więc czas na akcję wychowawczą. W kwestii mielenia ozorem na prawo i lewo na temat moich prywatnych spraw sercowych.

Musiałam się ubrać po miejsku, pójść do biura i szybko zabrać się do jakiejś płatnej pracy. Na koncie miałam jeszcze całe piętnaście złotych, a żelaznego zapasu oszczędności postanowiłam ambitnie nie ruszać. Sprawa spadkowa Zbyszka stanęła w miejsku. Z braku zwłok wszystko wstrzymano, a jak mi donosił na bieżąco Piękny Henio, wściekła wdowa stawała na głowie, żeby odnaleźć męża. Chciała zapewne odzyskać dostęp do tłustego konta, zanim zainteresuje się nim urząd skarbowy i prokuratura. Chcąc nie chcąc, musiałam wrócić do rzeczywistości i mocno stanąć na nogi.

Wzdychając, ubrałam się w szarobury zestaw do pracy i nawet uczesałam starannie to, co aktualnie miałam na głowie. Nie zapominając nawet o tyle czerepu, na co zazwyczaj brakowało mi już czasu i energii. Wrzuciłam również na twarz trochę pudru i błyszczczyk. Poza tym jednak prezentowałam się jak zwykle ostatnimi czasy. Zagubiona uboga krewna bez perspektyw. Czyli nie rzucałam się w oczy.

Pożegnałam mamusię krótkim komunikatem, że wracam koło siedemnastej. A wtedy wstawimy warzywa na oliwie na lekką kolację. Nie doczekałam się jednak odpowiedzi. Podrapałam więc Sonię za uchem i wyszłam.

ROZDZIAŁ 12

NAPAD

W biurze było cicho, brudno i przytulnie. Na moje oko, od mojego wyjazdu nikt nie dotykał tu biurku i podłogi. Ani szmatą, ani szczotką. Otworzyłam szeroko okna i zrobiłam porządek na swoim biurku. Następnie zniosłam śmieci z koszy do głównego pojemnika na odpady w kuchni. Tam zastałam w zlewie brudne kubki i filiżanki, więc zalałam je wrzątkiem z płynem do zmywania, żeby odmiękły. Nie będę teraz tego zmywać. Jeszcze czego!

Włączyłam sobie kuchenne radio nastawione automatycznie na stację z muzyką klasyczną i wróciłam do głównego pomieszczenia. Zachciało mi się pić. Zawsze miałam schowany w biurku zapas dobrej herbaty. Odpaliłam komputer i postanowiłam zaparzyć sobie sporą porcję. Termos i filiżankę trzymałam tuż pod blatem. Zabraniałam ich komukolwiek dotykać niemalże pod karą śmierci. Sięgnęłam pewną ręką. Było wszystko.

Wróciłam ponownie do kuchni i wstawiłam wodę. Wyparzyłam porządnie termos i wrzuciłam na jego dno dość dużo herbaty o długich zakręconych listkach. Assam był i pozostanie moim ulubionym gatunkiem. Lekko gorzkawy i cierpki świetnie korespondował z moim obecnym nastrojem. Uspokojona trochę znanym mi rytuałem przestałam się miotać między pomieszczeniami i zerknęłam do poczty. Regularnie czyściłam skrzynkę. Mimo to miałam dwadzieścia nowych maili od wczoraj. Nieźle.

Zaczęłam od tych od Maćka. Roilo się w nich od pytań dotyczących dokumentacji w sprawie Burdy. Miałam przy sobie notatki ze śledztwa Natalii, szybko więc uzupełniłam braki.

Potem przeczytałam jego mail prywatny. Proponował mi wprost dalszą pracę, prosząc tylko, abym sprawy Burdy zostawiła do wyjaśnienia policji.

Dostał zamówienie na cykl krótkich felietonów o kobietach wykonujących typowo męskie zawody. Kował, drwał, wykidajło i tym podobne. Płacili ekstra, bo jak zwykle wszystko ustalono na ostatnią chwilę. Nieocenionym źródłem informacji mógłby być dla mnie Stach. Jeszcze do niedawna pił ze wszystkimi i wszędzie. Miał znajomych w miejscach, do których dotarcie zwykle zajmowało długie tygodnie. Odpisałam ostrożnie, że chętnie. O ile i nasze ustalenia finansowe pozostaną bez zmian. I nadal będzie mi wypłacał stałą pensję.

Uznałam, że tym samym naszą kłótnię o konflikt interesów puszczamy w niepamięć. Burdą i tak zajmowała się teraz skarbowka i prokuratura, więc od tej sprawy mogłam już sobie zrobić wolne. Narodowcy – z tego, co przeczytałam na forach i portalach – wyraźnie odpuścili sobie jego obronę. Pozostał na froncie sam z pracownikami MOPS-u. Najwyraźniej także umocnionymi w jego rozliczne finansowe matactwa.

Maciek odpisał mi prawie natychmiast, że wszystko będzie po staremu. I że są teraz z Hanką u lekarza, ale prosi, abym poczekała na niego w biurze.

Zanurzyłam się ponownie w necie w poszukiwaniu informacji o aktywnych babochłopach. Póki czegoś nie znajdę na stałe, zrobię, co tam sobie Maciek będzie chciał. Radio szumiało jednostajnymi komunikatami o kolejnych przebojach muzyki klasycznej i filmowej. Rozentuzjasmowany do szaleństwa dziennikarz zadał słuchaczom pytanie z historii filmu i prawie natychmiast sam na nie odpowiedział. Wystraszony tym faktem puścił długie fragmenty muzyczne z mojego ulubionego klasyka – *Borsalino i spółka* – z Alainem Delonem w roli głównej. W fazie najpiękniejszej, ale już z zapowiedzią zgorzkniałej dojrzałości czającej się w cieniu jego zimnych błękitnych oczu. Byłoby prawie miło, gdyby nie fakt, że siedziałam tu już za długo sama. Wyraźnie czułam narastający niepokój. Nie miałam pewna, czy byłam nadal pilnowana. A jeśli tak, to przez kogo? Jadąc tych kilka przecznic samochodem, niczego i nikogo podejrzanego nie zauważyłam. Zerknęłam na zegarek. Minęła piętnasta. Jak zawsze, gdy zaczynałam pracować, czas mijał mi błyskawicznie. Wysłałam SMS do Natalii, że potrzebuję pomocy

Stacha. Z uprzejmym pytaniem, czy ona może mi to jakoś ułatwić. Tak jak przypuszczałam, oboje siedzieli w Legalnej i zapewniali mnie chórem, że tak, Stach pomoże, jak najbardziej. Ale żeby kontaktować się przez Natalię. Stach miał aktualnie tylko pożyczoną komórkę. Natalia będzie go wspierać i pilnować w abstynencji. Pokiwałam w milczeniu głową. Z podziwem.

Jednak zakochana kobieta przeniesie na plecach oblubieńcowi góry, ocean i czort wie, co jeszcze. Następnie ugotuje obiad i jeszcze mu za to podziękuje. Że miała taką cudowną możliwość. Obcowania i poświęcenia się mu. W duchu z tego drwiłam, ale w istocie nie byłam wcale lepsza. Aż zgrzytnęłam zębami ze złości, wspominając, na jakie upokorzenia narażał mnie Ohydny Zbyszek. Ile się na niego naczekałam! Ile się nadenerwowałam z powodu jego nagłych zniknięć i równie gwałtownych powrotów! Tyle że nie pił. Wręcz obsesyjnie dbał o wygląd i urodę. Własną, rzecz jasna. Moją pozostawiał mnie. I swojej surowej ocenie. Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie jego ciętych komentarzy.

Bipnęło mi coś znowu w telefonie. To Maciek informował mnie, że już jedzie. Pytał też kurtuazyjnie, czy ma coś kupić. Odpisałam złośliwie i zgodnie z prawdą, że w biurze jest brudno, chłodno i głodno. Na co nie doczekałam się już odpowiedzi. Porzuciłam na chwilę bulwersujące wpisy o paniach, które z zapalem łupały głązy w kamieniołomach w Nowosądeckiem, bo zainteresował mnie nowy mail, który przyszedł od Kudelki. Porucznik dopytywał się niby grzecznościowo o zdrowie mamusi i podróż. Ale tak naprawdę informował mnie z lekkim niepokojem, że przystojniak Kamil wypytuje go o mój numer telefonu. Ma on jednak w zachodniopomorskim oddziale policji fatalną opinię podrywacza. I dlatego Kudelka prosił mnie serdecznie, żebym się opamiętała w jego sprawie. Ani myślałam! Zapewniał mnie, że jestem pilnowana w dzień i w nocy. Ale gdy organa śledzą mnie, to mamusia pozostaje bez nadzoru. I stąd słuszna sugestia, aby rodzicielka nie ruszała się z mojej klitki na krok, nim ja do niej nie dotrę.

Na koniec zawiadamał mnie, że powraca niebawem do stolicy, a wtedy na pewno się jakoś zobaczymy. Ale dyskretnie. Bo nadal mam grać osobę wystraszoną, pilnie pracującą i unikającą organów ścigania. Jak ognia i zarazy. Pomyślałam chwilę i odpisałam mu krótko: *Wiem więc, co mam robić. Do zobaczenia!*

Po czym zadzwoniłam do mamusi. Odebrała po chwili. Sądząc po tonie, była w trakcie odkrywania jakichś moich kolejnych sekretów, czyli przewracania mi mieszkania do góry nogami.

– Ekhm, hm, tak? Słucham cię, moje dziecko!

– Mamusia się nie rusza z domu, mam nadzieję – zaatakowałam wprost.

– Nie. A niby po co? Zakupy zrobione. Pies śpi. A tu jest taki bałagan w łazience, że pozwoliłam sobie...

– Niech sobie mamusia pozwala w ograniczonym zakresie, dobrze? Wrócę i od razu zobaczę, gdzie zapuszczałaś żurawia!

– Wypraszam sobie! – fuknęła mamusia. I się rozłączyła.

Jej bezpieczeństwo miałam póki co z głowy. Liczyła się dla niej teraz każda bezcenna minuta beze mnie. I dlatego byłam pewna, że nie opuści mojego mieszkania na krok.

Nieoczekiwanie zadzwonił telefon, ale nikt się nie odezwał. Odłożyłam słuchawkę i wstałam na chwilę, żeby rozprostować kości. I właśnie wtedy coś niespodziewanie błysnęło w oknie. Tak jakby ktoś bawił się lusterkiem odbijającym światło. Nie wiem, co kazało mi to zrobić, ale wykonałam klasyczny pad do przodu. Przez otwarte okno z hukiem wpadł do biura ogromny kamień i z rumorem wylądował tuż obok postumentu Maćka z jego nagrodami za dorobek. Postument zachwiał się i kryształowa statuetka za cykl reportaży o niepełnosprawnych szermierzach runęła z hukiem, rozpadając się na tysiące kawałków. Ani chybi dostałabym tym obuchem w łeb i straciła przytomność. Jeśli nie więcej. Zamarłam. Po chwili usłyszałam trzask zamykanych drzwi od samochodu i tupot stóp pędzącego w górę po schodach ktosia, który to ktoś załomotał do drzwi wejściowych.

– Matylda, żyjesz? Otwórz! To ja! – krzyknął ktoś.

– Maciek! – Dopadłam drzwi i otworzyłam je z rozmachem, wciągając go błyskawicznie do środka.

– Jezu, co to było?! Waliałaś w biurko młotem czy co? – Mój szef dyszał i rozglądał się po

pobojowisku.

– Maciek, ktoś chciał, ktoś... – Nie dokończyłam i osunęłam się po ścianie na podłogę.

– Matylda! – krzyknął Maciek.

Gdy się ocknęłam, leżałam na kanapie w kanciapie. Z kompresem z mokrego ręcznika na głowie. Wpatrywały się we mnie dwie osoby. Maciek i jakiś facet w czapce z daszkiem. Kogoś mi przypominał.

– Nie gapcie się tak – burknęłam. Byłam pewna, że się rozmazałam, potargałam i ogólnie nie nadawałam się do oglądania z tak bliska.

– Mati, sierżant Matewka pilnuje cię na rozkaz Kudelki i teraz miejsca sobie znaleźć nie może... Jego kolega został na dole. – Wystartował z uprzejmościami mój szef.

– Ja myślę! – Poderwałam się oburzona z pseudoszezlongu po jakiejś amerykańskiej dyplomacie. Syknęłam i usiadłam ponownie. Coś mnie bardzo nieprzyjemnie zakłuło w lewej skroni. A ręcznik z kompresem zleciał mi z głowy.

– Pani Matyldo! – Wspomniany Matewka wyprężył się, podając mi po rycersku kompres. – Wiemy, z którego okna wyrzucono kamień. Już wszystko badamy!

– Pięknie! A wiadomo, kto we mnie miotał? – syknęłam.

– Dorwiemy go! – zapewnił żarliwie.

– Mati. – Maciek przysunął sobie krzesło i złapał mnie za rękę. – Bardzo nam zależy, żebyś dokładnie powiedziała, co robiłaś na chwilę przed tym napadem.

– Napadem? – zachnęłam się. – Siedziałam przy swoim biurku, a potem ruszyłam w stronę twojego.

– Może ten gość wziął cię za mnie. – Maciek spojrzał na mnie. A potem na swoje ubranie.

Rzeczywiście, byłam w spodniach, kurtce, włosy miałam zaczesane do tyłu. Od biedy można mnie było uznać za faceta... W sumie ubraliśmy się podobnie. Luźne beżowe rozpinane bluzy, szarobure portki... Tylko siwa głowa Maćka oraz broda wyraźnie go ode mnie odróżniały. No i płeć... Matewka spojrzał na nas przeciągle i z westchnieniem przysunął sobie krzesło.

– Na razie nie wzywam tu ekipy. Porucznik prosił, żeby było dyskretnie. Ale niech pan powie szczerze, ktoś panu groził? – zwrócił się do Maćka.

Ten wstał i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu. Znając go tyle lat, wiedziałam, że będzie się teraz ze wszystkich sił wykręcał od odpowiedzi.

– Maciek, mów nam zaraz, o co tu chodzi! Kręcisz od początku! – krzyknęłam na niego.

– Spokojnie, myślę. – I chodził dalej.

– Tu nie ma co myśleć! Czas ujawnić to i owo. – Słowa Matewki zabrzmiały twardo i ostrzegawczo. Wreszcie Maciek podjął decyzję. Usiadł, splótł dłonie na kolanach i zaczął opowiadać.

– Dobra. Powiem tak ogólnie. Burda umoczył forszę na mój projekt. Wziąłem kredyt, żeby opłacić ludzi, i wkurwiony pojechałem latem do Koszalina, żeby się z nim rozmówić. Zastałem zastraszonego gościa. Trząśł portkami. Nie wiem przed kim. Przysięgał, że nie ma tych pieniędzy i nigdy ich nie zobaczy z powrotem.

– No i? – dociskałam.

– Dowiedziałem się od dziennikarzy z gazety, znam ich tam kilku – ciągnął Maciek – że narodowcy budują sobie wielki obiekt pod miastem. I że Burda ich finansuje. A oni mają go w garści.

– I zaczęłaś prywatne dziennikarskie śledztwo, tak? – domyśliłam się.

– Panie! – Tym razem nie wytrzymał Matewka. – Od tego jesteśmy my!

– Wy, wy! – prychnął Maciek. – Pod nosem wam mordują ludzi, a wy nic! Burda od lat trzęsie całym miastem. Wszędzie ma wtyki!

– Czego się dowiedziałeś? – nie odpuszczałam.

– Wszystko jest na dyskach zakopanych pod kwiatkami u mnie na tarasie – mruknął. – Więcej wam nie powiem. Boję się. O Hanke, dzieciaki i w ogóle.

Matewkę poderwało na równe nogi. Złapał za komórkę i gdzieś zadzwonił.

– Adres! – warknął i odwrócił się do Maćka.

– Józefosław, Makowa dwanaście – odburknął. – Hanka śpi, dam wam klucze.

– Nie pojedziesz z nimi? – zdziwiłam się.

– Nie, najpierw tu pozamykamy i odwiozę ciebie. Nie możesz prowadzić. Potem wrócę po swój samochód.

– Pan tu niczego nie rusza. Jutro zbadamy ślady!

Matewka ostrożnie podszedł do kamienia, zawinął go w folię i z niejakim wysiłkiem umieścił w swojej torbie.

– To chodźmy! – Podniosłam się wreszcie. – Trzeba tu jeszcze wszystko pozamykać.

Trochę nam zajęło z Maćkiem doprowadzanie biura do względnego porządku, bez naruszania śladów po wybiciu okna. Pozamykaliśmy te okna, które były całe, a wybite Maciek zabezpieczył dyktą i mocną taśmą klejącą. Sprawdziliśmy jeszcze wszystkie zamki i zamówiliśmy szklarza. Dopiero potem Matewka ruszył po materiały do domu Maćka, a my zeszliśmy do samochodu. Całą drogę do mojego domu milczeliśmy. Dopiero gdy wysiadałam, Maciek złapał mnie za rękę.

– Mati, Hanka jest bardzo chora.

– Jezu, mów... – Usiadłam znowu.

– Rak wątroby, naświetlania. Dowiesz się różnych rzeczy. Nie ze wszystkich jestem dumny. Ale wszystko to robiłem dla niej. Kuracja w prywatnej klinice w Niemczech kosztuje fortunę.

– Mówiłeś, że się rozstajecie...

– Teraz to już nie ma znaczenia. Walczymy. Przecież teraz nie odejdę. Byłbym ostatnim...

Wiesz.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Po czym uścisnęłam go i wysiadłam. Weszłam do klatki, ale nie chciało mi się wchodzić jeszcze do domu. Usiadłam na schodkach i wyjęłam telefon. Spontanicznie wystukałam SMS do Kudelki. Napisałam, że gadałam z Maćkiem, że jest umoczony w brudach Burdy, potrzebuje kasy na leczenie flamy. Że zostawiam to, ale nadal razem pracujemy.

Odpowiedź Kudelki przyszła błyskawicznie: *Wiem, kończymy raport. Zostaw to mnie.*

Poczułam ulgę i równocześnie też ogromne zmęczenie. Na samą myśl, że mam teraz konwersować z mamusią na temat mojego skandalicznego prowadzenia domu, zrobiło mi się słabo. Bohatersko pokonałam jednak dwa wysokie piętra stromych schodów i weszłam. Powitała mnie radość suczki i cisza. Bogowie! Mamusi nie było! Zajrzałam do kuchni. W głębokiej patelni bulgotały warzywa na beźmięsny bałkański gulasz. A w sitku na parze nad garnkiem dochodził ryż. Ale gdzie była autorka tego kulinarnego cudu? Szczebiot dobiegający z dołu ujawnił resztę.

Mamusia radośnie konwersowała z Kostkiem, siłą, jak sądzę, zaciągając go na kolację. Po chwili rzeczywiście oboje stanęli w drzwiach i zawiśli spojrzeniem na mnie. Moja rodzicielka nie byłaby sobą, gdyby nie zapytała:

– Jak to? Nie przebrałaś się do kolacji?

– Mamo – warknęłam – jestem wykończona. Jemy tu czy w kuchni?

– Tu oczywiście. Nakryj ładnie dla naszego gościa. – Przysięgam, że zatrzepotała przy tym rękami. A Kostek zrobił głupią minę.

Gjuwecz udał jej się na medal. Znalazłam nawet w lodówce butelkę białego wina. Ucztowaliśmy więc zgodnie, aż talerze całkowicie opustoszały. Wstałam, żeby pozmywać i zrobić coś ciepłego do picia. I wtedy właśnie mamusia zapytała zrzęcznie:

– Panie Konstanty, czy wy się od dawna przyjaźnicie z Matyldą?

– Od dawna to nie. Ale ogólnie to tak – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– A pan to taka złota rączka, zdaje się...

– Można tak powiedzieć... – Kostek spojrzał na mnie pytająco.

Wzruszyłam ramionami i wzniosłam oczy do sufitu, bo – jak przeczuwałam – był to dopiero początek przesłuchania.

– A tak konkretnie – ciągnęła mamusia – to co pan potrafi w domu naprawić?

– Hmm. Niech pomyślę. Jeśli chodzi o to, co do tej pory dałem radę zrobić u Matyldy, to umiem naprawić kran i odpływ, a konkretnie wymienić uszczelkę. Przetkać odpływ w wannie. Rozmontować pralkę, żeby wyjąć fiszbin. Pomalować mieszkanie. Skręcić komodę. Wyprać dywan. Zdemontować,

oczyścić, naprawić i zamontować żaluzje. Poskręcać i skleić rozchwiane krzesła, łóżko, stół. Przykleić odłazące klepki. Zbudować panele akustyczne. Naprawić spłuczkę. Wymienić zawiasy i okucia w szafie i szafkach. Obwisłe dna szuflad i szyny wzmocnić, nasmarować i wyregulować. To chyba wszystko.

Po czym wstał i wyszedł bez pożegnania. Nie znosił takich pytań.

– Mamusia po prostu musi być taka dociekliwa jak dyżurny śledczy, prawda? – spytałam, stawiając jej z hukiem herbatę przed nosem.

– Ja?! Jak on mógł? Tak bez słowa wychodzić! No wiesz co? – Spojrzała na mnie krytycznie. – A ty się nawet nie uczesałaś!

– I dlatego wyszedł, tak?

– Nie. Wyszedł, bo mu brak ogłady towarzyskiej – oceniła mamusia po swojemu i z godnością zabrała się z herbatą na fotel, gdzie od jakiegoś czasu pochrapywała już Sonia.

– Ona zejdzie? – spytała retorycznie.

Właśnie wtedy coś we mnie pękło. Z hukiem postawiłam tacę z naczyniami na stole i wzięłam się pod boki. Mamusia chrząknęła, bo знаła mnie dobrze i wiedziała, że w szale bywam nieobliczalna. Po czym odstawiła herbatę na stoliczek koło fotela i spojrzała mi odważnie i pytająco w oczy.

– Mamo. Jutro kupię ci bilet powrotny. Na którą sobie życzysz? – wycodziłam cicho, ale wyraźnie, i podeszłam do niej bliżej. O jeden krok. I jeszcze jeden. Tego nie wytrzymała.

– Na piątą! – pisnęła i uciekła do łazienki.

Tajałam powoli. Po jakimś kwadransie byłam już w stanie oddychać normalnie. W chwilach napięcia miałam na siebie taki sposób, że kładłam się na podłodze z nogami w górę, opierałam je o ścianę i oddychałam przeponą. Umiejętność tę zawdzięczałam oczywiście Savonaroli i jego kinezjoterapii. Twierdził, że głębokie i regularne ćwiczenia oddechowe obniżają ciśnienie, niwelują napięcie i rozluźniają mięśnie twarzy. Ostatnio ciśnienie miałam wzorowe, bo wściekałam się bardzo regularnie. Miałam więc już w oddychaniu pewną wprawę. Poza tym do wyboru pozostawało mi jeszcze: uduszenie mamusi, szybki galop ulicami lub gwałtowne porządki w skrzyni w przedpokoju połączone z myciem podłóg. Ale te opcje raczej nie wchodziły w grę. Byłam dość wyczerpana ostatnimi przeżyciami i postanowiłam nie dokładać sobie fizycznych atrakcji. I raczej skupić się na psychce.

Gdy mamusia wychynęła cichutko z łazienki w turbanie z ręcznika na głowie, ujrzała mnie w pozycji trupa na podłodze, bo kończyłam właśnie rytuał relaksacyjny. Minęła mnie bez słowa. Obrażona. Weszła prosto do łóżka w mojej wnęce, zwanej szumnie sypialnią, i błyskawicznie zgasła światło. Cudem uniknęliśmy więc kolejnego starcia. Spokojnie dokończyłam sprzątanie po kolacji, weszłam pod prysznic, na kanapie uwiłam sobie legowisko z koca i poduszki i z westchnieniem zaległam. Po chwili, mamrocząc coś do siebie po psiemu, ułożyła mi się w nogach suczka.

Sen nadszedł szybko. Byłam Indianką. Przewodziłam plemieniu walecznych kobiet, których zadaniem było uratowanie planety przed złowrogimi męskimi bandziorami – klonami Ohydneho Zbyszka. Świetnie nam szło. Wybijaliśmy jednego za drugim, aż się okazało, że na całej ziemi został tylko jeden bandzior i jego pomagier o twarzy przystojniaka z koszalińskiej policji. Wzięliśmy obu w jasyr i właśnie miałyśmy z koleżankami Indiankami spektakularnie uciąć im łby lub coś innego, gdy zadzwonił telefon.

– Matylda? – Usłyszałam głos pomagiera.

– To ty? – spytałam mało inteligentnie.

– Raczej tak – odpowiedział. – Mam szkolenie w Warszawie od przyszłego tygodnia. Może się spotkamy?

– Jasne. Zadzwoni wcześniej, to coś wymyślimy – wymamrotałam wciąż nieprzytomna.

– Obudziłem? Przepraszam, zaraz zaczynam służbę, a wtedy...

– Jasne, jasne, pa! – I rozłączyłam się.

Zerknęłam na zegarek. Siódma trzydzieści rano. Romantyk! O tej porze umawiać się na randkę mógł tylko ktoś, kto był pewien swego uroku. A on był. Z pewnością. Westchnęłam i przetarłam zaspane oczka, niechętnie wracając do rzeczywistości. W mieszkaniu było cicho. Suczka pochrapywała u moich stóp, a mamusia w zajądłym milczeniu rozwiązywała jolkę za jolką. Postanowiłam to zignorować

i zachowywać się normalnie. Wstałam, żeby zaparzyć kawę.

– Dzień dobry, chcesz kawy? – spytałam uprzejmie.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Czyli chcesz – zdecydowałam. – Dzwonił Kamil, będzie w przyszłym tygodniu w Warszawie.

Spotkamy się. Pewnie ma jakieś nowe informacje.

– Świetnie – burknęła mamusia i zakopała się pod kołdrą.

Podaliśmy jej kawę do łóżka, a sama usiadłam ze swoją na balkonie na leżaku, machając do Kostka, który na podwórku naprawiał coś przy swoim absurdalnie lekkim rowerze z cienkimi oponami do kolarstwa szosowego. Odmachał mi, pokazując na migi, że niedługo rusza na swoje wielogodzinne zmagania z wiatrem. Regularnie, parę razy w tygodniu, pokonywał osiemdziesiąt kilometrów dziennie, żeby sobie, jak twierdził, przewietrzyć mózg. Taki reset był poza moim kondycyjnym zasięgiem. Tym bardziej podziwiałam Kostka. Im więcej jeździł, tym mniej mówił. Nie wiem, czy o ten efekt mu dokładnie chodziło, ale moim zdaniem mógł szykować się nawet na igrzyska. Był chudy, zawzięty, milczący. Jadł wyłącznie makarony i warzywa, popijając to ogromnymi ilościami zdrowych zielonych koktajli owocowo-warzywnych.

Po chwili zobaczyłam, jak wskoczył na rower i szybko oddalił się uliczką w stronę alei Niepodległości.

Było już po ósmej, moja dzielnica powoli zaludniała się właścicielami mopsów i garniturowcami spieszącymi po pierwszą poranną kawę na wynos do Rusałki. Od dawna w Warszawie trwała cicha wojna o laur najpopularniejszej stołecznej śniadaniowni. Mokotowska Rusałka i ursynowski Kafelek biły się o palmę pierwszeństwa z Bułką przez Bibułkę na Puławskiej. Co do mnie, faworyzowałam Kafelka. Sprytnie ukryty między blokami był prawdziwą oazą spokoju i zdrowej żywności. Dlatego tam właśnie postanowiłam zwabić przystojniaka Kamila. Poza niewątpliwą urodą posiadał również dostęp do informacji, których Kudelka sukcesywnie mi skąpił, a o których Piękny Henio tylko napomykał. Od miesiąca już prawie poszukiwano Zbyszka, a ściślej – jego zwłok. I nic. Przecież człowiek nie może tak wyparować bez śladu! Są jakieś GPS-y, kamery w laptopach i inne cuda techniki. Policja regularnie przegląda podejrzane fora i strony. A wytrwałość skarbowki i prokuratury w poszukiwaniu dłużników podobno nie ma sobie równych!

Cały czas miałam też dziwne wrażenie, jakby ktoś mnie śledził i donosił Zbyszkowi o wszystkim, co się ze mną dzieje. Głupie to, ale byłam tego granitowo pewna. Marta na szczęście odczepiła się ode mnie. Przynajmniej na razie. Od kiedy dostała klucze do domu pod Mieleniem i niczego ciekawego tam nie znalazła, dała mi spokój. Maćka miałam spotkać niebawem w pracy, jak tylko wrócę z dworca z biletem dla mamusi, która to mamusia właśnie nastawiła sobie poranny serwis informacyjny i z lubością wsłuchiwała się w informacje pogodowe. Pozostało mi więc wypytanie o wszystko Kudelki i Kamila oraz rozmowa ze Stachem.

Póki co postawiłam na sport. Weszłam do pokoju, narzuciłam na siebie dres, włożyłam tenisówki i gwizdnęłam na suczkę.

– Idę na poranną przebieżkę – poinformowałam mamusię i na wszelki wypadek od razu wyszłam. Szybko zbiegłam ze schodów i razem z suczką ruszyliśmy truchtem w stronę Niepodległości. Po drugiej stronie alei pyszniły się wypielęgnowane skwerki, po których uwielbiała tarzać się i biegać Sonia.

Po dwudziestu minutach, klucząc, dobiegłyśmy do Wołoskiej i zgodnie zawróciłyśmy. Już miałam skręcać w stronę zieleniaka pani Zosi po jakieś suszone owoce do owsianki, gdy nagły, narastający i ciężki tupot stóp za mną zmroził mi serce.

Odczekałam chwilę i wyprowadziłam klasyczny cios z pięści do tyłu, celując w okolice brzucha. Napastnik jęknął i zgiął się wpół. Dopiero wtedy odwróciłam się całkowicie, by mu się przyjrzeć. Był w zwyczajnym, nierzucającym się w oczy stroju, za to miał wyglancowane na połysk buty. Był czerwony na twarzy i bardzo, ale to bardzo zły.

– Ładnie to tak straszyć kobiety o poranku? – zagadnęłam go wesoło.

Porucznik Ryszard Kudelka z wyraźnym wstrętem spojrział na mnie i psa. Przysiadł na krawężniku zgięty wpół i zaczął powoli odzyskiwać naturalne barwy.

– Jeszcze trochę i zacznę cię wiązać i kneblować dla twojego i mojego bezpieczeństwa – wycedził.

– Na kneblowanie nie zgodzę się nigdy! – zapewniłam go z błyskiem w oku. – Co ty tu robisz?

– Pilnuję cię, bo Matewka ugrzązł w Józefosławiu z dyskami.

– Maciek będzie dziś w pracy? – spytałam go niby od niechcienia.

– Nie liczyłbym na to. – Kudelka rozprostował się już do swoich normalnych rozmiarów i nadal przyglądał mi się z zastanowieniem.

– Mam coś na nosie? – spytałam go uprzejmie.

– Nie, w spojrzeniu. Wyraźnie zhardziałaś – dodał zaczepnie.

– Dobra, Kudelka, dosyć tych gierek. Muszę wiedzieć to i owo. Idziemy po owoce, a później zapraszam cię na owsiankę z mamusią.

– Klotylda jeszcze nie wyjechała? – Porucznik ucieszył się nie wiadomo dlaczego.

– Ale zaraz wyjeżdża, to ostatnia szansa na herbatkę ze starszą panią. Ruszamy!

Mamusia okazała umiarkowany entuzjazm na wieść o owsiance, ale niezmiernie ucieszył ją widok Kudelki. Błyskawicznie zaczęli sobie szczebiotać na rozmaite ważne tematy typu: pogoda, klimat i zwyczaje śniadaniowe na różnych kontynentach. Udając, że tego nie słyszę, zabrałam się do przygotowania granoli na głębokiej patelni. Z owocami suszonymi i świeżymi oraz kawą. Po chwili apetyczną breję rozdzieliłam sprawiedliwie na trzy miseczki, postawiłam na tacy z filiżankami z kawą i zaprosiłam oboje do stołu.

– Takie śniadanie! Tyle, co kot napłakał, jak pan widzi – usprawiedliwiała mnie mamusia nad wyraz uprzejmie.

– One teraz tak jedzą. Wiem. U nas na komendzie koleżanki zjadają płatki ryżowe albo gryczane. Ekologiczne – dodał porucznik uczenie, rzucając się na owsiankę.

– Śniadanie lekkie, pożywne, akurat mamusi do obiadu wystarczy – dopowiedziałam. – Walizkę zabiorę do pracy, obiad zjemy na mieście.

– Wykluczone! – zawołał Kudelka. – Ja zapraszam! Na pierogi w komendzie. Rewelacja! I oczywiście zajmę się bagażem Klotyldy. Bilet jest?

– Kupiłam w necie – mruknęłam. – Wystarczy wydrukować. A jak to się ma do naszego unikania policji dla mojego bezpieczeństwa?

– Wezwałem was na ostatnie przesłuchanie i nie miałyście innego wyjścia – podpowiedział porucznik bez troski.

Okazało się, że Kudelka przy okazji chętnie wydrukuje bilety. Wyglądało na to, że jestem tej dwójce całkowicie zbędna jako towarzystwo. Poszłam więc przesłać Kudelce z telefonu bilety i nieco się odświeżyć. W tym czasie mamusia, wdzięcznie oparta o zlew, konwersowała z porucznikiem i zmywała. Jedną ręką mieszała co pewien czas skomplikowaną potrawę dla Soni. Suczka uwielbiała jej podroby z kaszą i burakami. Ugotowane, a następnie zmiksowane na miazgę. Nie miałam do tego cierpliwości, a moja rodzicielka przeciwnie. Z rozkoszą wyprodukowała w ciągu kilku dni ogromne ilości psiego smakołyku. Od kiedy Sonia była u mnie, mamusia najwyraźniej traktowała gotowanie dla suczki jako wyraz matczynej troski. Przygotowywała karmę, a następnie pakowała ją do pojemniczków i zamrażała. Teraz była w fazie tuż przed miksowaniem i pakowaniem. Dobrze wiedziałam, kto ją w tym będzie wspierał. Pies w narkotycznym uniesieniu siedział u jej stóp i wachał powietrze. Weszłam do łazienki, wzięłam szybki prysznic, umalowałam się i nieco uczesałam. Uperfumowałam także nadgarstki i byłam gotowa do wyjścia.

– Wychodzę! – krzyknęłam tylko na pożegnanie.

– A ochrona? – Kudelka błyskawicznie zmaterializował się obok mnie.

– Jaka ochrona? To trzy przecznice. Daj spokój, Kudelka.

– O nie, mowy nie ma! Będę tuż za tobą. Klotyldo, oczekuj mnie za pół godziny! – dodał jak w kiepskim romansie.

– Będę gotowa za godzinę! – zaszczebiotała na to mamusia.

– Doskonale więc. Do zobaczenia. Wejdę po bagaże.

– Mamo, suczka nie musi wychodzić. Nakarm ją tylko, pa! – pożegnałam się szybko, przewracając oczami na te ich karesy.

– Widzimy się na komendzie o piętnastej? – spytała mnie jeszcze mamusia dla porządku.

– A nadal jestem zaproszona? – Spojrzałam na Kudelkę zaczepnie.

– Wychodzimy – zdecydował i stanowczym męskim gestem otworzył przede mną drzwi.

Z klatki wyszliśmy już osobno. Jechał za mną tak, że go nie widziałam. Szybko pokonałam dwa skrzyżowania, zaparkowałam i weszłam do biura. Było puste. Wszędzie znajdowałam ślady po działaniach ekipy dochodzeniowej. Resztki proszku do zbierania odcisków linii papilarnych, taśmy okalające miejsce po postumencie i ogólny rozgardiasz, który pozostał po rozmontowaniu sprzętu Maćka. Na moim biurku zastałam kartkę od Elki i Jacka. Prosilili o podanie lokalizacji bohaterek o męskich zawodach i wybranie stosownych terminów zdjęć i montażu z Lowelasem. Nareszcie jakieś konkrety! Zdjęłam kurtkę i nalałam sobie wody do szklanki. Komputer długo mełł przed zalogowaniem. Pewnie znowu zmienili zabezpieczenia w systemie. Zadzwoniłam więc do Stacha, na numer tymczasowy podany mi przez Natalię. Odebrał po chwili i powiadomił mnie, że już trochę myślał o mojej prośbie. I że zna kobietę, która pracowała w kopalni, nie na przodku co prawda, ale jednak pod ziemią, oraz drugą, zajmującą się kowalstwem artystycznym. Obie są na odwyku, stąd ta bliskość ich wzajemnych relacji, ale pracują i wychodzą na przepustki. Jedna przesadzała z alkoholem, a druga z narkotykami, ponieważ jej wyroby artystyczne sprzedawały się za granicą jak wściekle. Niespodziewanie doszła do bogactwa. Z którym – nieszczęsna – kompletnie nie wiedziała, co ma zrobić. I dlatego zaczęła szaleć w nocnych klubach i eksperymentować z młodymi mężczyznami i kokainą. Podziękowałam Stachowi i poprosiłam o namiary. Powiedziałam także, że niewiele, bo niewiele, ale płacimy za taki research. Ale do ręki pieniędzy ode mnie nie dostanie on, tylko Natalia. I że musi jeszcze owe panie dokładnie wypytać o to i owo, a odpowiedzi wysłać mi w punktach. A pytania zaraz mu prześlę. Skwapliwie się na to zgodził.

Szybko wysłałam mu kwestionariusz zawierający pytania ustalone z szefostwem stacji, która zamówiła u nas materiał. Czekać na odpowiedzi, wytropiłam jeszcze te baby z kamieniołomów i panią detektyw od śledzenia niewiernych w Krakowie. Była wielbicielek detektywa Marlowe'a, podobnie jak ja, więc uznałam, że się nada. A stacja jakoś to łyknie. Prywatnych detektywów w spódnicy w Polsce nie ma aż tak wiele. Odcinków w serii miało być co prawda osiem, ale dobre cztery bohaterki na początek z reguły przyciągały resztę widowni. Dostałam kolejny mail od Stacha. Z numerami telefonów i adresami mailowymi. Na kwestionariusze trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Ale obiecał, że do jutrzejszego wieczoru wszystko będzie gotowe. Skompletowałam dane w jednym pliku, opisałam każdą z bohaterek w kilku zdaniach i wysłałam to do Elki i Maćka.

Napisałam też do wszystkich bab po sążnistym mailu, każdej z osobna obiecując glorię i chwałę oraz fantastyczną przygodę na planie filmowym. Wysłałam im też propozycje kilku terminów zdjęć, zgodnie z wytycznymi Elki, i z ulgą zerknęłam na zegarek. Była już trzynasta trzydzieści. Maćka nadal ani widu, ani słyhu. Na mail też nie odpowiedział. Trudno. Wysłałam SMS do Kudelki z pytaniem, jak się widzimy z mamusią. Na co dostałam krótką i konkretną odpowiedź, że po bardzo owocnej wizycie na przecenach w Domach Towarowych Centrum udają się w kierunku Pałacu Mostowskich na pierogi, gdzie będą mnie oczekiwać około czternastej. W barze na dole. Przepustka przy wejściu. Zamknęłam laptop, biurko i zeszałam na dół.

Przy bramie grupa pijanych wyrostków skutecznie przepychanki, zanosząc się głupkowskim śmiechem i kopiąc samochody. W tym mój stary wysłużony samochód po ojcu. Auto zawył alarmem na pół miasta. Szlag mnie trafił jasny, wyłączyłam alarm zapasowymi kluczami, które zostawiałam w biurze, ale dziś wychodząc, wzięłam ze sobą, i już miałam ruszyć do boju, gdy nagle zza zakrętu wypadło dwóch mundurowych na motorynkach. Szybko dopadli herszta oraz najroślejszego z wyrostków. Uderzyli ich po nogach pałkami – od tyłu, pod kolanami – i dwaj opryszkowie, jęcząc, przysiedli na chodniku. Po czym zostali skuci. Całkiem sprawnie poszło. Reszta pijanych uciekała, aż się za nimi kurzyło. Popatrzyłam sobie na to z podziwem, zrobiła się już za kwadrans czternasta, więc zwawo ruszyłam do ocalonego auta. Jeden z funkcjonariuszy dyskretnie wystartował za mną motorynką, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że rzeczywiście jestem pilnowana na okrągło przez cały niemal

aparatu śledczy Komendy Stołecznej. Nie powiem, dodało mi to animuszu.

Ale jechałam przepisowo, celowo dając szansę bodyguardowi na motorynce na niepuszczenie ze mnie oka.

Tuż przed komendą skręcił w lewo, a ja zaparkowałam przy dobrze mi znanym granatowym opłu Kudelki. Weszłam do środka, znalazłam biuro przepustek i wyposażona w odpowiednie instrukcje postępowania dotarłam do bufetu w podziemiach, gdzie już królowała mamusia. W nowym musztardowym zakęcie i stosownie do tego dobranym szalu z przeceny. Tonem godnym królowej brytyjskiej zażądała menu, a gdy pani Krysią, falując ogromnym biustem, wskazała jej rozpiskę nad barem, ta z pewnymi oporami zgodziła się na ruskie z surówką z kapusty. Usiadłam, zamówiłam pierogi z mięsem i sok pomidorowy, a Kudelka podwójne ruskie i piwo bez procentów. Jak zapowiedział, to on zaprasza. I mamy się nie krępować z deserem. Gdyż jako stały bywalec ma tu zniżkę i bierze wszystko na zeszyt. A potem mu to ściągają z pensji. Ponadto spodziewa się premii za Burdę. Było to sprytnie posunięcie. Mamusia olśniona, pomimo iż nigdy, ale to przenigdy nie jadła deserów – najwyżej czasem skubała orzeszki – odważnie zdecydowała się na kawę i szarlotkę. Ja twardo pozostałam przy daniu głównym.

Zamiast spożywać deser, wołałam przycisnąć Kudelkę w sprawie Maćka i dysków. Jeśli teraz przymkną mi szefa, zaraz i ja będę kupować u mojej pani Zosi na zeszyt. A jakoś nie miałam na to specjalnej ochoty. Póki co jednak ruszyliśmy gwałtownie z konsumpcją. Pierogi były tego warte. Cienkie ciasto, dużo farszu. Świetnie przyprawione. Rzeczywiście pierwsza klasa.

Po konsumpcji Kudelka odsunął od siebie talerz, wyciągnął nogi pod stołem i przymknął z lubością oczy. Po chwili jednak kurtuazyjnie się uniósł, bo mamusia wstała i powiadomiła nas, że udaje się do toalety, aby poprawić makijaż przed podróżą.

– Czekałam na tę chwilę – wyznał nagle z uczuciem porucznik, mając zapewne na myśli bajeczne ruskie, a nie chwilową absencję mamusi.

– Słuchaj no, Kudelka – zaatakowałam go od razu, póki był w stanie błogości. – Co z tym Maćkiem? Wypuście go czy nie? Jak stanie produkcja, to wszyscy jesteśmy załatwieni na cacy. Nie odbiera ani telefonów, ani maili.

Kudelka nadal siedział z zamkniętymi oczami i pozornie nie reagował.

– Może tobie się wydaje, że to drobiazg, ale dla mnie to nie przelewki – kontynuowałam, wymachując widelcem, na którego czubku sterczał ostatni pieróg. – Przełał mi już na konto zaliczkę. Mam swoje płatności. Oraz plany.

– Matyldo – przemówił wreszcie stróż prawa, z wyraźną niechęcią powracając do rzeczywistości. – Tak się składa, że Maciek wykazał się sporą dozą rozsądku i zdecydował na daleko idącą współpracę. Maila i telefonu do końca tego dnia nie będzie odbierał, bo zajmują się nimi nasi technicy. Ale jutro pewnie wróci do pracy. I będzie nam dostarczał kolejnych dowodów. I lepiej – dodał jeszcze złowrogo – aby to zostało między nami. Inaczej może być różnie.

Kiwnęłam głową, bardzo podekscytowana jego odpowiedzią.

– On to wszystko robił dla Hanki – wyznałam łzawo.

– No żeż! – Kudelka nie wytrzymał. – Dla kasy raczej! I to takiej, o której nam obojgu nawet się nie śniło.

– Leczenie w Niemczech kosztuje tysiące – odpowiedziałam mu na to wyniośle.

– Tysiące euro to był jego miesięczny zarobek! Nielegalny, dodam – prychnął lekceważąco.

– Nie mów! – Przysunęłam się do niego. – Prali z Burdą brudną forszę? Z czego ta kasa? Hazard? Dziwki? Mów zaraz, bo pęknię z ciekawości!

– Matyldo, moje dziecko, a ty nie musisz się przypudrować przed podróżą? – Mamusia znienacka pojawiła się za moimi plecami, wyraźnie ratując Kudelkę przed moimi pytaniami.

– Ja się nigdzie nie wybieram. Poza dworcem – uściśliłam. – A moja uroda to już jest zasługa rodziców. Albo wina. Ale nie moja – dodałam. Na wszelki wypadek trochę ciszej.

– Radzę ci, zobacz, jak wyglądasz – powiedziała mamusia z naciskiem.

Posłusznie wstałam i udałam się do lustra. Tymczasem mamusia z Kudelką zagłębili się

w deserowe rozkosze. W toalecie spojrzałam w lustro. Istotnie. Powrót do jako takiej urody wymagał szeroko zakrojonych działań. Nie chodziło li tylko o puder. Raczej o zmasowaną akcję obejmującą co najmniej: głębokie nawilżanie, spa i laser. Że o doświadczonej i zaprawionej w bojach charakterystyce nie wspomnę... No ale cóż. Wrzuciłam trochę różu na policzki, pomalowałam usta błyszczkiem, nastroszyłam grzywkę i uznałam, że może nie jest najlepiej, ale nie mogę się dać zwariować. Na drogę do dworca wystarczy. Gdy wróciłam do bufetu, mamusia z apetytem pożerała szarlotkę, a Kudelka, pijąc swoją autorską kawę z mleczną pianką, grzecznie jej wysłuchiwał. Słabość moich kolegów do mojej matki była legendarna. Z niewiadomych dla mnie przyczyn potrafili cierpliwie i długotrwanie towarzyszyć jej w domowych porządkach, ogrodowym pieleniu i godzinnych nasiadówkach przy stole w kuchni. I to od moich najmłodszych randkowych czasów. Kudelka był tu co prawda służbowo, ale jednak jego atencja wobec mojej matki wielokrotnie przekraczała jakiegokolwiek konwenanse. Klotylda sprytnie owinęła go sobie wokół palca. Konwersowała z nim już na całkowicie prywatnej i luźnej stopie. Podeszłam, przerywając brutalnie to czułe tête-à-tête, bo zbliżała się szesnasta. W Warszawie w okolicach dworca zaparkowanie o tej porze graniczyło z cudem. Ale i na to Kudelka miał gotową receptę.

– Zawiozę was i zaparkuję na służbowym miejscu. A potem podrzucę cię, Matylda, do samochodu – oznajmił i poszedł do bufetu wpisać się do zeszytu.

– Cudownie to wszystko zaplanował. – Mamusia poprawiała sobie usta, robiąc do lusterka klasyczny dziobek.

– Sprytny to on akurat jest – przyznałam. – Bez dwóch zdań.

– Bardzo się z Ryszardem polubiliśmy – wystartowała z zapewnieniem moja rodzicielka. – Zawsze mi zależało na tym, żebyś miała przyjaciół na poziomie.

– Mamusia ma coś do Natalii? – spytałam groźnie.

– Skąd! Mam do niej słabość, jak wiesz. Choć nie lubi, biedaczka, teatru. A to rozrywka ludzi inteligentnych...

– Ale tobie chodzi raczej o Stacha – dodałam od siebie, zerkając w telefon.

– Ach, to są zupełnie inne, intymne sprawy, o których ty nie masz pojęcia – zawyrokowałam mamusia.

– Że co, proszę? – oderwałam się od ekranu telefonu, na którym sprawdzałam właśnie maile od Maćka. Niestety nadal nic nie przyszło, Kudelka miał rację. – Że niby o czym nie mam? O facetach? Miałam ich w swoim życiu paru, jak wiesz. Tyle że nie na stałe.

– Otóż to. A Stach z Natalią są ze sobą od liceum! To jest prawdziwa miłość, a nie jakieś tam te twoje fiu bzdziu. Pół roku i do widzenia!

– Uprzedzam. Mamusia stąpa po grząskim gruncie – zawarczałam.

– Oj tam, kto ci to powie, jak nie własna matka! – Pomachała mi przed nosem nowym szalem. – Ja od lat jestem z twoim ojcem – podkreśliła z dumą.

– Jesteś poza domem od trzynastu dni i tatuś nie dzwonił ani razu! Zapewne nie dzwoni z miłości, prawda?

– Regularnie wysyłamy sobie SMS-y, moja droga.

– O Jezu, mamo!

– Kiedyś, moje dziecko, jak ludzie mówili sobie „tak”, to na całe życie – rzekła mamusia z naciskiem.

– Ale teraz żyją dłużej! – odparowałam. – Mogą sobie przeszczepić skórę, zmienić płeć i się rozwieść w dwa tygodnie. Czasy się zmieniły. Związki też. Dlatego nie wtrącaj się, proszę uprzejmie, bo za siebie nie ręczę!

– Ryszardzie! – Mamusia podniosła się z godnością. – Wyjeżdżamy natychmiast!

– Już odpalam samochód! – Kudelka błyskawicznie podszedł i zobaczywszy rozszłoszczoną do białości Klotyldę, dodał: – Może po prostu ja cię, Klotyldo, odwiozę, a ty, Matyldo, wrócisz do biura, co? Maciek zaraz tam będzie. Właśnie dostałem informację, że skończył składać zeznania. Złapaliśmy też dzięki niemu sprawcę napadu w biurze – dodał z satysfakcją.

– Narodowcy? – spytałam.

– Dowiesz się. Jedź już – uciął.

– Dobrze już, dobrze. Po drodze zabiorę psa i za jakieś pół godziny będę w biurze. Mamo, poradzisz sobie?

– Jak zawsze – powiedziała sucho, ale łaskawie nadstawiła mi policzek do pocałowania na do widzenia.

Posłusznie cmoknęłam rodzicielkę, uściśnęłam ramię porucznika i z ulgą opuściłam bar. A po chwili też komendę stołeczną. Jednak tyle czasu z Klotyldą w jednym pokoju to nie przelewki. Cud, że nie doszło do rękoczynów.

Dojechałam do domu z małym opóźnieniem, bo coś nawaliło w sygnalizacji świetlnej już na Puławskiej. Zawsze zastanawiał mnie fakt, że światła nigdy nie są ustawione tak, aby człowiek mógł przejechać dwa skrzyżowania bez nerwowego zwalniania i przyspieszania co chwila. Zakładałam, że Kudelka kazał mi nadal pilnować. Ale nie miałam pojęcia, jakim cudem policja dałaby radę to zrobić, nie tracąc mnie z oczu w takim zagęszczeniu samochodów.

W domu byłam przed siedemnastą, złapałam jabłko, wzięłam suczkę pod pachę i od razu wyszłam. Pospacerowałyśmy chwilę Różaną, wsadziłam ją do samochodu i po kolejnych kilku minutach już parkowałam przed biurem na Narbutta.

ROZDZIAŁ 13

MACIEK UJAWNIA ŹRÓDŁA

Wysiadając, zobaczyłam przez okno, że Maciek już jest. Elka i Jacek także. Poczułam ulgę. Najwyraźniej wszystko powoli wracało do normy. Na górze okazało się jednak, że niezupełnie. Jacek biegał od komputera do komputera, a Elka uspokajała naszego dobroczyńcę, zapewniając, że pełna dokumentacja będzie na czas. Maciek zaś z pomocą Jacka usiłował na tablecie odtworzyć dane z pulpitu skonfiskowanego mu komputera. Bez skutku. Na to wszystko weszłam ja z psem i zadałam głupie pytanie:

– Jak tam?

– Jak, kurwa, widać. – Maciek był zły jak osa. – Wszystko mi zabrali, a backup z pendrive’a mogę sobie w dupę wsadzić, bo jest na hasło, które jest w kompie.

– Maciek, przecież ty wszystko masz na to samo hasło. Nawet ja je znam.

– Ale ponumerowane – warknął – od zera do trzystu jeden.

– Masz trzysta haseł „Lafirynda”? Na co ci tego tyle? – Oślupiałam.

– No, jak widać, tylu potrzebuję. I już! Lepiej ściąg-nij tę dokumentację i szukaj dalszych bohaterek, bo nici z przelewu!

– Już! – Dopadłam swojego komputera. Włączyłam go, spuściłam Sonię ze smyczy i szybko przyniosłam jej miskę z wodą.

Wychłęptała połowę i grzecznie położyła się pod biurkiem.

W tym czasie udało mi się zalogować do poczty i odczytać maile od Stacha, pełne malowniczych błędów ortograficznych. Ale jeśli chodzi o treść, były kompletne. Szybko zaczęłam korygować i formatować tekst. Po dwudziestu minutach pokazałam Maćkowi pełen pakiet, a on kiwnął głową, żeby wysyłać to do kanału.

Ale miałam dodać jego i Elkę do wiadomości, na wypadek gdyby jeszcze się czegoś czepiali. Bo czepiali się zawsze. Wielokrotnie. I to zazwyczaj bez powodu. Musiałam teraz wyczarować – nie wiadomo skąd – kolejne cztery babki. Przyszły mi do głowy zawody takie jak blacharz, zegarmistrz, hydraulik i spawacz. Weszłam na Facebooka i zaczęłam dręczyć znajomych dziennikarzy prasowych, którzy mieli u mnie rozmaite długie wdzięczności. Kilkoro odpowiedziało od razu. Żeńskie wersje hydraulika i spawacza miałam namierzone. Zegarmistrzynię chyba znałam sama. Miała zakład niedaleko mojego domu, na tyłach Malczewskiego. Szybko znalazłam do niej telefon. Najgorzej było z blacharką, ale może znajomy blacharz Kostka coś wyczaruje. Napisałam do sąsiada SMS, że to pilne. Odpisał szybko, że może się nada zamiast blacharki rewelacyjna babka od projektowania i składania rowerów. Jego bliska znajoma. Skarb prawdziwy z tego Kostka!

– Maciek! – krzyknęłam w stronę kanciapy. – Hydraulik, spawacz, zegarmistrz i konstruktorka rowerów wyczynowych do kolarstwa szosowego!

– Dawaj wszystkie!

– Robi się!

Wysłałam ankiety do wszystkich. Następnie zaczęłam te baby po kolei obdzwaniać i sugerować terminy zdjęć. Prawie z wszystkimi się udało. Z wyjątkiem konstruktorki. Miała pilne zlecenie i nie wychodziła ze swojego garażu, gdzie montowała swoje supercudo na jakiś wyścig we Francji. Uspokoiłam ją, że może robić swoje, a my ją tylko popodglądamy z kamerą. A na pytania z ankiety może mi odpowiedzieć ustnie przez telefon. Tuż przed dwudziestą miałam komplet informacji dla Maćka. Byliśmy wykończeni, ale w rekordowym czasie uzupełniliśmy dokumentację. Posłałam drugą turę danych. Przelew miał nadejść niebawem. Byliśmy genialni i profesjonalni. Jak zawsze!

Poszłam na chwilę do kuchni, żeby odsapnąć i docisnąć Maćka przy kawiarce. Jak zwykle krążył

wielokrotnie wokół stołu i tematu, nim doszedł do sedna.

- O co chodziło z tym miotaczem głązów? – chciałam wiedzieć.
- Straszili mnie tylko. Ty się napatoczyłaś przypadkiem – burknął.
- Kto? – Nie dawałam za wygraną.
- No ci, których się boi Burda...
- Narodowcy?
- Mati, uwierz mi, że lepiej, żebyś tego nie wiedziała.
- Maciek, przestań ściemniać, do cholery! – krzyknęłam.

Ela i Jacek czujnie podnieśli głowy znad swoich komputerów. Zajrzałam tam na chwilę i powiedziałam, że klócimy się o kasę dla Stacha, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– No więc? – docisnęłam go ponownie. Do kuchni i tematu.

– To były kontakty Zbyszka. Nie moje – wyrzucił z siebie zatrutą strzałę Maciek i zostawił mnie w kuchni samą.

Usiadłam ciężko przy stole i ukryłam twarz w dłoniach. Poleciały mi łzy. Po chwili rozkleiłam się na dobre. Staralam się jednak płakać cicho i bezgłośnie. Nie chciałam w pracy żadnych zwierzeń i kolejnych sensacji. Poza tym miotały mną dwa sprzeczne uczucia. Miłość i gniew. Jak on mógł? Tak mnie okłamywać, mataczyć, zadawać się z Bóg wie kim! Wszystko jasne. Te nagłe zniknięcia, potem drogie prezenty, weekendy w Barcelonie i Wenecji... A więc z tego miał na to wszystko! Zwykły oszust i bandzior. Kolejne dowody podłości Ohydneho pojawiały się jeden za drugim. Nowe konta, upoważnienia, których nie chciałam podpisywać. Awantury po każdej mojej odmowie. Zwykle codzienne zakupy i spotkania w sklepach znajomi Zbyszka, którzy niby przypadkiem przekazywali mu różne rzeczy. Zawsze starannie zapakowane. Nocne telefony. Tajemnicze przesyłki kurierskie, do których nie wolno mi było zaglądać. A które przychodziły zwykle nad ranem...

Wspomnienia zaczęły wracać falami. Pamiętam to, ten ciepły sierpniowy dzień, kiedy nasz romans tak pięknie rozkwitł... Siedzę na balkonie i łykam łzy upokorzenia. Jest szósta rano. Wieczorem na spotkaniu towarzyskim w gronie biznesowym Zbyszek znowu zachował się wobec mnie paskudnie. Bez przerwy pouczał mnie przy stole i raz po raz wyjaśniał średnio zainteresowanym forsiastym gościom w garniturach, że pieniądze są za trudnym tematem dla mojej ślicznej główki. Nic tak nie doprowadzało mnie do szału, jak deprecjonowanie mojej inteligencji, więc pożarliśmy się koncertowo w drodze powrotnej. Nie wpuściłam go na górę i w rezultacie tamtą upalną noc spędziłam na balkonie. Z kocem i tabletkami na uspokojenie. Wtedy obudził mnie brzęczyk domofonu. Wstałam i otulając się kocem, podeszłam do drzwi. Automatycznie wpuściłam kogoś, mając nadzieję, że to Ten Jedyne, Skruszony, Wybrany z Tysiąca. Ale nie. Wpuściłam kuriera z ogromnym bukietem róż i kopertą oraz zalakowaną paczką. Podekscytowana dałam kurierowi napiwek i niecierpliwie rozerwałam kopertę, nim jeszcze zniknął za drzwiami. W środku był list z wyznaniem miłości i bilety na weekend do Wenecji. Ani słowa przeprosin, za to prośba o przechowanie przesyłki, bo Podła Marta zrobiła się bardzo wścibska. Paczkę wrzuciłam na pawlacz i natychmiast o niej zapomniałam. Następnie wykonałam dziki taniec radości na środku pokoju i zaczęłam się pakować. Za dwie godziny miałam być na lotnisku... Klucze zostawiłam u Kostka i pobiegłam do taksówki.

Na lotnisku stał on. Przywitał mnie z uśmiechem. Wtedy nie liczyło się nic innego. Odprawa, sen w samolocie, a później wylądowaliśmy w stolicy miłości. Podrzuciliśmy walizki do hotelu, w którym mieliśmy rezerwację. Znajdował się niedaleko kanału z gondolami. Wsiadliśmy do jednej z nich i za horrendalne pieniądze przemierzaliśmy obowiązkowy szlak zakochanych. Potem była kolacja na tarasie restauracji, która prawie tonęła we wszechobecnej tam wodzie. Następnego dnia, po upojnej nocy, w trakcie której zostałam zapewniona wielokrotnie o tym, że jestem jedyną i wyśnioną, zwiedzaliśmy Pałac Dożów. Potem jeszcze zaliczyliśmy bajkowy spacer po mieście, które od lat ginie w oczach, oczarowując swoim urokiem nie mniej, niż tamten toksyczny romans. Rozpadające się domy, gnijące tynki, woda wечно wylewająca się z kanału na ulice w porze deszczowej. I hordy turystów stopniowo wyniszczają to piękne stare miasto. Do hotelu wróciliśmy późnym wieczorem... Zostałam wtedy obdarowana naszyjnikami i kolczykami z weneckich szkiełek. I wreszcie nocne picie herbaty na

Mokotowie, zanim Ohydny wróci na łono rodziny, zapominając o paczce. Czyli kocha – myślałam naiwnie i zasypiałam pełna szczęścia.

Ocknęłam się w kuchni w biurze Maćka, z dłońmi wspartymi na blacie i załzawionymi oczami. Nie ulegało wątpliwości, że byłam kiedyś zakochaną ślepą idiotką. A Ohydny za moimi plecami i na moich oczach budował jakieś zbrodnicze imperium. Przeraziła mnie też coraz wyraźniej wyłaniająca się z tego rola Maćka. Przecież wszystkie programy, artykuły, dokumentacje w okolicach Koszalina były ich wspólnym dziełem! A co, jeśli do tej pory mają jakiś kontakt? Albo co gorsza, może było tak, że jeśli Maciek mógłby skorzystać na śmierci Zbyszka, to do niej doprowadził? Kazał zwłoki na przykład podpalić jakimś podpitym gostkom, którym wciąż brakowało na flaszkę i którzy włączyli się bez celu od rana do nocy w okolicach MOPS-u? Zrobiło mi się gorąco. Musiałam to wreszcie wyjaśnić. Piękny Henio był nadal niedostępny. Postanowiłam więc poszukać szybko równie przystojnego sojusznika, czyli policjanta Kamila, i wycisnąć z niego, co się da. A także wyjść wreszcie z kuchni i wrócić do domu. Oraz zajrzeć na pawlacz.

Mokotów już spał, gdy wróciłam do mojej kamienicy i wypuszczałam suczkę na ostatni wieczorny spacer. Kostka chyba nie było. Jego okna były ciemne. A zwykle jak coś złapał w ostatniej chwili, to tłumaczył do późna. Widać wyruszył w miasto. Powoli weszłam na klatkę i zapaliłam światło. Jakiś cień pojawił się na ścianie i znikł. Zatrzymałam się w pół kroku. Sonia warknęła. Byłyśmy dopiero w połowie pierwszego piętra, gdy ponownie coś jakby przemknęło nad nami z lekkim tupotem. Nasz dom był tak zaprojektowany, że można było górą przejść nad poszczególnymi klatkami i – nie docierając do strychu – zbiec dowolnymi schodami w dół. Można było. Fakt. Tylko po co? Raz mi się to zdarzyło, gdy wymieniano pionki i potworny kurz wydobywał się na klatkę z mieszkań pode mną. Unikając zaccadzenia, latałam tak sobie dookoła przez dwa miesiące. W bonusie schudłam trzy kilogramy. Poza tym kto miałby tamtędy biegać o tej porze? Amory zwykle odbywały się u nas na strychu, a balangi przed domem na trawniku, blisko sklepu otwartego dwadzieścia cztery na siedem. Dzieciaki od dawna wolały raczej siedzieć przy grach komputerowych, niż ganiać się po korytarzach. Więc kto to mógł być, do diabła? Po chwili namysłu obie z suczką ruszyłyśmy rażno w górę i dotarłyśmy do naszego mieszkania. Było otwarte. Zrobiło mi się słabo. Opanowałam się nadludzkim wysiłkiem i pchnęłam drzwi. Otworzyły się na oścież. Puściłam Sonię przodem, licząc, że jej zachowanie coś mi podpowie. Wymacałam w torbie nożyczki krawieckie, które nosiłam od tygodni, wciąż zapominając je odłożyć na miejsce, i poczekałam jeszcze chwilę w napięciu. Cisza. Po chwili radosne odgłosy zabawy uspokoiły mnie na tyle, że rażno wkroczyłam za suczką.

W pokoju, na moim ukochanym fotelu w kwiatki, siedział porucznik Kudelka i z zapalem wyjadał resztki mamusinego gulaszu. Prosto z miseczki. Łychą, zręcznie pomagając sobie sporą pajdą chleba. Miałam więc gościa, ale kolacji już niestety nie. Została właśnie doszczętnie pożarta przez stróża prawa, który oglądał mnie sobie znowu dokładnie od stóp do głów. Przez chwilę jeszcze trawiąc w milczeniu. Aż w końcu przemówił:

– No, tak jak przypuszczałem. Styrana, zła, do tego bez żadnych zabezpieczeń.

– Jak to bez zabezpieczeń? – warknęłam, pokazując mu nożyce.

– To? – Podszedł do mnie i przyjrzał się mojej broni z lekceważeniem. Po czym starannie odłożył nożyczki na stół w kuchni. – Dobrze, że cię pilnuje prawie pluton policji, bo tym czymś raczej byś nikogo nie odstraszyła.

– Jak wszedłeś? – spytałam już w miarę normalnym głosem, zdjawszy kurtkę i nalewając Soni wody.

– Jak to jak? Miałem klucze od Klotyldy. Musimy pogadać.

– O czym? – Westchnęłam i pstryknęłam czajnik, żeby zagotować więcej wody na herbatę, czując, że coś się święci.

- O Zbyszku, Burdzie, Maćku, no i... - zawiesił głos - o tobie.
- O mnie? - Zabrzmiało to poważnie.
- Matylde, od dawna mam takie wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego - wypalił Kudelka.
- Przyganiał kocioł garnkowi - mruknęłam.

Herbatę celowo zaparzałam bardzo wolno, gorączkowo zastanawiając się, o co, u diabła, chodzi porucznikowi. Wyjęłam nawet filiżanki, ciemny cukier i pałeczki do miodu. Wszystko to nie z nagłej potrzeby elegancji, ale żeby zyskać na czasie.

- Zamierzasz jeszcze teraz upiec ciasto i usmażyć mi gar konfitur? - spytał zgryźliwie stróż prawa.

- Raczej nie. - Usiadłam posłusznie i spojrzałam uważnie na Kudelkę. - Pytaj - westchnęłam.
- Czy Zbyszek dawał ci ostatnio jakieś dokumenty do podpisu? - zapytał wprost porucznik.
- Dokumenty? - osłupiałam.
- Poręczenia, jakieś umowy na kredyt, coś takiego - wyjaśniał Kudelka cierpliwie.
- W życiu! Wcześniej próbował, ale się nie dałam. Masz mnie za kretynkę, czy co? - oburzyłam się.

- Nie. Za zakochaną idiotkę raczej - uściślił porucznik.

- No wiesz!

- OK. Zapytam inaczej. Jakie były wasze ostatnie wspólne plany?

- Wycieczka na wysepki greckie w czerwcu. Podpisałam mu jakieś papiery ubezpieczeniowe nawet. Ale nic z tego nie wyszło.

- Aha! - Kudelka się wyraźnie ucieszył. - Gdzie masz te papiery? Czytałaś je przed podpisaniem?

- Nie mam ich. On ma. Albo nie ma. Nie wiem. Nie czytałam. Małym druczkiem było nasikane. Nie miałam nigdy cierpliwości, żeby to czytać - bąkałam nieskładnie.

- No to wszystko jasne.

- Co niby? - zdziwiłam się.

- Podpisałaś mu upoważnienie do swojego konta w banku - wypalił porucznik.

- Co? - Jak stałam, tak usiadłam. - Przecież to było takie coś z nadrukiem biura podróży.

- Być może, ale między tym był papier z banku. Podpisałaś, jak leci, co?

- O rany... - jęknęłam. - Czyli jednak jestem ostatnią kretynką.

- No, hmm... Ohydny zasiliał twoje konto regularnymi wpłatami. Po kilka tysięcy. Kilkakrotnie.

- Ale przecież to nie moje konto, tylko ojca. Oszczędnościowe. Nikt tam nie zagląda od lat... - broniłam się nieporadnie.

- Owszem, zagląda. I operuje sporymi kwotami. Niewiadomego źródła. Przelewy przychodzą regularnie z konta Burdy, firmy Maćka i z jakiegoś tajemniczego zagranicznego konta z banku w Neapolu - dobił mnie porucznik.

- Jezusie, a oszczędności ojca z całego życia? - Zrobiło mi się słabo.

- Tego nikt nie ruszył. Są na długoterminowych lokatach - uspokoił mnie porucznik.

- Cham i złodziej! - krzyknęłam. - Trzeba natychmiast zablokować to konto!

- Będzie zablokowane, ale przez skarbowkę. Wiesz w ogóle, jaki jest teraz stan twoich finansów?

- Oczywiście. - Przełknęłam ślinę. - Mam dwie stałe lokaty i konto oszczędnościowe w jednym banku. Stałe konto i lokatę w drugim. Aktualnie czekam na przelew i jestem bez grosza. Bazy nie ruszam, lokat także.

- Otóż nie. Masz dwa miliony na jednym koncie, natomiast to drugie jest poważnie zadłużone. Na kilkanaście tysięcy.

- Boże kochany... - Z wrażenia podniosłam się, żeby dolać nam herbaty, ale zamiast tego, usiadłam prosto na ziemi.

- Spokojnie. - Kudelka podniósł mnie po rycersku, usadził i podał mi filiżankę. - Wszystkie konta będą zabezpieczone do wyjaśnienia.

- Od kiedy? - Odzyskałam werwę.

– Od jutra rana, a co chcesz zrobić?

– Przelać z konta na konto. Wszystko, co mi ukradł. I pozmienić hasła. Natychmiast!

Jak zapowiedziałam, tak zrobiłam. Uspokojona tym nieco, wysłałam też do Maćka SMS, że jutro potrzebuję gotówki, a nie przelewu, bo mam kłopoty z kontem. Odpisał, że oczywiście i żebym się nie martwiła. Jutro dostanę obiecaną dwa tysiące. Odetchnęłam. Po zapłaceniu rachunków zostanie mi jakiś tysiąc. Na jedzenie i benzynę musi wystarczyć. Kudelka w milczeniu obserwował moje poczynania, aż wreszcie przemówił:

– Nieźle. Umówmy się, że tego nie widziałem. Ale te dwie bańki niestety ci z konta jutro znikną. Wygląda mi na to, że o niczym nie wiedziałaś – mruknął.

– Oszalałaś chyba, Kudelka! Ja i matactwa finansowe? Też coś! Przecież do tego trzeba mieć świetną pamięć, wiedzę ekonomiczną i armię wspólników! A ja mam tylko mamusię, konto z ojcem. No i zaufaną mam tylko Natalię. Żadna z nas nie śmierdzi regularnymi dochodami ani w ogóle jakimś większym groszem.

– Ty śmierdzisz, tyle że nieświadomie – uściślił Kudelka. – No nic, może poproszę prokuratora, to ci odpuści przesłuchanie do wyjaśnienia sprawy Burdy.

– Jakiej znowu sprawy Burdy? – zaperzyłam się.

– Szczegółów ci nie zdradzę. Ale Burda pieniądze i konta fundacji wykorzystywał do jakichś machinacji finansowych ze Zbyszkciem. Nawet Maciek raz w tym pośredniczył.

– Maciek? – Zdębiałam.

– Tak, niestety. Wiem, że się przyjaźnicie. Ale od kiedy jego narzeczona choruje na raka, gwałtownie potrzebował gotówki. I wszedł z nimi w jakiś biznes. Nie wiemy jeszcze jaki. Tropy prowadzą do Włoch.

– Do Włoch? Maciek nie cierpi Włochów. A Hanka jest zapisana na eksperymentalne leczenie do prywatnej kliniki pod Monachium.

– Więcej nic nie wiem – uciął Kudelka, przypatrując mi się uważnie. – O jedno chciałbym cię prosić serdecznie. Niczego już nie podpisuj. A o każdej dziwnej rozmowie czy propozycji finansowej Maćka informuj od razu mnie. Zgoda?

– Uhm. – Kiwnęłam w milczeniu głową.

Kudelka uznał chyba, że na dziś mam już dość tych rewelacji, więc podniósł się z fotela. Podrapał jeszcze Sonię po łepku i wyszedł, po cichu zamykając za sobą drzwi. Po chwili usłyszałam, jak zamyka mnie na górny zamek. Skąd wiedział, że dolny blokuje mi wyjście z domu? Wołałam tego nie wiedzieć.

– Soniu! – ochryplym z emocji głosem zawołałam suczkę, która posłusznie wskoczyła mi na kolana. Przykryłam nas obie kocem i siedziałyśmy tak kilka dobrych kwadransów w ciszy, nim nie poczułam się na tyle zmęczona, żeby nie zapalając światła, rozebrać się, umyć zęby i szybko, rycząc z bezsilności, wsunąć się pod kołdrę.

ROZDZIAŁ 14

IRYTUJĄCE NASTĘPSTWA

Tylko w powieściach Katarzyny Michalak po takiej dawce dramatycznych i bulwersujących wiadomości bohaterka budzi się świeża, słodka i umalowana. Z głową pełną nadziei i planów na przyszłość. Oraz z pięknymi lokami. Ja bałam się spojrzeć w lustro. Jak się okazało później – słusznie. Kostek wpadł o ósmej pożyczyc kawy, ale gdy spojrział na mnie w drzwiach, to aż go zatchnęło. Po czym bez słowa, jak to on, wszedł do środka i zabrał Sonię na spacer. Powlokłam się więc pod zimny prysznic, a na twarz nałożyłam sporo kostek lodu owiniętych w ostatnią uprasowaną i czystą dzięki mamusi ścierkę do naczyń. Mniej więcej po dwudziestu minutach wytrwałego dręczenia ciała odważyłam się wyjść spod strumienia i stanąć przed lustrem.

Wyglądałam jak przejrzały pomidor, który w dodatku za długo leżał w lodowce. Spuchł, pomarszczył się nieco i stracił soczystość. Konsystencję i kolor także. Ale wciąż żyłam, myślałam i nawet coś widziałam przez te szparki, które miałam aktualnie zamiast oczu. Wzdychając ciężko, włożyłam na siebie ulubione cierpiętnicze odzienie, czyli coś będącego owocem skrzyżowania kombinezonu, piżamy i dresu o wdzięcznej nazwie Hamptons, który to owoc nabyłam w przypływie gotówki w jednej z sieciówek. Miękki, granatowy i w małe kolorowe żuczki doskonale korespondował z moim nastrojem. Był obszerny i miał ogromny kaptur, który skutecznie skrywał moje znękanе oblicze przed całym światem. Zawinęłam się w niego jak w szlafrok, zaparzyłam kawy i zrobiłam to, co zwykłam robić w przełomowych chwilach mojego życia. Zamknęłam się w sobie. Postanowiłam nie robić nic, do czasu gdy zacznę myśleć racjonalnie. Mokra włosy wsunęłam pod kaptur i zaległam na moim foteliku na balkonie z filiżanką słodkiej i mocnej kawy. Wrócił Kostek, wsypał Soni coś do miski, a sobie nalał kawy i zasiadł na progu balkonu obok mnie. Nadal bez słowa. Bardzo mu byłam za to wdzięczna. Gdyby zaczął mnie wypytywać, cała histeria i rozpacz zaczęłyby się od nowa. A tak powoli dochodziłam do siebie na balkonie, który ocieniony był krzakami fikusa należącym kiedyś do Zbyszka. Fikus wyrósł gwałtownie i stał sobie spokojnie za moimi plecami w ogromnej donicy.

Mijały minuty, kawa się nam kończyła. Kostek wyjął mi filiżankę z ręki. Poszedł pozmywać i przyrządzić sobie coś do jedzenia. Oczami spytał, czy też coś chcę. Pokręciłam przecząco głową. Zabrał się więc do robienia granoli. Na patelnię wsypał owsiankę, zalał ją odrobiną wody, po chwili dosypał świeżych owoców i posłodził to jeszcze wszystko łyżką miodu. Nałożył gotową granolę do dwóch miseczek, na wypadek gdybym jednak zmieniła zdanie co do jedzenia, i wrócił na swoje ulubione miejsce. Pachniało to nieźle. Rozpacz rozpaczą, ale przecież od owsianki nie stracę w niczym na szlachetności i urodzie, prawda? Nieśmiało zaczęłam dziobać w swojej miseczce, wyławiając najpierw kawałki gruszki z rodzynkami.

– Wyjebali mnie z projektu w kanale tematycznym – odezwał się wreszcie poetycko Kostek głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Jestem bez grosza. Masz może jakiś pomysł?

– Lekcje angielskiego dla dzieci? – wychrypiałam z głębi mojego cierpienia. – Koleżanka mnie dręczy. Bogata. Ma trójkę dzieci. Potrzebuje dla siebie i starszej córki.

– Nienawidzę uczenia bachorów, ale OK. Biorę wszystko. Nie mam nawet na chleb.

Wstałam, podeszłam do biurka i z dolnej szuflady wyjęłam kopertę z zaskórniakami. Miałam tam zawsze odłożoną jakąś gotówkę, na wypadek gdyby moje konto zaliczyło kolejny debet. Lub gdybym zapragnęła nagle wyjechać gdzieś i zniknąć na weekend. Nie ruszałam tego zapasu bez uzasadnienia. No ale Kostek to Kostek.

– Osiem stów do zwrotu. – Wręczyłam mu kopertę, zostawiając sobie trochę na zakupy. – Dopóki nie staniesz na nogi. Stołować możesz się u mnie. Za opiekę nad Sonią i mieszkaniem. Telefon do koleżanki wyślę ci SMS-em. Stoi?

– Dzięki. – Kostek wstał i przyjrzał mi się uważnie. – Granatowy to twój kolor – dodał z wyraźnym akcentem na „twój”.

Po czym zostawił mnie z tą rewelacją i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nie byłabym sobą, gdybym w takim momencie – mimo nawet największego bólu w sercu – nie podeszła do lustra i nie przyjrzała się sobie raz jeszcze. Kostek nie miał może wyższych studiów, angielskiego nauczył się, pracując na budowie w Londynie, potem zdał tylko egzamin państwowy z języka. Ale wiedział dokładnie, czego potrzebuje porzucona i oszukana kobieta. Komplement zadziałał szybciej niż armia terapeutów. Zdjęłam kaptur, wzięłam do ręki szczotkę i suszarkę i zaczęłam modelować włosy – jak prawie nigdy – bardzo długo i starannie. Wtarłam nawet olejek arganowy w końcówki i psiknęłam na nie mgłą lakieru na koniec. Ale przez szczotkę. Nie spryskując siebie. Wolałam jednak przeżyć. Lakier w bezpośrednim kontakcie z moją skórą oznaczał automatycznie szybką akcję na pogotowiu. Następnie nałożyłam podkład, granatowy tusz do rzęs i błyszczak w modnym matowym odcieniu beżowo-różowym i już byłam gotowa do wyjścia.

Tyle że poza odebraniem pieniędzy od Maćka niestety nie miałam żadnych konkretnych planów. Postanowiłam jednak twardo je mieć. Zadzwoiłam do przystojnego Kamila z Koszalina. Z tego, co pamiętałam, odbywał on właśnie staż czy kurs w stolicy, a do tego idealnie się nadawał do poprawy nastroju. Nie odebrał, ale dostałam automatyczną zwrotkę, że oddzwoni. Dobrze i to. Czas zrobić zakupy, pojechać do biura, a stamtąd z Sonią do parku.

Nie był to może rewolucyjny plan na życie, ale miałam co robić do szesnastej. Ile w końcu może trwać szkolenie policjantów średniego szczebla?

Zeszłam do pani Zosi, która dzielnie walcząc z narastającym wiatrem, ustawiała właśnie pod daszkiem skrzynki z dorodnymi pomidorami i kapustą. Fryzurę miałam bezpiecznie ukrytą pod kapturem, więc spokojnie jej w tym pomogłam. Wybrałam pomidory i weszłam do środka, zdejmując kaptur, żeby cokolwiek widzieć. Po ser, chleb, mleko i dużo jajek dla Kostka. Był wielbicielem moich omletów. Pani Zosia z uznaniem spojrzała na moją koafiurę i pełny makijaż o dziewiętej piętnaście rano, ale w swej kobiecej mądrości nie zadała mi żadnych pytań na ten temat.

Wróciłam i utuliłam zdziwioną moją poranną hiperaktywnością suczkę. Przebrałam się w zestaw zawodowy, czyli granatową sukienkę plus wisiorek od Ohydneho Zbyszka. Z Maroka. Potwornie drogi i błyszczący. Następnie złapałam plecak z papierami i torbę, zapięłam Soni smycz i wyszłyśmy. Była już prawie dziewięta czterdzieści. Celowo jechałam bocznymi uliczkami, żeby nie być w pracy przed Maćkiem i Elką z Jackiem. Udało się. Zaparkowałam dokładnie w tym samym momencie, gdy Maciek trzasnął drzwiami od bramy wejściowej do naszej kamienicy. Jeszcze chwilę marudziłam z porządkami w bagażniku i przeszłam z Sonią wzdłuż trawnika w wiadomym celu. I wreszcie, potwornie zmęczona tym drobiazgowym planowaniem sobie czasu od samego rana, dotarłam do roboty.

W biurze Maciek odnotował mój elegancki wygląd ze zdziwieniem, co widać było w jego wzroku, i od razu dał mi do ręki obiecaną pieniądze. Podziękowałam i schowałam je do portfela. Zamierzałam go jeszcze trochę wypytać o Hankę. Ale wyglądał na bardzo zajętego swoimi sprawami, więc nalałam suczce wody do miski w kuchni, a sobie – do szklanki. Postanowiłam skupić się na pracy, a raczej wynaleźć sobie coś do roboty.

Włączyłam komputer, poprawiłam jeszcze jakieś drobiazgi w dokumentacji i ponownie przesłałam ją do Maćka. Odpisał, że już tamtą wysłał i że obecność dwóch, dotąd brakujących, ogonków przy „ę” i „ą” w niczym nie polepsza jakości scenariusza.

Pokiwałam na to głową i weszłam na strony fundacji Burdy. Od wczoraj nic się tam nie pojawiło nowego, poza kilkoma komentarzami pod wpisem o chwilowo nieczynnym koncercie fundacji. Pisały jakieś osoby z zagranicy, zdenerwowane faktem, że nie mogą zrobić przelewu. Nikt im na to nie odpisał. Pewnie pakowali się tam już wszyscy na gwałt.

Zerknęłam na telefon. Cudny Kamil milczał uparcie, szkolił się zapewne w najlepsze. Wstałam i podeszłam do okna. Pod bramą stał jakiś facet i gapił się w nasze okna. Cofnęłam się gwałtownie.

– Mogę wiedzieć, co ty właściwie wyprawiasz? – Maciek pojawił się bezszelestnie za moimi plecami. Jak duch.

– Ja? – spytałam roztropnie.

– Nikogo tu nie ma poza tobą i mną. Co cię opętało? Masz dziś coś jeszcze do zrobienia czy tak sobie tu stoisz dla przyjemności?

– Myślałam, że Krzysiek przyśle coś o kuguarach – bąknęłam.

– Dopiero dziś oglądają wstępne projekty i kwalifikują filmy do konkursu. Mati, o co ci chodzi? Jesteś jakaś dziwna.

– Coś takiego! – krzyknęłam piskliwie. – Człowiek raz w życiu się ubierze, uczesze jak trzeba i od razu jest dziwakiem, tak?

– A, ten, tego... Sorry. – Maciek się spieszył. – Nie zauważyłem zupełnie, wybacz. Hanka ma dziś te nowe markery nowotworowe. Rzygała pół nocy, prawie nie spaliśmy. Trochę nieprzytomny jestem. Faktycznie.

Ja też dziś nie spałam, ty gnoju, ty! Pomyślałam tak sobie w duchu, ale nie powiedziałam tego, tylko spytałam:

– Kawy chcesz?

– Jasne, zrób dużo mocnej. Muszę uporządkować papiery.

– Może pomóc? – zaoferowałam się.

– Co? Nie. Nie znasz sprawy. To te reportaże na zlecenie, przez które z długów nie wyjdę przez rok. Już teraz skarbówka mnie ściga. A poza tym to są takie brudy, że lepiej o nich nie wiedzieć.

– Aha – odpowiedziałam nad wyraz roztropnie i wsypałam dwie spore porcje kawy do ekspresu. Kawa się parzyła, ciurkając powoli do porcelanowego dzbanka. Napięcie sięgało zenitu. Zналиśmy się od lat. Wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko. I nagle wyrósł między nami mur nie do przeskoczenia. Wlałam kawy i zaniosiłam kubek do kanciapy Maćka. Postawiłam mu go przed nosem. Nawet na mnie nie spojrzał.

– Nie dam tak dłużej rady – powiedziałam wreszcie.

– To znaczy? – Maciek nie podniósł głowy. Ale przerwał pisanie.

– Maciek. – Usiadłam tuż przed nim na biurku, zrzucając część papierów na podłogę. – Zawsze mówiliśmy sobie prawdę. Teraz nie. Mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam. I nie rozumiem.

– No i? – Łyknął trochę napoju i skrzywił się jak zawsze. – Dobra, bo mocna!

– Dlaczego nic nie mówiłeś o swoich problemach z kasą? I z Hanką.

– Bo tak było lepiej dla ciebie. Uwierz mi...

– Nie gadaj ze mną jak z jakąś niunią, tylko mów, co wiesz!

Maciek milczał chwilę, wpatrując się we mnie tak, jakbym to ja skrywała wszystkie tajemnice tego świata. Minę miałam nieugiętą, więc uznał chyba, że tym razem mu nie odpuszczę.

– Dobra. Powiem ci, ale najpierw zakończę swoje sprawy z Burdą.

– Grasz na zwłokę? – Byłam rozgoryczona jego brakiem ufności.

– Raczej dopinam sprawy. I pomagam policji, jeśli już musisz wiedzieć.

– To akurat wiem. – Nie potrafiłam odmówić sobie tej małej satysfakcji.

– Ano tak, twój rycerz Kudelka wszystko wypaplał! – zadrwił.

– Właśnie nie. Jego też trzyma jakieś idiotyczne poczucie lojalności. Wobec ciebie, sprawy, szefów! Tylko ja tkwię w tym jak ta ślepa i głucha tabaka w rogu!

– Mati, on wie, co robi. Zaufaj.

– A niech was wszyscy diabli! – Porwałam torebkę, gwizdnęłam na Sonię i wypadliśmy z biura jak burza. Prawdopodobnie gradowa.

Bipnął mi SMS, zajrzałam do komórki – oczywiście mamusia! Miała jak zwykle niesamowite wycucie czasu. *Dziecko, nikogo nie znajdziesz, jak będziesz tak prowadzić dom. Na półkach chaos, kremy w łazience przeterminowane, na pawlaczu jakaś porzucona paczka, wstyd!*

No jeszcze tego mi brakowało! Myślałam tylko o tym, żeby dotrzeć do Natalii i wszystko z nią przegadać. Niech i ten cudny Kamil z mamusią idą w diabły! Pewnie też mi niczego nie powie. Co za

stado nadętych, pewnych siebie twardzieli! Samce alfa, niech ich dzika gęś z rozpędu w sam środek kopnie! Natalia pewnie jest w Legalnej. Musi być!

Wyjechałam gwałtownie z uliczki, o mało nie potracając jakiegoś wysokiego gościa w dresie i czapce, a potem szybko popułam Dolną w dół, przecinając Puławską. Zamierzałam dołem przejechać do centrum, a stamtąd mostem dostać się na Grochów. Sonia skuliła się przerażona na tylnym siedzeniu. W rekordowym tempie przejechałam pół Warszawy i zaparkowałam przed knajpą. Zapięłam sucze smycz i obie z impetem wkroczyłyśmy do Legalnej. Za barem stała mama Natalii i z uśmiechem obsługiwała rodzinę z dwójką marudnych dzieci. Kwestie wyboru soczków, ciastek i kawy dla mamy i taty trwały w nieskończoność. Wreszcie dotarłam tuż przed oblicze jak zwykle spokojnej i życzliwej pani Melanii.

– Zupę będziesz jeść? – spytała. – Natalia tu będzie z Tą Osobą około południa, więc pichcę coś pożywne.

Ta Osoba, czyli Stach, nie doczekała się dotąd jej akceptacji. Tolerowała go, ale nie dostrzegała. I nie zaszczyciła dotąd jego własnym imieniem. Nawet w krótkich chwilach jego trzeźwości.

– Chętnie. – Klapnęłam z ulgą na wysokim stołku naprzeciwko.

– Trzymasz się jakoś? – odważyła się zapytać Melania, bez pytania nalewając nam obu do filiżanek herbaty.

– Aktualnie nie bardzo – przyznałam.

– Poczytaj sobie jakieś głupoty o gwiazdach. – Podała mi stertę kolorowych gazet. – Mnie to zawsze pomaga na różne smutki – dodała i wróciła do swoich obowiązków.

Wyszła jeszcze na chwilę zza baru z miseczką czegoś dla suczki, postawiła jej smakołyki przed nosem i podrapała ją za uchem. Skromna, schludnie ubrana i spokojna jak buddyjski mnich. Była damą i wcieleniem taktu oraz empatii. Natalia wszystko to po niej odziedziczyła – poza wrodzoną elegancją. Melania należała do tego gatunku kobiet, dzięki którym życie było znośne. Zawsze wiedziała, co powiedzieć, co zrobić i kiedy zamilknąć. Skarb, nie kobieta!

Posłusznie zabrałam się do lektury. Po szokujących informacjach o burzliwie rozwijającej się zagranicznej karierze Gosi Andrzejewicz przeszłam do rankingu zatytułowanego, skądinąd słusznie, *Najpiękniejsze biusty i pośladki lata*. Potem na dole sterty z ulgą odkryłam stare numery „Duchowego Wsparcia”, z którym Natalia współpracowała jako korektor. Moją uwagę przykuł ogromny wywiad z profesorem seksuologii o prostytutce młodocianych. Z niewiadomych przyczyn przypadek każe nam czasem zwrócić uwagę na coś, co potem zmieni wszystko w naszym życiu już na zawsze.

Znany seksuolog wypowiadał się ze swadą o przyczynach seksualnej prostytutki młodocianych oraz mapie tejże w Polsce. Wskazywał na najbiedniejsze rejony kraju, gdzie całe rodziny utrzymywane były przez prostytutujące się nastolatki. Obojga płci. Zachodniopomorskie było właśnie jednym z takich miejsc. Ponadto część młodych wyjeżdżała za granicę i tam zarabiała. Takie nastolatki nie wracały już do kraju, a jeśli już się to zdarzało, to bardzo rzadko.

„Sprawą od lat zajmują się policja i organizacje społeczne. W tym fundacje wspierające osoby bezdomne i rodziny żyjące na skraju ubóstwa”. Moment, fundacje? Fundacje w Zachodniopomorskiem? Handel nastolatkami? Transport dziewczyn? Przypomniałam sobie zeszyt z kiosku Tadka. A może mam po prostu paranoję? Czytałam dalej. Autor rozmowy miał nadzieję na szybki finał kolejnego śledztwa. Spojrzałam na datę wydania gazety. Miała rok. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Czyżby to o to chodziło? Gdyby założyć, że tak, to wszystko zaczynało do siebie pasować... Zbyszek, Podła i jej zagraniczne kontakty. Organizowali przecież wymiany studenckie i młodzieżowe w ramach jej prywatnej szkoły komputerowej. Zabita nauczycielka, latarnik, Burda. Zniknięcie Savonaroli i jego tajemnicze archiwa... Wszyscy oni zapewne byli jakoś powiązani ze sprawami fundacji. Skoro część się znała jeszcze ze szkoły... Czemu nie? Ale co ma do tego wszystkiego Maciek? Robili razem te nudne i męczące reportaże w Koszalinie ze Zbyszkiem i tyle.

Gdzie i jak wywożono te wszystkie nastolatki? Jak były wyszukiwane? Czy robili to ludzie Burdy? Ci sami, którzy obiecywali rodzinom krocie w zamian za milczenie? Może to w Szwecji był mózg całego tego przedsięwzięcia, jak sugerował seksuolog w artykule? A stamtąd już szlak prowadził

dalej. Do domów publicznych w Europie czy nawet Azji... Dlaczego Maciek tak uporczywie odmawiał mi udzielenia informacji na temat tego, w czym konkretnie pomaga policji? Bo chyba nie wszystko jeszcze było dla policji jasne? Może sprawdzali dojścia i kanały przerzutowe? Tyle się ostatnio mówiło w serwisach informacyjnych o przemycaaniu ludzi. Mając znajomego w straży granicznej, można było bez paszportu upchnąć na statku lub w samolocie nawet kilka osób! Matko, to naprawdę zaczynało pasować.

Siedziałam na stołku barowym, kurczowo ściskając drogocenne czasopismo w ręce. Zabrzęczała moja komórka. Cudny Kamil! Nareszcie!

Sumitował się, że tak długo był zajęty. Kazałam mu przyjeżdżać do Legalnej. Wysłałam też SMS do Natalii z informacją, że na nią czekam i że jestem bliska odkrycia prawdy. Odpisała, że wysiadają ze Stachem z tramwaju i będą za kilka minut na miejscu. Wstałam gwałtownie, żeby rozprostować kości i oddać Melanii puste naczynia. Musiałam być przeraźliwie blada, bo złapała mnie za rękę i zaczęła coś do mnie mówić uspokajającym tonem. Nie zrozumiałam ani słowa.

Gdy w drzwiach pojawiła się Natalia, a tuż za nią Stach, ruszyłam dziarsko w ich stronę. Nagle znowu zakręciło mi się w głowie. I zapadłam w ciemność.

ROZDZIAŁ 15

WYJAŚNIA SIĘ

Natalia ze Stachem wachlowali mnie zawzięcie, a Kamil, który jak się okazało, pojawił się niedługo po nich, latał niestrudzenie między mną a bufetem i donosił kolejne szklanki z wodą.

Sonia szczełała jak oszalała, a Melania usiłowała ją jakoś uspokoić kruchymi ciasteczkami prosto z pieca. Siedziałam jak oczadziła w jedynym w lokalu fotelu i powoli wracała mi świadomość.

– Mati, błagam, mów szybko, co się stało. – Natalia była bliska apopleksji.

– Czytaj. – Dałam jej do ręki numer „Duchowego Wsparcia” z Izdebskim.

Zaczęli go sobie gorączkowo wrywać ze Stachem, więc postanowiłam ich sprawnie zbriefować.

– Wychodzi mi, nie wiem, może zwariowałam, że oni wszyscy z Burdą handlują dziewczynami i wywożą je do domów rozpusty. Nie wiem, jak i z kim.

Cudny nagle zrezygnował z donoszenia mi kolejnych porcji wody, stanął jak wryty i zaczął mi się przyglądać z podziwem. Wreszcie się odezwał:

– Skąd ty to wiesz? Od Kudelki?

Więc to tak... To nie moja paranoja, tylko rzeczywistość! Chryste słodki... Co za potworność!

– No dobra. – Natalia zaczęła powoli łapać, po czym oddała gazetę ukochanemu. – Ale co do tego mają Zbyszek z Maćkiem?

– Tego jeszcze nie wiem. – Spojrzałam pytająco na Kamila, ale z jego miny sądząc, nie było szans, żeby uzyskać od niego informacje.

– A po jakiego grzyba ci Ohydny zapisywał coś w testamencie i robił te dziwne machinacje na koncie? – dopytywała moja przyjaciółka uporczywie.

– Nie wiem – westchnęłam. – Może chciał mieć konto do prania brudnych pieniędzy. A testament miał mnie obciążyć... A skąd ty niby wiesz o moim koncie?!

Natalia spojrzała na mnie z wyrzutem:

– Opanuj się! Kudelka wysłał mi raz przez pomyłkę SMS o dziwnym przelewie. Miał być do ciebie. A ja miałam nic nie mówić, bo Kudelce nie wypada numerów mylić!

Kiwnęłam głową.

– A Maćka byś podejrzewała? – Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Jego już prędzej – odważył się przemówić Stach. – On ma długi i chorą babę.

– Dla kasy ludzie robią gorsze rzeczy – stwierdziłam ugodowo.

– Ludzie niby tak. Ale nie ty – powiedziała Natalia stanowczo i przysiadła na poręczy fotela, obejmując mnie w pasie.

Sonia wskoczyła mi na kolana. Zamilkliśmy wszyscy. Melania przyniosła nam ciastka i dzbanek kawy, znowu zapędzając cudnego Kamila do noszenia naczyń. Zrobiło się nagle swojsko i przyjemnie. Wszyscy naraz zaczęliśmy gadać o tym, że zaraz pewnie cała sprawa się wyjaśni.

Powoli uzmysławiałam sobie, że to jest przecież mój świat. Siedzenie przy kawie i pogaduszki, a nie zbrodnie, przewalki, przemyt ludzi i seks za pieniądze. Owszem, pisałam o tym, robiłam programy, ale nie żyłam w tym świecie. A przynajmniej nie zamierzałam nigdy w nim być. Kilka rzeczy jeszcze nie dawało mi o sobie zapomnieć. Ale wiedziałam jedno: bez Kudelki tego nie wyjaśnię. Nie odnajdę Zbyszka i nie odzyskam swoich pieniędzy. I nie ocalę też kolejnych dziewczyn, które gdzieś tam daleko od domu postanowiły sprzedać siebie, żeby mieć pieniądze na utrzymanie swojej rodziny. Bo niby jak?

Z Maćkiem jakoś dojdę do ładu. Na swój sposób był w tym wszystkim uczciwy. Współpracował z policją, a kasę zainwestowaną w leczenie Hanki będzie zapewne oddawał jeszcze latami. Miał swoje wady, ale nie był przecież zwyrodnialcem. Jakimi niewątpliwie mogą okazać się niestety Zbyszek, Marianna i Savonarola. Miałam wrażenie, że poza tym, że Marianna z Burdą znali się ze szkoły, łączyło

ich coś jeszcze. Nagłe wzbogacenie się Savonaroli musiało mieć jakiś związek z jego teczkami i Marianną. A może i on bywał na grillach u narodowca? Jeśli więc to Burda był ich bossem, a przynajmniej ich wspierał finansowo, to musiał i on mieć coś w zamian. Kasa musi się zgadzać, jak mawiał zawsze Maciek. Tak, i to nie mała...

Mijały kwadransy, siedzieliśmy tak sobie, a przez głowę przelatywały mi kolejne hipotezy. Gdzie, na litość boską, jest Kudelka?

Wreszcie około piętnastej zaczęliśmy się wszyscy zbierać, a cudny Kamil zaproponował, że nas porozwozi moim samochodem. Wzięliśmy ze sobą Melanię, bo Natalia ze Stachem zostawali jeszcze w knajpce. Mama Natalii mieszka na dalekiej Pradze, więc chwilę nam to zajęło. Gdy wreszcie zostaliśmy sami w moim bolidzie, natychmiast spytałam przystojniaka o porucznika.

– Rysiek znowu w terenie. Do jutra mam cię z oka nie spuszczać.

– Przecież mnie pilnujecie – zdziwiłam się. – Ten wysoki przed biurem, drugi jakiś na strychu...

– Nic nie wiem o tych dwóch. – Cudny się zaniepokoił. – A jak wyglądali?

– Nijak. Dlatego byłam pewna, że to zawodowcy – burknęłam.

– Od dwóch dni nie miałaś obstawy, bo Kudelka przymknął już parę osób. Burda jest w areszcie.

– Aresztowaliście Burdę, a ja nic o tym nie wiem? – Z oburzenia aż się zapowietrzyłam.

– Wybacz, Mati, ale to są nasze wewnętrzne sprawy.

– Wasze wewnętrzne! Jasne! Tyle mi mówicie, a teraz nagle wasze wewnętrzne! Jeden z drugim mógł mnie zaciukać w ciemnej bramie!

– Nie ma powodu. Jesteś już poza sprawą.

Zamilkłam. Niby fakt. Zbyszek jest nie wiadomo gdzie. Żywy lub martwy. Podła Marta się ze mną nie kontaktuje, bo nie ma po co. Póki nie ma ciała, nie ma zbrodni, i otwarcie testamentu jest niemożliwe. Pozostają jeszcze machinacje Maćka, ale on chyba by mnie nie ruszył. Za bardzo jest teraz zajęty ratowaniem własnego tyłka i chorobą Hanki. Jestem z dala od Mielenka i Osy oraz Koszalina. Chyba więcej trupów i zaginięć tam już nie będzie. Ale kto, do jasnej anielki, mnie w takim razie obserwował?! Przecież nie wiedzieli, że przypadkiem wpadłam na kolejny trop. Z tego, co mówił Cudny, trop dobry i wiarygodny.

– A Kudelka to będzie o której jutro w robocie? – warknęłam jeszcze do Cudnego. Właśnie parkował pod moim domem.

– Koło trzynastej, wyjeżdża samochodem wcześniej rano. Czy mogę...?

– Jasne. Zapraszam na herbatę. Poza tym niewiele więcej mam w lodówce – uprzedziłam go od razu.

– Trzymasz herbatę w lodówce? – zdziwił się uprzejmie Cudny, otwierając drzwi wejściowe przede mną i Sonią.

– Owszem. Kawę, chleb, kremy i lakiery do paznokci także. W zimnie dłużej zachowują świeżość i aromat – odparłam uprzejmie.

– Coś takiego. A jedzenie w takim razie gdzie?

– Też w lodówce, ale kupuję na bieżąco. A obecnie skarbowka razem z Urzędem Spraw Wewnętrznych zablokowali mi konta. Jesteśmy skazani na to, co mam w szafkach. Kasze, makarony, oliwę i czosnek. Oraz bazylię w doniczkach na balkonie. Trzy odmiany do wyboru.

– To może ja cię gdzieś zaproszę na obiad? – Cudny wyraźnie chciał być elegancki, a poza tym już od Grochowa burczało mu w brzuchu. Skromne dania wegańskie to nie było najwyraźniej to, co policjanci średniego szczebla w Koszalińskim lubią najbardziej.

– No dobrze. – Ustąpiłam mu, wysiadając już z windy. – Zostawimy Sonię i możemy pojechać do Kafelka na Ursynowie. Mają tam świeże niedrogie zupy i sałaty. Coś z mięsem też zawsze jest. Tylko zajrzę do komputera.

Uspokojony tą informacją Cudny zadekował się w łazience, a ja napiłam i nakarmiłam suczkę. Zajrzałam też do poczty – na razie nic nowego do mnie nie przyszło. Ani od Maćka, ani z kanału, dla którego robiliśmy dokument o kobietach uprawiających męskie zawody. Był jakiś jeden spam, ale na razie postanowiłam nie zawracać sobie nim głowy.

Poprawiłam nieco makijaż i przeczesałam potargane włosy. Jak na ofiarę oszustwa i świadka kilku zbrodni nie wyglądałam nawet najgorzej. Cudny też tak chyba uważał, bo wystartował z jakimiś karesami, zupełnie nie na miejscu. Chrząknęłam groźnie i odsunęłam się stanowczo od jego lepkich rączek. Nie romanse mi były teraz w głowie. Zamierzałam go nakarmić i zmiękczyć przy deserze w Kafelku, żeby wyciągnąć jakieś informacje, nim wreszcie pojawi się Kudelka.

– Myślałam... – zaczął znowu Kamil.

– Źle myślałeś – ucięłam. – Nie wydaje ci się, że należy mi się teraz trochę spokoju? A nie od razu jakieś kolejne sercowe sensacje?

– Ja bym cię nie skrzywdził! – Cudny wyskoczył z zapewnieniem.

– Tego akurat to i ja jestem pewna. Ale na wszelki wypadek trzymaj swoje zapędy w rezerwie.

Jak mi przejdzie stres, to sam się zorientujesz.

– Ale będę wtedy tak daleko...

– Ożeż! Ale cię przypiliło! – Nie wytrzymałam. – Nie masz tu innych lasek na boku? Nie wierzę!

– Może mam, a może nie, ale z pewnością jestem wybredny!

– Tak? A ja słyszałam coś innego. Że żadnej nie przepuścisz, jak porucznik Borewicz!

– Ciekawe od kogo. – Cudny zapowietrzył się i poczerwieniał.

– Z zasady nie ujawniam źródeł. Idziemy na obiad czy zostajemy w przedpokoju, żeby się dalej kłócić? – spytałam go słodkim głosem.

– Idziemy! – warknął. I otworzył przede mną drzwi.

Do Kafelka pojechaliśmy metrem. Starając się nie zetknąć żadną częścią ciała w przepelnionych po sufit wagonikach. W godzinach szczytu nie miało sensu ruszać samochodem, a społeczeństwo zmuszone do podróżowania masowymi środkami transportu było równie zdeterminowane, jak wkurzone i spocone. Tak jak Cudny.

Po kilku minutach z ulgą wysiedliśmy na stacji Stokłosy i ruszyliśmy w milczeniu wielkowiejskim pasażem w stronę mojej przystani. Uwielbiałam to miejsce. Bezpretensjonalne, z dobrym i prostym jedzeniem, uroczymi gospodarzami i gustownym, oszczędnym w stylu wystrojem. Nigdy nie wpadali tu miejscowi obwiesie ani celebryci. Sami sympatyczni, normalni ludzie, którzy chcieli zjeść dobrą zupę czy sałatę, kiedy nie chciało im się gotować w domu. Ściany zdobiły dzieła zaprzyjaźnionych z Kafelkiem artystów: Misi Konopki i Piotra Krochmalskiego. Można tu było wpaść z psem i napić się prosecco z kija. Raj dla zubożalej inteligencji. Poza tym popołudnia były tu spokojniejsze niż poranki. A na to właśnie liczyłam.

Cudny usiadł naburmuszony przy szklanym stole zaraz przy wejściu, a ja poszłam przywitać się z właścicielami, Kasią i Andrzejem, którzy w kuchni wspólnie celebrowali wprowadzenie do menu nowych dań: zupy krem z cynamonem i koreczków z kotletami z kalafiora. Zamówiłam ten zestaw dla siebie, a dla stróża prawa – stek i ziemniaki z grilla oraz bezalkoholowe piwo. Poinformowałam go o tym i spokojnie zaczęłam grzebać w swoim telefonie w poszukiwaniu wiadomości od Kudelki. Niestety bez rezultatu. Andrzej przyniósł mi zupę, a Cudnemu kanapkę z musem z łososia na przystawkę. Zajęliśmy się konsumpcją. Znając trochę fenomen sfochowanych mężczyzn, wiedziałam, że Kamil zaraz się rozczmucha, a po steku będzie już łagodny jak baranek. Kasia przysiadła obok i zaczęła nas delikatnie zagadywać w sprawie wieczornego minikoncertu znanego barda, Mariusza Lubomskiego. Okazało się, że Cudny też śpiewa i grywa na gitarze. Zapytałam go uprzejmie, czy podczas występów ma na szyi czerwoną bandanę. Bo to podobno niesamowicie działa na kobiety. Warknął, że nie nosi takiego czegoś, a skupia się raczej na repertuarze. Typu romanse cygańskie lub rosyjskie. Stojący za barem Andrzej rażno ruszył na zaplecze i po chwili pojawił się z gitarą.

Liczyłam raczej na spokojną degustację głównego dania. Ale niestety. Stek macerował się w zalewie, a ja słuchałam, jak Cudny miarowo stroi gitarę i profesjonalnie chrząka nad strunami. Wreszcie zaśpiewał. Zamurowało mnie. Miał naprawdę niezły głos. Ballady rosyjskie zawsze brzmiały dla mnie tak samo, nigdy nie udało mi się pokochać tego języka, bo latami byłam zmuszana do jego nauki w podstawówce. Ale *Tiomnaja noc* była mi dobrze znana dzięki Aloszy Awdiejewowi. Cudnemu udało się w sekundę zainteresować sobą gospodarzy, mamę z dzieckiem pod ścianą i parę młodocianych

na tarasie przed knajpką. Oraz mnie. Śpiewał tak sobie w postępującej ekstazie, może odrobinę zbyt wyraźnie upajając się swoim głosem, a ja myślałam, że doprawdy każdy mężczyzna, którego spotykam na swojej drodze, to kolejna zagadka. Wreszcie zakończył występ i zastygł z palcami na strunach. Zebrał oklaski.

I spojrział na mnie z tryumfem w oku.

– No, no – powiedziałam. – Coś podobnego. Glina i romantyk w jednym.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – zaryzykował Cudny.

– I może lepiej, żeby tak pozostało – dodałam dosyć bezwzględnie.

Kucharz wydał nasze dania. Posilając się, Kamil uprzejmie odpowiadał na komplementy Kasi i propozycje wykonania minikoncertu za miesiąc. Gdy będzie akurat w Warszawie. Tak dotrwaliśmy do końca obiadu, kawy i sjesty, na który to moment tak tęsknie wyczekiwałam. Kasia taktownie zostawiła nas samych. Przystąpiłam do ataku.

– Kamil, mogę się czuć z tobą bezpieczna? – zagałam go może trochę głupkowato.

– Hmm, no wiesz, Matylda. Jutro wracam do Koszalina, ale oczywiście...

– Jezu! Jedno ci w głowie! – Wkurzyłam się. – Złapaliście już mordercę Marianny i latarnika czy nie?

– Nie mogę udzielać ci takich informacji. – Wycofał się z godnością.

– To nie udzielaj. Po prostu mnie uspokój – odburknęłam.

– Kudelka ma nowy trop – wyjawiał Cudny ostrożnie. – To dlatego znowu wyjechał.

– Po co?

– Domyśliłaś się przecież. – Cudny wylizywał talerz niemalże w ekstazie.

– Chodzi o przemyt ludzi? Naprawdę? – Aż podskoczyłam. – I co? Dokopał się do czegoś? – Pochyliłam się w jego stronę, celowo dekoncentrując go czymś w rodzaju powabnego dekoltu.

– Nie ekscytuj się tak! – Cudny zerknął tam, gdzie trzeba, a następnie ściszył głos i dyskretnie rozejrzał się na boki. – To się nam dopiero zaczyna układać w jakąś całość. Ale wydaje się, że i Burda, i Marianna, i Adam są w to zamieszani po równo. Nie wiemy jeszcze, jaka w tym była rola Zbyszka i Marty.

– Sporo podróżowali. Po Europie i Azji. Zwłaszcza ona. Ale przecież od dawna darli ze sobą koty. Kłócili się o wszystko. I chcieli rozwieść. To bez sensu...

– Skąd wiesz? – przerwał mi Cudny.

– Od niej. Zaraz po wypadku namówiła mnie na spotkanie i wyjawiała swoje plany na przyszłość. Że się chce pozbyć bagażu przeszłości, uporządkować finanse. A nawet podzielić się ze mną domem nad morzem – wyznałam, przyglądając mu się z uwagą.

– Szybko – mruknął.

– Co szybko? – Nie zrozumiałam.

– Szybko chciała to wszystko załatwić, nie sądzisz? – Cudny lustrował teraz teren za barem, w okolicach ogromnego lustra. Ktoś tam się czał czy co? Jakiś się taki zrobił spięty i nieuważny. Gdyby weszła jakaś blondyna z długimi nogami, to rozumiem, ale nic się przecież takiego nie działo. Chyba że...

– Wiesz – zaczęłam – mówiłam ci już, że mnie ktoś ciągle śledzi.

– No nie dziwota. Miałycie przecież obstawę. Z mamusią. Na prośbę Kudelki. – Kamil wstał i wziął sobie kartę deserów.

– Nie o policję mi chodzi. Ktoś inny mnie obserwuje. Jestem tego pewna. Mnie albo Maćka. Nasze biuro. Mój dom, strych... – Podreptałam za nim i zabrałam z baru przygotowany dla mnie kolejny kieliszek z winem.

– A tak, rzeczywiście. Kudelce mówiłaś? – Kamil zaciekawiał się wreszcie, odrywając wzrok od menu. – Bo wiesz, skoro od dwóch dni nikt cię nie pilnuje...

– A ktoś o tym wie, żeście mnie sobie odpuścili? Brownie weź z lodami – poradziłam mu zyczliwie.

– No tak, ja i Rysiek. I teraz ty. Tak nieoficjalnie to przecież idzie. Rysiek wszędzie ma kontakty.

Jest życzliwy, to mu kumple pomagają. Przecież, tak biorąc to na zdrowy rozum, to nie należała ci się ochrona. A tym bardziej pani Klotyldzie. A co to jest deser Ewy? – chciał wiedzieć Cudny.

– No, to dla kobiet takie coś. Mascarpone, owoce i mus. Lekki deser, mało kalorii.

– A nie, jak mało kalorii, to nie dla mnie – postanowił po męsku Kamil i poszedł zamówić sobie ciasto i kawę.

– A ta Marta to się gdzieś spieszyła? Wyjeżdżała? – dopytywał już spokojniej, bo udało mu się wybrać deser.

– Podła? Skąd mam to niby wiedzieć? – Spojrzałam na Kamila zdziwiona.

– Może ci coś takiego mówiła – uściślił Cudny, oblizując ze smakiem łyżeczkę.

– O wyjeździe? Nie. Skąd? Tylko tyle, że musi pochować Zbyszka.

– Jak ma go pochować, skoro to nie on zginął? – burknął Cudny i popił kawą.

– No właśnie, a ten bezdomny to wiadomo skąd? – Spróbowałam docisnąć Kamila.

– Z domu opieki. Narkoman – wszedł mi w słowo. – Przedawkował. Był tej samej postury.

I w Zbyszka ciuchach.

– To mnie akurat nie dziwi. – Wzruszyłam ramionami.

– Bo? – Cudny zainteresował się umiarkowanie.

– Zbyszek notorycznie robił paczki i zawoził je do MOPS-u. Pełne torby ciuchów. Ciuchów własnych i ciuchów znajomych.

– Że taki niby szlachetny? Tak czy inaczej, narkoman miał na sobie ciuchy, w których ostatnio widziano Zbyszka.

– Kto go widział? – Spojrzałam na Cudnego zdezorientowana.

– Żona. W tym właśnie ubraniu ostatnio widziała go Marta. Ale znowu za dużo ci mówię – zreflektował się. – Rysiek będzie zły.

– Nie będzie – uspokoiłam go. – Od dawna pracujemy nad tym razem.

– Matyldo, wiem, że mu pomagasz. Ale prosił też, żebym cię ochraniał. A bezpieczniej będzie, gdy...

– Wiem, wiem! Gdy nie będę wszystkiego wiedziała. Powtarzacie to jeden przez drugiego.

Maciek, Rysiek i ty! Jakbyście byli w zмовie... Zaraz, zaraz, a może właśnie...

– To się robi nie do zniesienia! – Cudny poczerwieniał. – Jesteś gorsza niż KGB!

– To ty mi tu po rosyjsku śpiewasz!

– Matylda...

– Ha! Więc knujecie coś w tajemnicy razem! We trzech! Słuchaj, a może ty nie miałeś żadnego szkolenia w Warszawie, co? Ja wam mówię wszystko, a wy mi nie! Tylko między sobą tworzycie całą tajną koncepcję szajki. – Spojrzałam na niego groźnie.

– Niczego więcej ze mnie już nie wyciągniesz. Idę zapalić! – Cudny wstał. Po czym wyszedł na taras Kafelka, wyjął papierosa i zapalniczkę, zapalił i głęboko się zaciągnął.

Zamyśliłam się. Wyjęłam znowu telefon i wystukałam SMS do Kudelki. O tym, gdzie jesteśmy, że mam różne podejrzenia i trochę się boję. Nie odpisał, dziad jeden! Kij mu w oko! Obserwowałam więc sobie spokojnie Kamila i posilających się gości.

Dziecko, znudzone jedzeniem zupki, wyrwało się matce. Z krzykiem przebiegło obok mnie i podarło sobie spodnie na kolankach, padając jak długie przed drzwiami. Matka malca spokojnie dokończyła lemoniadę i wstała bez pośpiechu, żeby go podnieść, a następnie, wrzeszczącego wniebogłosy, wynieść na zewnątrz. Dzielną kobieta!

Młodociani migdalili się i na przemian wysyłali coś ze swoich smartfonów. Nowy kucharz, Przemek, lekko przysypiał za barem, bo dzień wcześniej wraz z Andrzejem do późna sprząтали kuchnię po remoncie i ustalali z Kasią nowe menu. Było jak zawsze. Przyjemnie, chłodno i swojsko. A jednak czułam narastający niepokój i ściskanie w dole żołądka. Dobrze znałam to uczucie. Pojawiało się zwykle wtedy, gdy kończyłam kolejne dziennikarskie śledztwo i miała mnie zaskoczyć jakaś przykra niespodzianka. Najgorsze było to, że kompletnie nie wiedziałam, czego się mam teraz spodziewać. I czy mogę się przed tym jakoś zabezpieczyć. A może powinnam się gdzieś ukryć i spokojnie przeczekać

ponury finał mojej miłosnej historii?

Wrócił Kamil i w milczeniu poszedł uregulować rachunek. Pożegnał się z gospodarzami, obiecując koncert. Spojrzeniem kazał mi czekać. Zrozumiałam z tego niemego komunikatu, że mam wyjść chwilę po nim. Zaczęłam więc grzebać bez sensu w torbie i pudrować się, nie wiadomo po co. Bipnęło mi coś w telefonie. Kamil pisał, że mam wyjść i wsiąść do pierwszego wagonika metra.

Po co te korowody? – spytałam go poirytowana w kolejnej wiadomości.

Śledzą Cię – odpisał.

No tak, lustro nad barem! Kamil musiał w nim coś zobaczyć. Wyszłam powoli, założyłam okulary przeciwsłoneczne i spokojnie powędrowałam w stronę metra. Ktoś ruszył za mną. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymałam się od biegu, ale instynktownie przelożyłam torbę do przodu, niby szukając biletu. Nagle poczułam ukłucie czegoś ostrego na ramieniu. Krzyknęłam. Ktoś szarpnął przeciętym paskiem od mojej torby. Ale chwyciłam ją mocno, zagarnęłam pod siebie i upadłam ciężko na kolana, prosto na beton. Mój napastnik też o mało nie stracił równowagi, ale w ostatniej chwili wyrwał do przodu i szybko wbiegł schodkami w górę, w stronę domu towarowego. Nie byłam pewna, ale był to chyba ten migdałący się młodzieniec przyspawany do telefonu i ust swojej oblubienicy.

Dyszząc jak parowóz, zaczęłam – z pomocą kwiaciarki, która wyskoczyła zza wiader pełnych azalii – gramolić się do pozycji pionowej. Kobięcina narzekała wniebogłosy na bandytów wokół. Dobiegli też do mnie Kasia z Andrzejem, zapewne zaniepokojeni naszymi krzykami. Istotnie, wrzasnęłyśmy obie tak, jakby nas zarzynano. Najpierw ja, a zaraz potem uczynna kwiaciarka. Podniosłam się wreszcie. Kasia troskliwie zbierała moje rozsypane kosmetyki z chodnika, a Andrzej wbiegł na górę w poszukiwaniu młodzieńca. Cudnego Kamila oczywiście ani śladu! Pewnie zdążył już bezpiecznie odjechać metrem.

Coś się jednak nagle zakotłowało w górze. Usłyszałam tupot biegnących stóp, dźwięk szybkiego hamowania i ujrzałam błyskający policyjny kogut.

– Mają go! – krzyknął do nas podekscytowany Andrzej, wychylając się zza poręczy schodów na górze.

Wyglądało więc na to, że tym razem udało się złapać śledzącego mnie obwiesia.

ROZDZIAŁ 16

OBJAWIENIE

Do domu dotarłam już radiowozem. Opatrzono mi fachowo stłuczone kolano i obiecano rekompensatę finansową za naprawę zniszczonej torby. Nie byłam do niej specjalnie przywiązana, ale dobre i to. Kamil zdematerializował się natychmiast po tym, jak wsadził obwiesia do policyjnej sukii. Nie martwiło mnie to specjalnie. Chciałam trochę odpocząć od policji i spisków. Oraz wielbicieli romansów cygańskich i rosyjskich. Suczka powitała mnie radosnymi podskokami, powąchała podejrzaną ranę na kolanie i stanęła pod drzwiami, zipiąc. Zrozumiałam aluzję. Wyszłam więc z nią jeszcze na spacer, kulejąc i rozglądając się ostrożnie na boki. Sonia szybko załatwiła swoje sprawy i skwapliwie wróciła pod klatkę. Miała dobrą intuicję i czuła wyraźnie, że się czegoś boję. Weszłyśmy na górę, po drodze zahaczając o mieszkanie Kostka.

Nie otwierał, co nie znaczyło jednak, że go nie ma. Często, gdy coś tłumaczył na cito, nie dawał znaku życia, bo nie wstawał od komputera przez kilkanaście godzin. A miałam nadzieję, że moja bogata koleżanka mu coś naroiła do roboty. Podeszłam więc do swoich drzwi i zaczęłam szukać kluczy, gdy niespodziewanie owionął mnie znajomy zapach Old Spice'a i przemówił do mnie dobrze mi znany męski głos. Z lekką nutą pretensji.

– Na sekundę cię z oka spuścić nie można! Od razu stawiasz na nogi połowę komendy. – Porucznik Ryszard Kudelka, odziany w wygodny strój sportowy, opierał się nonszalancko o ścianę w korytarzu i żuł gumę.

– Połowę komendy, w tym jednego całego podrywacza! – uściśliłam, wpuszczając go gościnnie do środka.

– Podrywacz wyjechał, muszę cię zmartwić. Nowe tropy prowadzą prosto w jego rejony. Będzie dalej badał szkołę i powiązania Marianny. Ale dobrze się spisał.

– Coś takiego! A mówił mi, że ty tam jesteś.

– Marzenie – prychnął Kudelka. – Póki co, ja tu dowodzę!

– A kim był ten obwieś? Kawę będziesz pił czy herbatę? – Postanowiłam skierować rozmowę na bezpieczniejszy grunt.

– Herbatę. To nie był żaden obwieś, tylko syn Burdy z narzeczoną.

– Żartujesz? Mieszka tutaj? – Odwróciłam się do porucznika i z hurgotem postawiłam mu przed nosem dwie filiżanki.

– Nie, no skąd. Przyjechał za tobą. Ojciec mu kazał zwędzić ci telefon i komputer. Burda był pewien, że masz materiały Maćka o fundacji u siebie. Wysłał ich, nim go zapuszkowaliśmy.

– I to on się miotał na moim strychu i wystawał pod biurem?

– Prawdopodobnie. – Kudelka zajrzał do słoika na ciastka owsiane i ze smutkiem skonstatował, że jest pusty.

– A ten gość na urwisku nad morzem to też on?

– Nie. Tamten był wysoki i chudy, a ten jest masywny i mocno przypakowany, do tego niski. Ostro trenuje, rzeźba, masa, rozumiesz...

– Coś takiego po takim wielkim tatusiu... – zdziwiłam się.

– Matka Zygmunta, znaczy młodego Burdy, jest malutka i drobniutka – wyjaśnił mi Kudelka i wsypał sobie aż trzy kostki cukru trzcinowego do mocnej herbaty z imbryczka, który doniosłam mu na stół.

– Aż taki ten Zygmunt rozmowny?

– Fakt – mruknął stróż prawa, delektując się naparem. – Gęba mu się nie zamyka, od kiedy go złapaliśmy i przycisnęliśmy.

– Przycisnęliśmy? – Zawisłam spojrzeniem na poruczniku.

– No, hmm, Kamil chciał go pobić, że groził niby twojej czci i życiu równocześnie.

– Zagrożony był raczej żywot mojej torby z przeceny – burknęłam.

– Tak czy siak, tak na niego naskoczył, że młodzieniec się prawie posikał ze strachu i nim zadzwonił do matki, a ta do adwokata, dowiedzieliśmy się sporo.

– Mianowicie? – Spojrzałam na Kudelkę groźnie.

– No dobra – westchnął. – Marianna i Savonarola znali się, jak już wiesz od Natalii, z jednej ławki. Zbyszek i Burda z kolei poznali się jeszcze w liceum. Wszyscy się znali i wciągnęli się do tego procederu stopniowo razem. Zajmowali się tym od sześciu lat, a Marta im pomagała.

– Jasne, a co ze Zbyszkim? – spytałam ze ściśniętym gardłem.

– Wyjechał za granicę. Ustalamy, gdzie był kanał przerzutowy dziewczyn. Pewnie z niego skorzystał. Mieli ustawionych celników i strażników na przejściach granicznych.

– Kanał przerzutowy...

– No tak, dziewczyny najpierw płynęły pod pokładem do Szwecji, a stamtąd przewożono je samochodami na lotnisko. I później do Włoch, Tokio... Nie wiemy, dokąd jeszcze je wieźli. Kilkanaście dziewczyn kilka miesięcy w roku.

– To po to im był latarnik. – Pokiwałam głową. – Dawał znaki kapitanowi statku, żeby ten wiedział, czy można przybijać, czy nie, i zapisywał terminy przerzutu dla Savonaroli. Wracaly?

– Niektóre tak. – Kudelka kiwnął głową. – Ale nie do Koszalina, tylko do Trójmiasta. Tam dalej zarabiają w ten sam sposób i wysyłają rodzicom pieniądze.

– Savonarola trzymał wszystkie kwity na te dziewczyny u siebie, tak?

– Tak. Marianna wynajdywała dziewczyny w szkole i przesyłała do Marty – dokończył Kudelka.

– Podła, podróżując, sprawdzała, gdzie je można ulokować. Z jej uczelni też wyjechało kilkadziesiąt dziewczyn.

– A po co ja im byłam? – Tego nadal nie rozumiałam.

– Interes się rozrastał. Potrzebowali nowych ludzi. Udali, że się rozstają, licząc, że się zakochasz, dostaniesz dom, a potem zgodzisz się na współpracę. Na pewno przydało im się twoje konto. A może rozwód był im na rękę finansowo i potrzebowali widocznego motywu. Nie wiem...

– A Burda? – Chciałam koniecznie wiedzieć.

– Miał fundację, przez którą przechodziły pieniądze. Był też niejaki Wujek. Tajemnicza postać z Włoch. On brał część dziewczyn w tak zwany *leasing*. Dawał im mieszkanie i kontakty na pracę, brał trzydzieści procent, tyle samo, co Zbyszek i spółka, a czterdzieści procent zostawało dla dziewczyn.

– *Leasing*? – Nie rozumiałam.

– No, on im dawał pracę i lokum, a one spłacały, nazwijmy to, należność. Były tam też i Chinki, i Czeszki. Interpol go namierzył już jakiś czas temu, ale trochę trwało, nim zebrali dowody. Jak to we Włoszech.

– Sporo tak tej kasy nakosili?

– Mieli z tego prawie pół miliona rocznie. Głównie euro.

– Fiuuu! – gwizdnęłam. – I tak to wszystko grało, dopóki nie pojawił się Maciek...

– Zaczął węszyć wokół fundacji i wykrył nieprawidłowości – dopowiedział uczynnie Kudelka.

– I co? Dogadali się? Tak od razu? Nie wierzę...

– Maciek miał długi, zachorowała jego narzeczona, mieli też coś na niego. No i im uległ....

– Co mieli? – Wpatrywałam się w Kudelkę jak w czarodzieja, który zaraz wyciągnie z kapelusza coś paskudnego.

– Coś. Nieważne. To ciebie nie dotyczy. Ważne, że szantaż zadziałał.

– Szantażowali go? – Aż mnie podniosło z krzesła.

– Nie w sensie dosłownym, ale musiał się z nimi liczyć – uspokoił mnie porucznik.

– Przecież Zbyszek zawsze mu pożyczał kasę! – pisnęłam dziwnie, zapewne pod wpływem od dawna tłumionych emocji.

– Właśnie. – Kudelka westchnął. – A Maciek podpisywał mu potem, co tamten chciał.

– Zupełnie jak ja z tym upoważnieniem do konta.

– No właśnie.

– Boże, i to wszystko się działo tuż pod moim nosem! – krzyknęłam.

– Owszem, w dodatku próbowali ci zaszkodzić w knajpie przy tataraku – dodał porucznik i zawiesił na mnie spojrzenie.

– Właśnie! – Popatrzyłam na niego z wyraźnym pytajnikiem w oczach. – To kto to w końcu był? Ten nowy jakiś typ z fundacji, którego Iza zatrudniła z litości?

– Tak jej mówił, że jest z fundacji. Mamy go, ale na razie średnio chce gadać. Ale przyjdzie i na niego czas. – Kudelka lekko się skrzywił, po czym dodał, patrząc mi prosto w oczy: – To ten sam facet, który wyrwał Natalii telefon, a tobie wcześniej torbę z chińskim żarciem pod pracą. Iza zeznała, że miał wytatuowane kropki na palcach.

Pacnęłam się teatralnie dłonią w czoło.

– Mateczko słodka! Rzeczywiście! Zaćmienie mnie dopadło! I to nie obrączkowe, tylko całkowite! Egipskie ciemności umysłu... – jęknęłam przeciągle. – Iza mówiła mi wtedy, nad tatarakiem, że ten nowy ma jakieś pokropkowane ręce czy coś... – Zgrzytnęłam zębami na myśl o tym, że mogło mi to wypaść z głowy.

– No więc właśnie. – Kudelka pokiwał głową. – Jak na razie powiedział nam tyle, że z Gryzłą to był wypadek. Poniekąd. O ile można kogoś przypadkowo wyrzucić z latarni. W każdym razie latarnik się zaczął wyrywać do gadania, może chciał się zwierzać nie tym, co trzeba, może w grę wchodził jakiś szantaż. Tak czy inaczej, chcieli go postraszyć. A wyszło, jak wyszło. Czy może raczej: wypadło.

– A co wie o zniknięciu Savonaroli? – Miałam nadzieję, że uzyskam jakiegokolwiek wyjaśnienie.

– Twierdzi, że nie wie nic, chociaż mu nie wierzę – odparł Kudelka. – Żeby wyjaśnić wszystko do końca, musimy złowić grubszą rybę.

Wstałam i zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju, mechanicznie przestawiając różne drobiazgi na półkach. Miałam w głowie tysiące myśli i obrazów, które jak błyskawice przelatowały mi przed oczami. Nagle wiele dziwnych zachowań Zbyszka, komentarzy Marty czy Maćka stało się dla mnie jasnych. Przerazająca wizja bycia miesiącami nabijaną w butelkę przez cynicznego kochanka wraz z jego przedsiębiorczą małżonką powoli ustępowała na rzecz wizji jakiegoś wielkiego przestępczego bagna. W którym utopiono wiele nadziei i planów naiwnych młodych dziewczyn. A może wcale nie tak naiwnych? Tylko zmuszonych do prostytucji przez mało zaradnych rodziców, którzy stracili już nadzieję na pracę w godnych warunkach? Kudelka tymczasem taktownie milczał. Po chwili wstał i poszedł do przedpokoju. Ktoś do niego zadzwonił. Poszłam i ja. Milcząc, zajrzałam do telefonu i natknęłam się na SMS mamusi o moim skandalicznym prowadzeniu domu. Paczka na pawlaczu, jaka znowu paczka? Gestem wskazałam porucznikowi pawlacz. Kudelka zerknął na SMS od mamusi i posłusznie przerwał rozmowę, przysunął sobie stołek z kuchni i zajrzał na górę. Paczka leżała niewinnie na swoim miejscu. Zdjął ją, od razu szarpnął za sznurek i otworzył. Naszym oczom ukazało się mnóstwo zdjęć młodych kobiet z facetami w niedwuznacznych sytuacjach. Widać było, że fotografie zrobione zostały przez zawodowca. Z ukrycia.

– Zabierz mi to z oczu! – wychrypiałam i zakryłam sobie oczy dłońmi.

Pozbierał więc zdjęcia i zamknął karton. Po czym wrócił spokojnie do przerwanej rozmowy. Powędrowałam na miękkich nogach do pokoju i automatycznie odpaliłam komputer. Musiałam się czymś zająć, żeby zapomnieć o tym, co przed chwilą widziałam. W mailach było znowu kilka spamów, więc weszłam tam, żeby sprawdzić, czy nie ma wśród nich jakichś ważnych wiadomości. Było tam kilka reklam i ta jedna wiadomość z rana. Z niewiadomego źródła. Miałam dobry antywirus, więc postanowiłam ją otworzyć. Kliknęłam. Zamurowało mnie, zaniemowiłam, a następnie zabrakło mi tchu i zaschło w gardle. Ochryplym głosem zawołałam Kudelkę, a ten szybko zmaterializował się obok mnie.

– Co jest? – spytał krótko i po męsku.

– Zobacz – wyszeptałam.

Porucznik pochylił się nad ekranem i przeczytał: *Jeśli chcesz poznać zabójcę, przyjdź jutro sama po zmroku, o dwudziestej pierwszej, na ulicę Kozią. Nie zawiadamiaj policji, bo źle skończysz. Życzliwy.*

ROZDZIAŁ 17

WYDAŁO SIĘ

Wcale nie chciałam tam iść. Ale musiałam. Wiadomość nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Pisał do mnie morderca. Lub przynajmniej ktoś w tym rodzaju. Na samą myśl, że być może mój kochanek kogoś do mnie specjalnie wysłał, robiło mi się na przemian zimno i gorąco. Ale Kudełka nalegał jak dziki. Trudno. Poszłam więc. Najpierw jednak do słynnej doktor Chlebus, która od lat leczyła mnie na alergię skórne wszelkiego rodzaju oraz propagowała brutalne metody odmładzania skóry poprzez zrywanie kilku jej warstw za pomocą żółtawej mazi. Uznałam, że przed wieczornym spotkaniem muszę zrobić wszystko, żeby nieco oderwać się myślami od śledztwa. Obawiałam się, że jeśli nie odwrócę swojej uwagi od tego, co mnie czekało, zwariuję ze zgrzyoty. Więc padło na kosmetyczkę... Po krótkiej konsultacji telefonicznej zdecydowałam się na umiarkowanie drogi zabieg laserowy z wtłaczaniem tlenu pod skórę za pomocą specjalnego metalopodobnego bzyzcka. Zwykle mnie on usypiał, więc zaliczałam także kilka minut ożywczej drzemki. Ów bzyzcek powodował automatyczne odmłodzenie i naprężenie skóry i na dodatek relaksował. Musiałam przyjechać na cito i wepchnąć się między VIP-ów, uczestników jakiejś ważnej narady w Biznes Center Club. Panowie stanowili znaczny procent pacjentów pani doktor.

Tym razem w poczekalni przeważali biznesmeni wyższego szczebla w charakterystycznych osłonkach na głowie, czyli czepkach kąpielowych z folii w różyczki. Usiadłam obok jednego, który apodyktycznie instruował żonę, co ma kupić na bezglutenowy obiad. Wzięłam kilka kolorowych pism i zatopiłam się w artykułach o tym, jak gwiazdy lubią się i nienawidzą na zmianę. W zależności od planów zawodowych i sytuacji na koncie. Podano mi także bez pytania earl greya z odrobiną miodu w eleganckiej filizance. W różyczki oczywiście. Był to ulubiony gatunek kwiatów, a co za tym idzie, także i element dekoracyjny charyzmatycznej, groźnej lekarki. Po kwadransie wezwała mnie do salki numer pięć i stanowczym ruchem odgarnęła mi włosy z czoła.

– No, ładnie nawet się pani sprawuje. Przemywa pani owsianką twarz i resztę?

– Tak, pani doktor. – Byłam grzeczna i uległa jak nigdy.

– A wina i sera pleśniowego pani nie nadużywa przypadkiem?

– A skąd!

– A na tej premierze u Jandy to pani tych tartinek z serem nie jadła przypadkiem?

– Ja... – bąknęłam nieśmiało – koleżance nakładałam na talerz tylko...

– I dwa wina dla koleżanki pani też brała, co? – Lekarka patrzyła na moją skórę przez szkło powiększające i krzywiła się nieznacznie.

– A jak pani doktor się podobał spektakl? – Odważnie zmieniłam temat.

– Śmieszna farsa, nie powiem, ale wina czerwonego proszę nie pić, jasne? Do odwołania. Pobudza alergeny i znowu będziemy musiały walczyć z krostkami. A tego chyba...

– Nie chcemy, jasne, nie chcemy! – zapewniłam żarliwie.

– A dziś ważna randka czy coś w tym rodzaju?

– Coś w tym rodzaju – przytaknęłam. Gdyby wiedziała!

Lekarka opuściła podglówek łóżka i wzięła do ręki laser. Po chwili zamknęłam oczy, poczułam charakterystyczne ukłucia i usłyszałam bzyczenie. Podobno część pacjentów nie była w stanie tego znieść. Dla mnie ten akurat zabieg był w porównaniu z innymi niewinną pieśczołą. Usnęłam... Obudziła mnie już asystentka pani doktor delikatnym klepaniem po policzku. Wsmarowywała mi teraz w twarz leczniczy fluid.

– Piękna buzia! – poinformowała mnie, profesjonalnie podtykając mi lusterko.

Istotnie wyglądałam jak po kilku dniach nad morzem. Wyspana, dotleniona i przedziwnie

uspokojona. Zawsze uważałam, że wszelka wiedza to potęga. Medyczna także.

Uboższa o kwotę, którą zwykle wydawałam na tygodniowe zakupy, powróciłam do domu.

Lodówka była pusta, stęskniony pies czekał na spacer, a ja starałam się nie myśleć o tym, co mnie czeka za parę godzin. Przywołałam suczkę do siebie, narzuciłam prochowiec, bo zaczynało mżyć, i wyszłam z nią przed dom na krótki spacer. Pomachałam pani Zosi i zobaczyłam kątem oka, jak Kostek wyrusza na kolejną rowerową wyprawę bez końca.

Życie toczyło się nadal swoim nieustannym i męcząco powtarzalnym trybem. Gdzieś tam byli Burda z koleżkami, zdesperowane brakiem pieniędzy dziewczyny, które gotowe były sprzedać siebie, by wyżywić rodzinę. I mój podły kochanek z żoną na czele tej całej bandy.

Ale póki co musiałam jakoś przetrwać do wieczora.

Na Koziej było ciemno, parno i wilgotno. Po gwałtownym deszczu na ulicy utworzyły się ogromne kałuże i malownicze błotniste placki. Włazłam w jeden z nich i zakłęłam szpetnie.

– Kiedyś nie załatywałaś takim rynsztokiem.

Skąd ja znam ten głos?

– Powodu nie było – mruknęłam, zerkając ostrożnie na boki i przed siebie. Nikogo. Ani widu, ani słyhu. Wieczorna mgła spowijała moją ulubioną uliczkę. Wtem jakaś ciemna postać odkleiła się od ściany i ruszyła w moją stronę. Z mlecznego woalu mgły wyrastały tylko fragmenty sylwetki. Ale, ale... Czy to możliwe? Wysoki, szczupły, kościsty. Tak, to mógł być tylko on!

– Podobno nie żyjesz – wyszeptalam z pretensją i prawie osunęłam się na ziemię. Dość teatralnie.

Złapał mnie błyskawicznie dobrze mi znanym mocnym i zdecydowanym męskim ruchem.

– Zaginałem, ale nie zginąłem – uściślił Ohydny Zbyszek i przyciągnął mnie władczo do siebie.

– Zostaw! – Szarpnęłam się, ale bez przekonania. Obłądnie pachniał, niech go szlag! Nadal mi się podobał. Nawet po tym wszystkim...

– Myślałaś, Mati, że tak cię zostawię bez pożegnania? – zamruczał po swojemu. – Ciągłe byłem blisko, musiałaś to czuć.

– To byłeś ty! Na strychu, w biurze *vis-à-vis*, nocą na ulicy... – wyliczałam, a on tylko się uśmiechał w mroku. – Przestań. – Usiłowałam się wyrwać, ale mnie nie puszczał.

– Nie jesteś ciekawa, po co to wszystko? – dopytywał umiejętnie Ohydny, dmuchając mi w szyję.

– Wiadomo, dla kasy. Dałam się podejść jak głupia. – Opierałam się już naprawdę ostatkiem sił.

– Dlatego cię właśnie wybrałem. Głupia, naiwna i bez kasy. Marzenie. Ale łatwo nie było.

– Z czym?

– Z poderwaniem ciebie. – Ohydny Zbyszek zajrzał mi głęboko w oczy i niebezpiecznie pochylił twarz w kierunku mojej. I zawahał się. Podły!

– Ten łysol gdzieś tu jest czy wyjątkowo przyszedł dziś sama? – spytał jeszcze dla porządku, przyglądając mi się uważnie. Przemknęło mi przez myśl, jak to dobrze, że zdążyłam z tym zabiegiem na twarz...

I nagle z potwornym rumorem zwałił się na nas śmietnik. Wyskoczył z niego umorusany śmierdzący stwór. Zamurowało nas oboje. Zbyszek odskoczył, coś niebezpiecznie błysnęło w jego prawej dłoni.

– Stój, bo strzelam! – wrzasnął potwór.

– Kudelka, to ty? – krzyknęłam i wykonałam klasyczny pad do przodu.

– Ja! I zaraz ci to udowodnię! – zakrzyknął funkcjonariusz dzielnie.

Padł strzał, potem kolejny. Usłyszałam szybki tupot wielu stóp. Musiały nadciągnąć posiłki Kudelki. Nadal leżałam w błocie i bałam się ruszyć. Musiałam nieźle wyglądać. Do połowy umazana czarną breją, a w połowie śnieżnobiała. Nie wstawałam. W końcu czyjeś ręce sprawnie dźwignęły mnie do pozycji stojącej. Potworny smród wyjaśnił mi resztę.

– Zwariowałaś, Kudelka! Po śmietnikach się kryć? – wrzasnęłam.

– Ciesz się, że to ja!

- Niby dlaczego?
- Zobacz, co ten lowelas miał w kieszeni.

W świetle księżycy połyskiwała sprzączka od paska w kształcie głowy smoka. Identyczna jak ta, którą zaduszono w Mielenku Mariannę.

- Miałaś być następna – powiedział znacząco mój woniejący zgnilizną anioł stróż.
- Ale już nie będę! – zauważyłam błyskotliwie i starannie odsunęłam się od Kudelki.
- Już go zabrali.
- Super, szkoda tylko, że śmierdzimy jak skunksy – zauważyłam taktownie.
- Mieszkam niedaleko, zapraszam na prysznic! – raczej stwierdził, niż zaproponował Kudelka.
- Chyba żartujesz!
- Mam też dwa szlafroki z Mielenka – dodał porucznik i poświstując, ruszył rażno przed siebie.

W końcu co miałam do stracenia? Najwyżej odrobinę kobiecej godności. I tyle. Ruszyłam za nim.

MAGDA KUYDOWICZ

(Wydawnictwo) (Wydawnictwo) (Wydawnictwo)
Pracownia Wydawnicza Pracownia Wydawnicza Pracownia Wydawnicza
WYDANIE DRUGIE **WYDANIE DRUGIE** **WYDANIE DRUGIE**

(Wydawnictwo) (Wydawnictwo)
Pracownia Wydawnicza Pracownia Wydawnicza
WYDANIE DRUGIE **WYDANIE DRUGIE**



**STAT O
SIE**
**KOMEDIA
KRYMINALNA**

Pracownia i S-ka